Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 1 zł — 12 stron | Warszawa, 6 lipca 1952 r. | Nr 27 (119) Rok III

W NUMERZE m. in.: **Głosy w dyskusji na Plenum ZLP.** — Adam Ważyk — Uwagi o kryteriach poezji; Władysław Umiński; Arnold Słucki; Seweryna Szmaglewska; Wanda Grodzieńska; Melania Kierczyńska; Kazimierz Wyka; Helena Bobińska; Jan Herbich; Janusz Przymanowski; Jerzy Putrament — Podsumowanie dyskusji; **Tadeusz Borowski** — Wiersze; **Stanisław Kowalewski** — Dzień Agitatora; **Tadeusz Szewera** — Dziewczęta z Nowej Tkalni; **Sylwester Banaś** — Ignac; **Witold Wirpsza** — Dziennik Kożedo; **Waldemar Kiwilszo** — Wiele o wsi, mniej o mieście; **Jacek Frühling** — Sztuka społeczna czy komedia obyczajowa; **Stanisław Marczak-Oborski** — W klimacie Wielkiego Października; **Krystyna Żywulska** — Powiedzieli; **Janusz Minkiewicz** — Uwaga; **Jan Szeląg** — Pisarz w terenie międzyplanetarnym; **Jan Huszcza** — Pochwała niedobrze piszącego poety.

Kożedo

W klatce z kolczastego drutu, z rękami splecionymi na karku, stoją zgarbieni jeńcy koreańscy. Między nimi dziewczyna do pasa obnażona, na szyderstwo obdarta z munduru. Nową grupę skatowanych popędzają amerykańscy żołnierze. Pośród jeńców są i ranni, wsparci na ramionach towarzyszy. Za chwilę uderzenia kolb wtłoczą ich na ciężarówkę, pod ciernisty kojec. Poprzedzony syrenami motocyklistów ruszy wóz, wyboistą, polną drogą do starego kamieniołomu. Tam nad dołem rzucono kładkę, ale żadna stopa drugiego brzegu nie dotknie. Nie wzdrygajcie się, tę gromadę jeńców wyrwanych z obozu czeka — rozwałka. Znacie przecież ten ponury termin, słowo narodzone w latach grozy. Dziś z przybierającym na sile faszyzmem — znowu do nas powraca.

„Żółci nie są ludźmi — uczył wykładowca młodych, amerykańskich żołnierzy — żółci są ulegli i potulni, to tylko komuniści ich buntują! Sprawa, za którą giną, jest im obojętna, wystarczy dać im garść ryżu, a będą gotowi bić się po naszej stronie... Tylko trzeba wyłowić agitatorów. Musicie przeprowadzić surową selekcję!"

Aby zmusić jeńców do zdrady zmniejszono głodowe racje, przez kilka dni nie dostarczono żywności do obozów. Gdy wreszcie zajechała ciężarówka przed kuchnię i zwalono worki, pokazało się, że jest w nich zamiast ryżu — piasek. Zrozpaczeni jeńcy chcąc wymóc ludzkie traktowanie, porwali komendanta wyspy gen. Dodda i uwięzili w jednym z baraków.

Zaczęto więc pertraktacje. Sprawa stała się głośna. Nie można jej było zbyć odprawą z dziennikarzami, wzruszeniem ramion. Zastępca Dodda, gen Colson, musiał wykrztusić: „Mogę zapewnić was, że w przyszłości jeńcy wojenni mogą liczyć na humanitarne traktowanie w tym obozie, zgodnie z zasadami międzynarodowego prawa. Uczynię wszystko co jest w mej mocy, by położyć kres gwałtom i rozlewowi krwi. Jeśli tego rodzaju incydenty zdarzą się jeszcze, będę ponosił za nie pełną odpowiedzialność..."

Jeńcy uwierzyli tej uroczystej deklaracji i wypuścili swego zakładnika. Myślicie, że zgodnie z obietnicami musiały nastąpić zmiany? Tak. Nastąpiły. Zmieniono komendanta nad obozami. Obaj generałowie Dodd i Colson zostali odwołani i zdegradowani. Pierwszy, bo dał się uprowadzić jeńcom, drugi — za oświadczenie, które kompromituje rząd USA. Gen. Clark unieważnił przyrzeczenia swoich poprzedników, a gen Boatner przysłany z brygadą spadochronową nakazał zaostrzyć terror.

Obozy zostały otoczone czołgami. Z miotaczami ognia wkroczyli strażnicy w ciasne uliczki między barakami. Wzywano jeńców, by się ustawili w kolumny na placu apelowym, a potem rozpraszano ich strzałami z wież wartowniczych. Żądano, by własną krwią podpisywali podania — cyrografy, że chcą walczyć przeciw swoim braciom, przeciw własnej ojczyźnie. Żądano, by wydali swoich przywódców, członków komitetu organizującego samoobronę...

Żołnierze ginęli, ale nie dawali się ugiąć. Zaczęły więc znowu auta-klatki jeździć do wąwozu. Zbrojni mordowali bezbronnych. Przeciw zaciśniętym pięściom ruszyły czołgi. Walka trwa. Jeńcy się nie poddają. Głosy dręczonych wołają o pomoc...

Pamiętacie, jakeśmy w czasie hitlerowskiej okupacji ze zdumieniem i wściekłością nadsłuchiwali, o czym plotą zagraniczne komunikaty radiowe. Dokoła nas ginęli ludzie, dymiły ruiny bohaterskiego Ghetta, nasycone śmiercią wibrowały druty obozów, wzięci do niewoli żołnierze radzieccy umierali z głodu, ale o tych zbrodniach milczały zachodnie stolice. Wbrew niezbitym dowodom odwracano głowę, nie chciano wierzyć. Czuliśmy wtedy twardą rękę, która kneblowała nam usta. Mówiliśmy: gdyby tak mieć pierś swobodną, wykrzyczeć wściekłość i nienawiść... Rzucić całą prawdę w oczy światu!

Dziś — to twój obowiązek. Mów: KOŻEDO to prawdziwe oblicze imperializmu! KOŻEDO — wyspa głodnych, jeszcze jeden dowód faszyzacji Ameryki! KOŻEDO — każe walczyć!

W Prem, w Niemczech Zachodnich, zwołali zebranie byli członkowie formacji SS, domagali się natychmiastowej amnestii dla przestępców wojennych, pozostających jeszcze w więzieniach — zwłaszcza dla strażników obozowych, których skazano za okrucieństwa nad jeńcami. Mówiono tam: „Amerykanie nie mają prawa nas sądzić, bo sami tak postępują..."

Przyłączmy nasze głosy do wołania jeńców z Kożedo, do protestu, którym huczy świat. To głos przeciw przemocy, głos najbardziej człowieczy.

Wojciech Żukrowski

PIOTR PAWLENKO

Wyższa Szkoła Ekonomiczna Biblioteka Główna Sopot

WSPOMNIENIA O GORKIM*)

Przed piętnastu laty skończyło się nagle jedno z niezwykłych jak bajka istnień ludzkich.

Gdy równi mi wiekiem ludzie wspominają bohaterów swych lat dziecięcych, w pamięci ich odżywa postać Gorkiego. Zawładnął niepodzielnie naszymi umysłami na długo przedtem, nim poznaliśmy jego książki.

Lata dziecięce i wczesna młodość upłynęły mi w Tyflisie, gdzie tak wiele wspomnień wiązało się z jego imieniem. Tu legendy o nim wplatały się w byt powszedni, tu ukazało się pierwsze jego opowiadanie. Blask tego imienia opromieniał nas, był żywym ucieleśnieniem prawdy o bohaterach z bajek.

Cóż bowiem mogło być podobniejsze do bajki niż to, że chłopiec z „dna" społecznego, przedstawiciel najgłębszych „dołów", został pisarzem ludowym, a imię jego rozbrzmiało sławą na cały świat? I ten wielki, zupełnie rzeczywisty człowiek, którego znało wielu w naszym mieście, chodził naszymi ulicami, przebywał z naszymi ludźmi, pozostając nawet na zewnątrz robotnikiem: buty z cholewami i zwykła, przepasana rzemykiem bluza miały świadczyć dobitnie, kim jest i skąd się wywodzi.

Jego pieśń „Słońce wschodzi i zachodzi" śpiewała cała Rosja. Jego „Zwiastuna burzy" i „Pieśń o sokole" znali na pamięć nawet niepiśmienni, postacie z jego sztuki „Na dnie" weszły natychmiast w życie jako symbole, a wielkie słowa Gorkiego „Człowiek — to brzmi dumnie" stały się sentencją narodową.

Zdziałał ogromnie wiele dla kultury rosyjskiej. Jego droga życiowa jest sama przez się dziełem niezwykłej wagi i siły. Było w nim coś z Łomonosowa. Wyrósł, pokonawszy różnorakie przeszkody, na bohatera narodowego i każdy widział w nim odbicie swych własnych sił i losów. „Oto kim może zostać nasz prosty rzemieślnik rosyjski!" — myślał wtedy każdy przedstawiciel „gminu", darząc Gorkiego miłością i szacunkiem za to, że jego życie okryło chwałą klasę robotniczą i dowiodło światu, jakie talenty wychodzą z ludu.

W tym samym czasie, gdy młody Gorki wkraczał na drogę twórczą, powszechną uwagę budził również drugi genialny talent — śpiewak Szalapin. Wielki śpiewak i niezrównany artysta zadziwiał swe otoczenie pańskimi manierami. Pochodził z „dna", lecz gdy dorwał się do „lepszego" i sytego życia, umiał pokazać, że i proletariusz może cenić drogie wina i wytworne jedwabie. Szalapin był w najprostszym i najsmutniejszym znaczeniu odszczepieńcem ze środowiska proletariackiego. Wyszedł z ludu po to, aby doń nie wracać. Gorki zaś nigdy nie zerwał więzi łączącej go z ludem, i nie skusiło go nigdy pańskie życie; do końca pozostał niestrudzonym, ofiarnym działaczem ludowym. Miał zaiste złote ręce proletariusza.

Gdy przetłumaczono „Matkę" Gorkiego na wszystkie języki zachodnie, Rosja mogła sobie powiedzieć, że dała ludzkości pierwszego, prawdziwie proletariackiego pisarza, pierwszego pisarza, który tworzył dla robotników całego świata.

Czytałem „Matkę" jako chłopiec jedenastoletni i długo byłem przekonany, że „zrysowana" jest z matki znanego w Tyflisie i Baku bolszewika, Piotra Montina, w domu którego mieszkaliśmy z ojcem przez pewien czas. Pamiętam, że przekonanie to podzielało wielu — tak bardzo podobne było życie owej rodziny do tego, co zaczerpnął Gorki z materiałów Niżniego Nowogrodu. W Baku zaś słyszałem, że za tworzywo do powieści posłużyły mu dzieje pewnej rodziny robotniczej z przedmieścia Baku, z którą Gorki przyjaźnił się blisko. Tak typowy był temat „Matki" dla rewolucyjnych rodzin robotniczych, tak był charakterystyczny dla swej epoki, i tak wyraziście oddawał myśli rewolucjonistów — ojców i dzieci — w początkach XX wieku. Podobną popularnością nie mógł się poszczycić przed Gorkim nikt.

Ani jeden utalentowany Rosjanin tworzący w imię przyszłości ludu, lub z ludu się wywodzący, nie pozostawał poza obrębem wpływów Gorkiego. On był „ojcem chrzestnym" wszystkich początkujących pisarzy. Marynarz Nowikow-Priboj, chłop Iwan Wolnow, agronom Michał Priszwin, nauczyciel Konstanty Treniew — zawdzięczają mu pomoc w pierwszych poczynaniach literackich.

Ale pomagał nie tylko młodym. Do Gorkiego zwraca się Kuprin, gdy nie udaje mu się zakończenie słynnego w przyszłości „Pojedynku" i Gorki zwołuje na „konsylium" L. Andrejewa, Jełpatjewskiego i nie pamiętam już kogo jeszcze, i wszyscy oni piszą kilka wariantów zakończenia. Autor wybrał wariant Gorkiego i w tej postaci powieść drukowana jest po dziś dzień.

— A ile wierszy dopisałem Skitalcowi, spamiętać trudno! — mówił mi Gorki w 1935 roku. — Ukazuje się zbiorek „Wiedzy" z wierszami Skitalca, cenzura to i owo wyrzuciła, a tu autor siedzi w więzieniu, porozumieć się z nim trudno. Więc dopisywałem.

Gorki mówił o tym w pogawędce o przyjaźni między pisarzami, twierdząc, że pisarze mogą i powinni być przyjaciółmi nie tylko po to, by składać sobie wizyty grzecznościowe, lecz by interesować się wzajemnie swą pracą i planami twórczymi.

Gorki wita gorąco pierwsze opowiadania Sergiejewa - Ceńskiego i Aleksego Tołstoja, wiersze Majakowskiego i Jesienina. Nie ma dziedziny dlań obojętnej. Na długo przed rewolucją uznany został za duchowego przywódcę nie tylko rosyjskiej ale i wszechświatowej literatury demokratycznej. Jego wpływ na rozwój światowej literatury demokratycznej jest o wiele większy niż wpływ Tołstoja lub Czechowa.

Droga Gorkiego nie zawsze była prosta. Był okres, gdy pociągał go mistycyzm — Lenin wytknął mu to surowo. Nie był również pozbawiony błędów stosunek Gorkiego do władzy radzieckiej w pierwszym okresie jej utrwalania się. Jednakże całe jego życie było zawsze blisko związane z działalnością partii bolszewickiej, z tradycjami leninowskimi. To życie wykuwało się i hartowało w ogniu walki politycznej, zrazu pod wpływem Lenina, a następnie — Stalina, których Gorki kochał z całym entuzjazmem artysty i człowieka, jako geniuszy ludzkości.

Ci, którym dane było słuchać jego opowiadań o Leninie i Stalinie, pamiętają niewątpliwie w jakim natchnieniu zachwycał się Gorki obydwoma gigantami historii. Gdy mówił o nich, upajał się tym, że ich znał i zadziwiony, oddając hołd ich sile, śmiałości myśli, bogactwu natur i potędze twórczej charakterów, sam zapalał się niezwykle. Gorki był chciwie ciekaw ludzi, pisanie i mówienie o ludziach wielkich było dla niego wielką radością, największą zapewne ze wszystkich.

Bez entuzjazmu, bez namiętności, nie umiał w ogóle żyć. Potrzebna mu była atmosfera walki, podniecenia, wzniosłości. Płonął mocnym ogniem i zapalał innych. Nastrój „płonięcia" duchowego stwarzała walka o wszystko co nowe, zainteresowanie przejawami życia. A jak tracił równowagę, jakim burłackim gniewem skrzywiała się jego twarz, gdy niefortunni czuli „opiekunowie" starali się odgrodzić go od spraw życia, tłumacząc się tym, że przecież strzegą Gorkiego dla sztuki, szczędzą go! Gorki miał wołżańską, nieokiełznaną naturę, kochał przestrzeń. Nie mógł się oszczędzać, bo tylko w nieograniczonej swobodzie ducha, w rozmachu, w zatraceniu się bez miary widział cel swego istnienia.

Któż nie bywał u Gorkiego, kto nie pisywał doń, jakimi ten człowiek nie zajmował się sprawami!

Po raz pierwszy zobaczyłem go w 1932 roku. Bohater moich marzeń młodzieńczych stał przede mną w przedsionku willi na Małej Nikitskiej i serdecznie zapraszał, by wejść, przyglądając mi się bacznie i, jak mi się wydało, nadmiernie ciekawie; byłem dla niego człowiekiem nowym, nieznanym. Wtedy jeszcze nie wiedziałem o namiętności Gorkiego do wszystkich nowych ludzi, po których spodziewał się zawsze czegoś niezwykłego, jak po nieznanej książce.

Maksym Gorki — rzeźba w marmurze N. Tryniuka

Było to w kwietniu 32 roku. Przyszedłem z Tichonowem, który przekazał mi zaproszenie Gorkiego, by przyjść w najbliższych dniach i opowiedzieć o Bliskim Wschodzie. Zgodziłem się z lekkomyślnością, której nie mogłem sobie później wybaczyć. Dość było zobaczyć Gorkiego i skurczyć się mimo woli pod jego badawczym wzrokiem: zrozumiałem, że nie potrafię wymówić ani jednego słowa i że zachowam się okropnie głupio.

Tego dnia u Aleksego Maksymowicza było gwarnie. Przyjechali z Leningradu Aleksy Tołstoj i Mikołaj Tichonow, przyszli Fadiejew, Jermiłow, zdaje się Nikulin i ktoś jeszcze. Z początku mówiono o wielu rzeczach. Zapamiętałem tylko pytania, które zadawał mi Gorki: czy dawno piszę, co robię obecnie? Słysząc, że skończyłem powieść „Barykady" o Komunie Paryskiej, natychmiast poradził mi, bym to a to przeczytał. Na szczęście, mogłem odpowiedzieć, że już to czytałem.

— A do Thiersa nie zaglądaliście?

Odpowiedziałem twierdząco, dodając, że zawarłem również znajomość z uczestnikiem Komuny Paryskiej, mieszkającym podówczas w Moskwie... Gorki zainteresował się:

— Kto to jest? Co to za człowiek? Kim był za Komuny? Gdzie mieszka?

Odnosiło się wrażenie, że wypytuje po to, aby już jutro udać się do starego komunarda i sprawdzić dokładnie wszystko, co opowiedziałem.

Gorki nie znosił literatów słabo znających swój materiał i zrozumiałem, że przestanę dla niego istnieć, jeśli „obleję się" z miejsca na pierwszym egzaminie. No i prawdę mówiąc, niewiele do tego brakowało. W końcu 32 roku posłałem Gorkiemu „Barykady" z prośbą, by potraktował utwór z tą życzliwą surowością, z jaką odnosi się do utworów każdego początkującego pisarza. „Może to i dziwne — pisałem — ale w ciągu pięciu lat mojej pracy literackiej nie zdobyłem żadnego doświadczenia. Myślę, że najodważniejszy byłem pisząc pierwsze (strasznie głupie) opowiadanie — po prostu skoczyłem do wody i popłynąłem, nie myśląc o niczym. Drugie pisałem już i myśląc, i męcząc się, trzecie i czwarte — nie rozumiejąc zupełnie, jak właściwie należy to robić, i tak — im dalej tym trudniej. A u nas zakorzenił się już taki zwyczaj, że pisarzowi, który tworzy od roku, ktoś tam jeszcze usłuży dobrą radą, ale takiemu, który pisze dwa — trzy lata, albo i więcej, rady i wskazówki nie przysługują... Dlatego właśnie zwracam się do was z prośbą o udzielenie mi uwagi, jako początkujący, pragnący czegoś ponadto".

Aleksy Maksymowicz odpowiedział obszernym listem, w którym ostro skrytykował moją powieść. Wytknął jej nierówny i napuszony styl, fragmentaryczność kompozycji i samego tematu. Potraktował książkę jako rękopis. I wstyd mi się zrobiło, że pośpieszyłem z wydrukowaniem utworu.

Po kilku latach zagadnienie Komuny Paryskiej znowu zostało podjęte w domu Gorkiego, w związku z przyjazdem Romain Rollanda. Przedstawiono mnie znakomitemu gościowi jako autora powieści o Komunie Paryskiej i zaciekawiło go, rzecz jasna, czy byłem w Paryżu, gdzie i jak zbierałem materiał do książki. Pamiętam spojrzenie Gorkiego, czujne i trwożne: nie zasypiesz się? Kiedy odpowiadałem na pytania Rollanda, słuchał, nerwowo bębniąc palcami po stole. Gdy zaś wyjaśniło się, że większość materiałów czerpałem z naszych archiwów radzieckich i mogłem — mniej lub bardziej pewnie — mówić o Komunie z jednym z najświatlejszych Francuzów, Gorki uśmiechnął się. Zdumiewająca była u niego ta duma ze swoich. „Proszę bardzo, nie Francuz, a coś niecoś wie... tak to, tak..." — mówił wtedy jego pełen zadowolenia uśmiech. A ja czułem się jeszcze bardziej winny, że nie popracowałem o rok dłużej.

...W domu Aleksego Maksymowicza, tamże na Nikitskiej, mnie i innym pisarzom przypadło w udziale ogromne szczęście usłyszenia stalinowskich słów o pisarzach — inżynierach dusz ludzkich.

Wieczory u Gorkiego były doniosłą szkołą dla nas, pisarzy. Tyle, bywało, dowiesz się przy herbacie czy przy kolacji, że aż sam nie rozumiesz, jak mogłeś żyć dotychczas, nie znając tak wielu koniecznych i niezwykłych spraw. Gorki zbierał u siebie uczonych, pisarzy, artystów-malarzy, ludzi zawodów praktycznych — była to akademia poznania, wymiany doświadczeń, śmiałych zamierzeń i planów. Najmniej uwagi poświęcano fabule, tematowi. Gorki nie znosił ciasnej, ograniczonej, zawodowo - technologicznej rozmowy o literaturze. Pociągały go zagadnienia natury ogólnej. Idee — oto co go pasjonowało. Co i o czym powiemy czytelnikowi, dokąd go prowadzimy, a jeżeli nie prowadzimy, to dlaczego, mocą jakich przeszkód? Mówił z nami jak z kucharzami strawy duchowej, żądając, aby ta strawa była jak najobfitsza, jak najbardziej urozmaicona i sytna.

Niezwykły to był narrator. Nie opowiadał lecz rzeźbił, krótko i mocno; słuchać jego opowiadań znaczyło to samo, co uczyć się pisać. Dla nas pisał jak gdyby na głos. Tak zapewne w akademii sztuk pięknych wielcy artyści szkicują węglem zarys obrazu, kontury twarzy, wtajemniczając swych uczniów w kunszt chwytania natury na gorąco.

Surowe bywały niekiedy nauki Gorkiego. Ten o wielkim sercu człowiek umiał być okrutny jako nauczyciel. Za kiepski utwór, za niegramatycznie zbudowane zdanie, potrafił każdego wykpić niemiłosiernie.

Literaturę — rosyjską zwłaszcza — kochał i znał doskonale, ogromnie cenił jej ideowość, postępowość jej tradycyj. Świętością była dla niego spuścizna tytanów naszej sztuki — Puszkina, Lermontowa, Bielinskiego, Turgeniewa, Tołstoja, Czechowa. Uważał ją za kapitał narodowy, który należy troskliwie pomnażać, a nie trwonić, i biada było temu, na którego grzeszną głowę spadał gniew Aleksego Maksymowicza. W jego ustach słowa „pisarz rosyjski" — dźwięczały majestatycznie i dumnie. I każdy zaczynał odczuwać nagle swą przynależność (niechby nawet w ostatnim rzędzie) do ogromnej, uwieńczonej chwałą armii.

Siedzisz, pijesz herbatę, słuchasz Gorkiego i nagle uświadamiasz sobie, żeś z racji swego zawodu współbojownik Puszkina, towarzysz Turgeniewa, Czernyszewskiego, Lwa Tołstoja, żeś ty — o Boże drogi! — ich prawny spadkobierca a nawet kontynuator ich dzieła.

Wspominając spotkania z Gorkim mówiłem sobie nieraz: jako literat poszedłbym zupełnie inną drogą, gdyby życie nie ofiarowało mi szczęścia widzenia, słyszenia i uczenia się u Gorkiego, chociaż zgoła nie zamierzam twierdzić, że nauczyłem się wszystkiego co potrzebne i że mam odwagę nazwać się jego uczniem.

Jednego nie mogę odżałować: że znałem go krótko.

Złożyło się tak, że przez pewien czas prowadziłem dwa poczynania Gorkiego — czasopismo „Kołchoźnik" i almanach pod tytułem „Rok szesnasty", „Rok siedemnasty" itd. — i byłem świadkiem jego pracy z korespondentami. Słowa „praca" użyłem świadomie, gdyż korespondencja, którą prowadził Gorki, zasługiwała jedynie na nazwę gigantycznie skomplikowanej pracy.

Sztuka pisania listów nie jest łatwa, ale literatura nasza zna wielu mistrzów epistolarnego gatunku, na przykład Czechowa. Kiedy dzięki wysiłkowi twórczemu Marii Czechowej ukończona zostanie publikacja wszystkich listów Czechowa, ujrzymy ze zdumieniem, jak wiele zdziałał on swymi listami — tymi króciutkimi nowelami o nakładzie nie przekraczającym 1 — 2 egzemplarzy. O ile pisanie opowiadań było dla Czechowa sposobem rozmowy z tysięcznymi rzeszami, o tyle pisanie listów miało na celu każdorazowe obcowanie z jednym tylko człowiekiem, z jedną duszą. Jakże głęboko przenikał Czechow w dusze swych korespondentów! Gdyby zaproponowano mi scharakteryzowanie stylu listów Czechowa jednym słowem, użyłbym słowa „troskliwość". Czechow wiecznie się o coś lub o kogoś troszczył. To listy cierpiącego za miliony. Są one niekiedy serdeczniejsze i tkliwsze nawet niż jego opowiadania, gdyż nie skrywają indywidualności samego autora.

A listy Gorkiego są pracą: to z początkującym literatem, to z pechowym wynalazcą, to z kierownikiem świetlicy na temat głośnego czytania, to z pionierem na temat wierszy, to z działaczem kulturalnym bratniego narodu na temat zasad przekładu

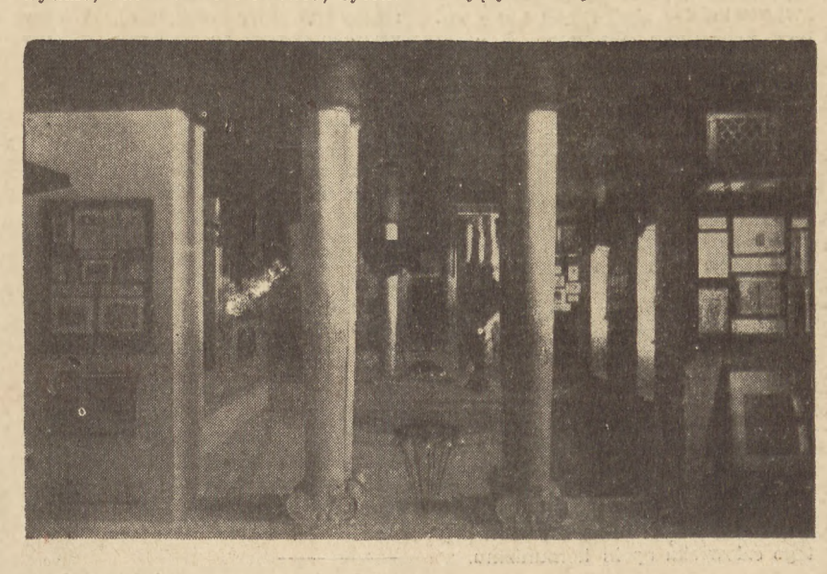

Muzeum Gorkiego w Moskwie

*) Artykuł napisany przed rokiem, w 15 rocznicę śmierci Gorkiego.

artystycznego lub organizacji teatru narodów Związku.

Czechow i Gorki to niedoścignieni mistrzowie sztuki pisania listów, niezmużeni, niepowtarzalni.

Odpisując licznym autorom rękopisów z ramienia „Kołchoźnika", zazwyczaj opowiadałem Gorkiemu co i komu napisałem. Okropnie dużo zgryzot przyczyniały mi te raporty!

Pewnego razu oświadczyłem, że odsyłam autorowi, gdzieś na Syberię, rękopis olbrzymiej, ale zdumiewająco źle napisanej powieści.

— Żonaty? — spytał, nadstawiając ucha, Gorki.

— Kto, Aleksy Maksymowiczu?

— No ten, autor wąsz, nie my obaj przecie.

— Nie wiem.

— Szkoda!... Kto go tam wie, co? Może ożenił się człowiek... niech go tam... dzieci... nie ma czym karmić... No, usłyszał, rozumiecie, że za powieści płacą grube pieniądze i posłał. Ile ma lat?

— Nie pisze nic o sobie.

— To co z tego, że nie pisze... Trzeba by jakoś dowiedzieć się ubocznie. Jeżeli młody, zwymyślajcie go ile wlezie. Wytrzyma. A jeżeli stary, to trzeba go oszczędzić. Miałem jednego takiego — w 72 roku życia zaczął pisać wiersze. No i jak tu uderzyć takiego?

Zwrot powieści ulegał, rzecz jasna, zawieszeniu. Do wszystkich dawnych kłopotów przybywał nowy: zdobycie informacji o wieku i stanie rodzinnym niefortunnego autora.

Pamięć do ludzi miał fenomenalną. Taką samą jak do książek. Pewnego razu zawiadomiłem Aleksego Maksymowicza, że jakiś staruszek przyniósł do redakcji niezwykle ciekawy pamiętnik. Staruszek był pogromcą. Jechał kiedyś z jednej wioski do drugiej, napadli go kułacy. Ten jak nie krzyknie do swego oswojonego niedźwiedzia: „Miszka, ratuj! Kułacy biją!" Niedźwiedź wyskoczył z sań i rozpędził napastników. Od owej pory, gdy tylko pogromca zawoła: „Kułacy biją!" — Miszka wstaje na tylne łapy i wtedy lepiej nie zbliżać się do niego, bo rozszarpie.

Gorki wysłuchał opowiadania mrużąc oczy i jak gdyby przypominając sobie o czymś.

— Niziutki taki, z wąsami?... Jedno oko wyższe od drugiego? I sepleni trochę?

— Tak — powiadam. — Taki sam, mniej więcej.

— Popatrz, jaki jednak wytrwały — powiedział Aleksy Maksymowicz uśmiechając się. — On mi ten swój „pamiętnik" pokazywał w pierwszych latach rewolucji i ja mu jeszcze wtedy powiedziałem, że to kradziony towar...

— Jak można, Aleksy Maksymowiczu, to taki solidny staruszek.

— O to-to... Ten sam. Kradziony towar. Kradziony. Znajdźcieno dodatek do „Nowych czasów" z 1899 roku. Tam, wiecie, nie pamiętam w którym numerze, są ciekawe notatki Włocha Emilio Salgari. O tym samym. I niedźwiedź taki sam. Z wykształceniem. I też kogoś tam uszkodził w drodze.

Kiedy z wielkim mozołem odnalazłem w bibliotekach i przeczytałem Emilia Salgari, mogłem tylko ręce rozłożyć. Staruszek rzeczywiście przepisał wspomnienia Włocha słowo w słowo. Najbardziej zaś zdumiewające jest to, że rozmowa z Gorkim miała miejsce w 35 lat po opublikowaniu wspomnień Salgariego.

Aleksy Maksymowicz był zapalonym zwolennikiem poczynań kolektywnych. W spółdzielczości upatrywał nowe perspektywy rozwoju sztuki i nieznużenie doradzał pisarzom, by szkolili młodzież na pracach zbiorowych, publicznie, aby nadać sprawie jak największy rozmach. Wielkość skali — oto co kochał w twórczości młodych. Wielkie wymiary i śmiałe porywy!

Porządnie napisane wiersze i nowelki, o których nie można było powiedzieć nic złego ani dobrego, wyprowadzały go z równowagi. Pytanie „Po co piszecie, mój drogi?" — nie było dla niego puste, bowiem on sam nie „pisał", lecz „pracował", wiedząc dokładnie, dla kogo i po co robi to czy owo. Zwykły dziennikarski reportaż, w którym wyławiał ziarenko czegoś nowego, cieszył go więcej niż dobrze zbudowana, lecz jałowa pod względem treści powieść wielkiego, niechby nawet bliskiego mu pisarza.

— Dobrze teraz piszą, tylko że mało — mawiał nieraz, przypominając ogrom wszystkiego, co napisał Tołstoj. — To był tytan!

I widać było, że potępiał, tych, co zapisywali po dwa — trzy arkusze na rok. Nie lubił anemii twórczej i, moim zdaniem, gardził nią potajemnie. Albo też wspominał Puszkina, który lubił podróżować po Rosji:

— Najeździł się, najeździł... nie to, co wy... nie wysiadywał po próżnicy na zebraniach, robotę robił... tak!... I jeszcze na pojedynki czasu mu starczało...

I nagle, nie w związku z Puszkinem, lecz drogą jakiegoś bliskiego skojarzenia, rozbłyska mu w pamięci:

— Znałem jednego rybaka... całe życie liczył, ile ryb nałowił... Wychodziło, że bardzo dużo, coś ze dwa okręty... Ogromnie się tym chlubił... Dzielny był rybak.

Umiłowanie pracy było w nim głębokie i silne.

Kiedyś, wróciwszy z przejażdżki po Wołdze, opowiadał o „bosiakach":

— Nie ma ich już, nie... znikli... Ale jednego widziałem... kazali mu czerpać wodę z łodzi, to zmechanizował sobie pracę! Zmajstrował jakąś pompę, leży sobie na wznak, jedną nogą pedał jakiś naciska — i woda leci! Pytamy go: odpoczywasz? Czego mam, powiada, odpoczywać — technika działa! — i Gorki śmieje się, zadowolony z dowcipu byłego włóczęgi. — Teraz, powiada, bez techniki nijak!... A moich już nie ma...

Okrzepły jako artysta w początku stulecia Gorki był niestrudzonym nowatorem, pionierem i zwiadowcą nowych gatunków literackich. Tak więc powitał z wielkim entuzjazmem pracę poety Siemionowskiego, pisaną na przemian prozą i wierszem, widząc w tym poczynaniu zarodki ogromnych, nie zbadanych jeszcze możliwości literackich.

Po pewnym przedstawieniu w cyrku moskiewskim, niezadowolony z jakiejś „pantominy wodnej", zaczął natychmiast zbierać grupę literatów dla napisania „programu". Starano się odwieść go od tego. Gorki — i cyrk? Uważano, że to niepoważne, śmieszne. Ale dla niego nie istniały tematy ważne i błahe, godne i niegodne uwagi gatunki literackie. „Tylko cmentarz nie jest moją trybuną" — mawiał żartem.

Nosił się z zamiarem wydania przysłów i sentencyj, powstałych po październiku 1917 roku, a następnie zbioru aforyzmów pisarzy rosyjskich.

— Trzeba by urządzić konkurs na aforyzmy. Pisarz powinien umieć wypowiadać się krótko, zwięźle, filozoficznie... My, starzy, coś niecoś potrafimy... Nikt nie chce się zmierzyć?

W 1933 roku grupa pisarzy (N. Tichonow, W. Ługowski i P. Pawlenko), wracających z podróży po Dagestanie, opowiedziała Gorkiemu o spotkaniu w górach Południowego Dagestanu z poetą Sulejmanem z Aszag Stali, nieznanym dotychczas poza swoją republiką. Następnego roku starzec Sulejman został zaproszony na Pierwszy Wszechzwiązkowy Zjazd pisarzy radzieckich i zajął miejsce w prezydium. Przypadło mi w udziale poznanie Stalskiego z Gorkim. Sulejman denerwował się ogromnie, kilka razy nawet zdejmował swoją wysoką czarną papachę, aby otrzeć pot z głowy... Stalski był niskiego wzrostu, papacha czyniła go wyższym, bardziej reprezentacyjnym. Poradziłem mu, aby nie zdejmował jej przy Gorkim, który był bardzo wysoki.

— Ach, miły — powiedział starzec z rozpaczą, machnąwszy ręką — kiedy burza nad tobą, nie zasłonisz się zelówkami. Z jednego tylko się cieszę, żeśmy obaj starzy, i w tym ja go przerastam; ufam, że nie wyśmieje mnie.

A Gorki szedł już na spotkanie, ze swym mądrym uśmiechem na twarzy, szeroko rozpościerając ramiona do uścisku. I przywitawszy się, usiadł natychmiast, aby nie górować wzrostem nad Stalskim, co mogło sprawić przykrość gościowi.

Później, wieczorem, Stalski rzekł do mnie, skinąwszy w stronę Aleksego Maksymowicza:

— Podobny.

Wyraźnie i pięknie wymawiał to trudne w mało mu znanym języku rosyjskim słowo, nic do niego nie dodając, jak gdyby tego jednego słowa dość było dla wyrażenia jego myśli.

Przyznaję ze skruchą, że nie od razu ją pojąłem.

— Jaki w sercu był, taki jest — gniewny, że go źle zrozumiano, dodał starzec, i wtedy dopiero oceniłem wspaniałą lapidarność jego określenia.

Gorki okazał się podobny do tego Gorkiego, którego wizerunek od dawna już ukazywał się w marzeniach jemu, Sulejmanowi. Gorki okazał się taki właśnie, jakim Sulejman wyobrażał go sobie i starzec dumny był z tego, że tak wiernie zgadzały się jego myśli z rzeczywistością i że wszystko okazało się godne, takie jak i być powinno.

Rzeczywiście, nawet temu, kto widział go po raz pierwszy, Aleksy Maksymowicz wydawał się dawnym dobrym znajomym, z którym można porozmawiać jak i o czym dusza zapragnie. Posiadł tajemnicę szczególnej, jemu tylko właściwej prostoty. Ale prostota owa nie była ani dobroduszna, ani naiwna. Gorki był prosty w gniewie jak i w radości, i prostotą swą nie zasłaniał nigdy surowej prawdy o ludziach.

Ten człowiek, który przeżył wielkie życie i wypiastował pokolenie następców i uczniów, zawsze — jak mi się wydaje — czuł się bardzo młodym, niczego prawie jeszcze nie zaznawszym człowiekiem i szczerze, całym sercem zazdrościł ludziom, wiedzącym o czymś takim, czego nie wiedział on sam.

Poezja pracy absorbowała go niezmiernie i — prawdopodobnie — nie tylko jako człowieka, lecz bezwarunkowo i jako artystę. Do ostatka dni swoich pamiętał doskonale swój zawód piekarza i lubił poradzić, jak upiec to czy owo. Znał dobrze ptaki. „Ptaki — to dobrzy ludzie" — mawiał żartobliwie. W czasie pobytu na Krymie interesował się żywo sprawami miejscowymi. Jesienią 35 roku bywałem świadkiem toczących się u niego ożywionych sporów na temat zaopatrzenia w wodę wybrzeża południowego, budżetu muzeum w Chersoniu, sporów o to, dlaczego na Krymie mało jest jedwabników i pszczół, i o hodowlę merynosów.

Wróciłem właśnie z Dalekiego Wschodu i moje opowiadania o tym, co tam widziałem, ciekawiły Gorkiego, który nie bywał nigdy w stronach na wschód od Wołgi. Wiedział jednak o Dalekim Wschodzie zdumiewająco wiele i często okazywało się, że ja, będący tam, wiedziałem mniej niż on, opierający swą wiedzę o tych sprawach jedynie na literaturze. Książkę Arseniewa „W tajdze usuryjskiej" znał prawie na pamięć i długo, natarczywie wypytywał, jak zmieniła się tajga, jak rosną ludzie. Był niezadowolony, że nie wiedziałem nic o nieopublikowanej spuściźnie Arseniewa, że nie odwiedziłem „kątów Czechowa" na Sachalinie.

Budową miasta Komsomolsk pasjonował się ogromnie. O budowniczych miasta mógł słuchać godzinami, z zadowoleniem mrucząc coś pod wąsem.

Najulubieńszym jego bohaterem był Rosjanin, ale człowiek radziecki zawładnął całkowicie jego wyobraźnią. Mówił często o tym, że pora napisać rozprawę naukową o charakterach: rosyjskim i radzieckim i, patrząc na goszczących u niego literatów, dodawał:

— Gdybym tak był młodszy, napisałbym księgę portretów. Trzydzieści, albo — dajmy na to — pięćdziesiąt. Wyborowych. I przegoniłbym was wszystkich, młodych. Doganiajcie!

Stworzywszy tom plastycznych, subtelnych i mądrych wspomnień o Lwie Tołstoju, Gorki podarował ludzkości drugą swoją niezrównaną „książkę - portret" — wspomnienia o Włodzimierzu Leninie. I marzył już głośno o trzecim „portrecie" — Józefa Stalina. Opowiadając o nim, Aleksy Maksymowicz szczególnie jakoś mrużył oczy i uśmiechał się uszczęśliwiony. Nie namalowany jeszcze, ale już — widocznie — wyraźny w głównych zarysach portret ukazywał się jego wyobraźni i Gorki zawczasu cieszył się z dojrzewającego sukcesu twórczego.

Jeszcze rok — dwa, a książka ta powstałaby niewątpliwie. I nagle Gorki zginął.

Tak, nie umarł, lecz zginął na posterunku jak żołnierz. Jego artykuły i wypowiedzi o faszyzmie, o nieuchronności walki z nim na śmierć i życie, znane były od dawna całemu światu. „Jeśli wróg nie poddaje się, trzeba go zniszczyć!" — to hasło bojowe Gorkiego obiegło cały świat. Słowa jego żyły i walczyły w czasie Wielkiej Wojny.

W latach poprzedzających koniec życia, Gorki skoncentrował swe siły na publicystyce o charakterze obronnym. Przeczucie zbliżającego się starcia nie opuszczało go ani na chwilę i sam już szykował się i przygotowywał literaturę radziecką do stworzenia tej „niewidzialnej twierdzy" — mówił słowami Aleksego Tołstoja — której nieugiętość tak zadziwiła świat w latach Wojny Ojczyźnianej. „Niewidzialna twierdza" — to był duch narodu radzieckiego, świadomość własnej słuszności i wiara we własne siły.

Pracowałem w owym okresie nad powieścią o tematyce Dalekiego Wschodu. Zdążyłem jeszcze zaznajomić Gorkiego z brulionem wariantu „Na wschodzie", noszącym wówczas tytuł „Los wojny", i uzyskać od niego wskazówki, ostre i rzeczowe jak zwykle. Beształ mocno, nie obawiając się zranienia czyjejś miłości własnej, ale zawsze jak równy równego, bez poniżania. Tak majster targa za uszy swego czeladnika, widząc w nim przyszłego fachowca.

Głosiciel prawdy — był postacią bardzo niebezpieczną dla faszystowskiego plugastwa. Głosu Gorkiego słuchał cały świat, miliony ludzi wierzyły mu i szły za nim. Gorki poległ w przeddzień gigantycznej walki, której nieuchronność rozumiał doskonale, padł jako pierwsza ofiara rozpoczynającej się wojny.

Genialny pisarz, wspaniały propagandysta, znakomity organizator, mądry nauczyciel młodzieży i we wszystkich swych poczynaniach płomienny patriota, Aleksy Maksymowicz był pod wieloma względami jak gdyby prekursorem tych doskonałych, harmonijnych ludzi, których zrodzi epoka zwycięskiego komunizmu.

Był to człowiek zadziwiający nie tylko tym, czego dokonał, ale i tym, czego mógł dokonać. Był to bohater, któremu dla pełnego ujawnienia się mało jednego życia ludzkiego i dlatego Gorki zawczasu przygotowywał sobie przedłużenie bytu w książkach, w uczniach, w zamierzeniach społecznych, ideach i przeczuciach.

Odejście Aleksego Maksymowicza nie zamknęło gorkowskiego okresu literatury radzieckiej, lecz zapoczątkowało jedynie drugi jego etap. W najbliższych latach poznamy Gorkiego jako autora listów i obraz jego rozbłyśnie nowym blaskiem, wzbogaci się o nowe odcienie. Ujrzymy w całej swej różnorodności życie pisarza społeczeństwa socjalistycznego, pisarza - budowniczego, genialnego „inżyniera dusz ludzkich" w atmosferze jego pracowni.

Tworzyć duszę ludzką, kształtować świadomość, uczucia i charakter swych współczesnych wszystkimi znanymi sztuce pisarskiej środkami — od felietonu do powieści, od artykułu do recenzji, od kroniki życia Rosji jak „Życie Klima Samgina" do listu, adresowanego do ucznia — to wszystko znaczyło dla Gorkiego — żyć.

Powiedział kiedyś:

„Zanim siadam do pisania, zadaję sobie zawsze trzy pytania: co chcę napisać, jak napisać i po co napisać?" W przeciwieństwie do innych, nie umiał pisać „dla siebie", żyć w urojonym świecie bez kontaktu z rzeczywistością, pisać po to tylko, aby „wypowiedzieć się". Gorki był z natury agitatorem. Wszystko co napisał było czynem i nie można, nie podobna wyobrazić sobie Gorkiego jako pustelnika, pisarza utworów obliczonych na t.zw. smakosza.

Prowadzić za sobą, przekształcać, przebudowywać, wzbogacać, udoskonalać — oto co leżało u podstaw stosunku Gorkiego do sztuki.

Pisarza na taką miarę i tak zapobiegliwego dała nam historia po raz pierwszy.

Niech więc każdy z nas w miarę swych sił kontynuuje rozpoczęte przez Gorkiego dzieło tworzenia wielkiej, okrytej chwałą i — najważniejsze — zupełnie nowej przez stosunek do czytelnika literatury radzieckiej, której zasadniczym zadaniem jest walka o komunizm, o moralność komunistyczną, o wytrzebienie przeżytków kapitalizmu, walka o jednolitego, wszechstronnie rozwiniętego człowieka epoki komunizmu.

Tłumaczyła Rozalia Lasotowa

Z DYSKUSJI

WŁADYSŁAW UMIŃSKI

TAK BYŁO WCZORAJ

Muszę się przyznać bez wstydu, że obecnie liczę 87-my rok życia. Jest to wielki szmat czasu. Dlatego też mogę rzucić spojrzenie na 60 a nawet 70 lat wstecz, kiedy stawiałem pierwsze kroki na polu działalności pisarskiej. Jakże żałośnie i ubogo przedstawiały się wówczas stosunki wydawnicze i literackie!

Najbardziej nawet czytane książki i czasopisma jak „Tygodnik Ilustrowany", „Kłosy", „Przegląd Tygodniowy" liczyły 4, 5 — 6 tys. egzemplarzy nakładu. Takie poważne miesięczniki jak „Biblioteka Warszawska" miały 3 — 4 tysięcy nakładu najwyżej. Autorzy otrzymywali honoraria proporcjonalne do ilości egzemplarzy, jakie się ukazywały.

Pamiętam, że np. Bolesław Prus, który należał do tych nielicznych literatów, którzy utrzymywali się wyłącznie z pióra, nieraz był bez grosza przy duszy i przychodził do Ignacego Matuszewskiego, krytyka, pożyczyć od niego rubla na obiad.

Jeden tylko Sienkiewicz utrzymywał się jako tako z pisania, ale poza tym wszyscy, nawet bardzo zdolni i wybitni — znajdowali się w bardzo ciężkich warunkach materialnych.

Prawie każdy z literatów musiał szukać sobie ubocznego zajęcia i ciężko nieraz pracował, a twórczości literackiej mógł poświęcić najwyżej parę godzin na dobę.

Ja osobiście także należałem do tych ubogich literatów, którzy nie mogli się utrzymać ze swojego pióra, zwłaszcza w początkach.

W 1912 roku zacząłem wydawać tygodnik literacko - naukowy pt. „Miesiąc Ilustrowany", który uzyskał sobie dość duże powodzenie ze względu na szatę zewnętrzną. Ale, mimo największych wysiłków, nie mogłem przekroczyć ilości 3.000 prenumeratorów i po ukazaniu się kilku numerów pismo przestało istnieć.

*

Jeżeli uprzytomnimy sobie stosunki, jakie panowały wówczas, jeżeli porównywać je będziemy ze stosunkami obecnymi, zrozumiemy wówczas, jak oświeconym krajem stała się Polska, jak wszystkie marzenia naszych poetów, żeby ich książki zbłądziły pod strzechy chłopskie, ziściły się. Gdybym kiedyś pisarzom, których znałem, powiedział, że książki ich rozejdą się w kilkudziesięciu czy kilkuset tysiącach egzemplarzy, na pewno byliby zdumieni.

Wszystko to zawdzięczamy energicznej, twórczej, ofiarnej pracy naszego Rządu, który robi wszystko, aby zmienić szybko nasz kraj w kraj oświecony.

Władysław Umiński

ARNOLD SŁUCKI

WALCZMY O PEŁNĄ SKALĘ WRAŻLIWOŚCI

Klasycy marksizmu byli czujnymi obserwatorami i krytykami współczesnej literatury. Karol Marks i Fryderyk Engels poświęcili szereg cennych uwag twórczości wybitnego, postępowego poety niemieckiego Freiligratha, którego twórczość w początkowym okresie towarzyszyła postępowym, wyzwoleńczym ideom. Co było głównym brakiem jego twórczości? Był to ascetyzm, schematyzm w widzeniu zjawisk, brak pełni odczuwania życia i zrozumienia dla wszechstronności ludzkiej wrażliwości. W tym artystycznym braku, który jest również brakiem ideologicznym, widzieli klasycy marksizmu źródło późniejszego spaczenia talentu Freiligratha. Widzimy więc, że marksizm nie rezygnuje z bogactwa życia, z ukazania różnorodności zjawisk życia i pełni odczuwania życia przez człowieka, a zwłaszcza twórcę, którego zadaniem jest rozszerzenie widnokręgu myśli i skali odczuwania współczesnego człowieka.

Artysta, który zwęża krąg swych obserwacji, który zwęża skalę swojej wrażliwości na świat zewnętrzny i na wewnętrzne życie człowieka, pomniejsza tym samym zasięg humanizmu marksistowskiego, który oznacza pełnię zaangażowania człowieka w sprawy świata, w sprawy ludzkie.

...Istnieje u nas obawa przed zmysłami ludzkimi. W książkach wielkich pisarzy czujemy nawet zapach kuchni, łąki, ogarnia nas jakaś specyficzna atmosfera życia. Zdaje się, że nasza literatura nie ma tych zapachów, ma natomiast zapach wody. Jest to wynikiem nie ofensywy przeciw naturalizmowi, lecz kapitulacji przed nim. Naturalizm występuje wtedy, kiedy „bogactwo życia" jest oderwane od celowości ludzkiego działania, podkopuje sens istnienia człowieka.

*

Chcę jeszcze jedną sprawę poruszyć, bardzo istotną: zagadnienie partii w literaturze realizmu socjalistycznego. Otóż w praktyce naszych pisarzy pokutuje to, co jest pewnym kompleksem naszej inteligencji, często nawet przodującej inteligencji. W pewnym okresie pewne odłamy inteligencji odnosiły się do partii w sposób wyczekujący, często nieufny, często wrogi. Praktyka naszej partii, jej zwycięstwa, gigantyczne budownictwo, umiejętne podejście do rzeczywistości współczesnej w ostrej walce klasowej, pozyskanie w przeciwniku potencjalnego przyjaciela — wzbudziło respekt dla naszej partii. Inteligent przekonał się, że partia jest siłą, że partia ma moc przewidywania. To najbardziej pozyskuje inteligenta dla naszej partii. Czego inteligent nie rozumie myśląc o roli partii? Często nie widzi ludowej genealogii naszej partii, nie widzi, że siła ta wyrasta z doświadczeń ludu.

Trzeba przyznać, że tego rodzaju błędy popełniają nie tylko inteligenci „pozyskani", ale także pisarze naszej twórczej inteligencji, dawno działającej w ruchu robotniczym.

Zadaniem pisarza jest wykazanie, że partia nie tylko uczy prostych ludzi, lecz czerpie swą wysoką moralność z moralności prostych ludzi, z ich doświadczeń, które formułuje w sposób naukowy i najbardziej celny.

Arnold Słucki

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

PISZMY CAŁĄ

Na poprzednim Plenum poświęconym zagadnieniom krytyki mówiło się dużo o pasji pisarskiej w pracach publicystycznych i krytycznych. Warto pomyśleć o przyczynach braku pasji pisarskiej w większości powieści współczesnych, w których wszystko jest, czego się wymaga, by utwór zasłużył na miano współczesnej powieści — brak tylko owej siły magnetycznej, która sprawia, że w pewnym punkcie lektury zainteresowanie dochodzi do zenitu, że czytelnik czuje się wręcz uchwycony za łeb i od tej chwili aż do strony ostatniej żyje życiem ukazanym przez autora. Spróbuję omówić dwie — niewspółmierne co do ważności — przyczyny złego stanu rzeczy. Zacznę od mniejszej. Mam na myśli powierzchowną manierę nie tyle pisania co obserwowania.

Drukuje się wielkimi czcionkami nagłówek „Kwitnący rozwój Ziem Odzyskanych" podając dalej tylko same pozytywne strony zagadnienia, pomijając najstaranniej to wszystko, co częstokroć powinno być obejrzane z bliska i uczciwie omówione. Tymczasem pisarz musi dostrzec problem, dostrzec konflikt, musi pokazać walkę. Pojęcie Ziem Odzyskanych jest złożone i obszerne jak nasza zachodnia granica, jak nasz nowy brzeg morski, jak nasze Mazury. Powierzchowny obserwator bez wahania zamknie je w optymistycznym sloganie. Przestrzegałabym każdego pisarza przed podobnym sposobem patrzenia na świat, a także przed przyjmowaniem takich uproszczeń za podstawę wiedzy o przedmiocie.

Często pisarz — autor powieści — bywa równocześnie reportażystą, pisze rzeczy małe, obliczone na potrzeby redakcyjne. Ta dwoistość nurtu twórczego jest tylko na pewien czas pożyteczna, pozwalając się rozejrzeć, uchwycić temat. Szkodliwa jest na pewno, jeżeli nauczy pisarza powierzchowności w patrzeniu na życie człowieka pracy.

Naświetlone przeze mnie zjawisko jest mniejszym złem aniżeli drugie, które omówię szerzej. Wytworzyła się u nas jakaś dziwna „moralność pani Dulskiej" w sprawach ogólnych, politycznych, społecznych, czy ekonomicznych. Kiedy się czyta niektóre książki, utwory wierszem, opowiadania, można ulec wrażeniu, żeśmy już niemal wszystko osiągnęli, żeśmy na dalekim etapie, że stworzyliśmy już jakiś nowy wspaniały świat. Wulgaryzacja marksizmu wyziera zewsząd, poparta jakimś hurraoptymizmem.

Aleksy Tołstoj „W drodze przez mękę" pokazuje nam w osobach rodziny Krasilnikowa żerowanie na rewolucji, pokazuje nie tylko kontrrewolucję białych, ale także kontrrewolucję wewnętrzną polegającą na wykrzywieniach idei lub na świadomym jej nadużywaniu. Przypomnijmy sobie świetną scenę targu o kulomiot, odbywającą się w oknie wagonu. Przypomnijmy sobie sprawę Briańskiego.

Czy Aleksy Tołstoj osłabił obraz rewolucji tymi akcentami? Wiemy wszyscy, że go wzmocnił, że wzmógł dramatyczność sytuacji, że dzieło jego jest tak pełne prawdy życia, iż nawet my — w zmienionej sytuacji — czytając odnajdujemy partie zbliżone do naszej rzeczywistości, niekiedy typowe dla nas.

Nie pomogą nam ani wyjazdy w teren, ani stypendia na twórczość literacką, dopóki nie zerwiemy z dotychczasowym sposobem politurowania rzeczywistości, dopóki nie otworzymy przystępu pełnej prawdzie.

Obraz dnia dzisiejszego u nas daje olbrzymią rozpiętość, bogatą skalę możliwości — od osiągnięć medycznych prof. Hirszfelda do walki z zabobonem i dętymi cudami na przedmieściach Łodzi czy Lublina, od „Rzeczywistości, która przerasta wyobraźnię" do ciemnoty warstw zaklejających uszy woskiem szeptanej propagandy. Co przemilcza literatura, to dokładnie — i z ową zalecaną przez krytyków przesadą artystyczną — omówi szeptana propaganda. Szeptana propaganda w naszym kraju ma zadanie technicznie łatwe. Twierdzę, że cofanie się literat[illegible] przed konfliktami zachodzącymi w życiu jest olbrzymim błędem. Śmiałe podejmowanie i przeprowadzanie w akcji powieściowej konfliktów — choćby najdrastyczniejszych — na tle oczywiście stałego dążenia do postępu, na tle bezspornych osiągnięć — niesie w sobie więcej optymizmu niż nasza poza na jakąś całkowitą doskonałość.

Przed miesiące byłam w woj. olsztyńskim i stwierdziłam, jak nowa jest dla mnie ta ziemia, jak mało wiem o tym, co się tam dzieje, jak bardzo i jak dosłownie jest to jeszcze terra incognita, choć od 7 lat należy do Polski.

WANDA GRODZIEŃSKA

NIEZREALIZOWANY POSTULAT

Rok temu Plenum Związku wysunęło szereg wniosków mających na celu poprawę stanu piśmiennictwa dla dzieci i młodzieży.

Chciałabym wykazać, w jakim stopniu postulaty te zostały urzeczywistnione w ciągu ostatniego roku w dorobku literatury dziecięcej. Wiemy wszyscy dobrze, że większość pisarzy w plenum zeszłorocznym nie uczestniczyło, oświadczając z całą szczerością, że literatura dla dzieci nic ich nie obchodzi, że się na niej nie znają, lub że i tak nie potrafią pisać dla dzieci. Już ta postawa pisarzy w roku zeszłym nie rokowała wielkich nadziei na poprawę sytuacji, a następne miesiące wyraźnie potwierdziły obawę o los piśmiennictwa dla dzieci. Musimy tu stwierdzić, że nie mamy nowych kadr pisarzy, że pisarze starszego pokolenia nie włączyli się w walkę o podniesienie poziomu literatury dla dzieci. Musimy również stwierdzić, że młodzież literacka uchyla się od jakiegokolwiek współudziału w tworzeniu literatury dla dzieci, nie tylko w dziedzinie książek, ale również w czasopismach dla dzieci, gdzie przecież łatwiej byłoby rozpocząć próbny okres.

W dalszym ciągu książki dla dzieci spotykają się z absolutną obojętnością krytyków. Od czerwca ubiegłego roku, na łamach „Nowej Kultury" ukazało się zaledwie kilka artykułów krytycznych, jak zawsze ogólnikowych i nie wyczerpujących. Artykuły te w najmniejszym nawet stopniu nie pomagają pisarzom dla dzieci w zrozumieniu swych błędów ani nie wyjaśniają, w jaki sposób omawiany utwór spełnia swoje zadania. Pisarz dla dzieci wciąż jeszcze pisze w próżni, po omacku poszukuje dróg.

W tym samym czasie w Związku Radzieckim trwa wielomiesięczna dyskusja na temat piśmiennictwa dla dzieci, w której biorą udział wybitni pisarze i krytycy radzieccy. Spotykamy na łamach „Litieraturnej Gazety" artykuły krytyczne Kassila, Barto, Nowiczenko, Michajłowej, A. Niekrasowa, Surkowa, Iljina, W. Katajewa, Michałkowa i wielu innych. Jak to się dzieje, że nie potrafiliśmy do tej pory zainteresować ogółu pisarzy twórczością dla młodego pokolenia? Czy w dalszym ciągu obojętność wynika z przekonania, że ten rodzaj literacki jest rodzajem pośledniejszym? Chciałabym, aby dyskusja na ten temat wyjaśniła nam przyczyny tego zjawiska.

Wanda Grodzieńska

*) Zamieszczone wypowiedzi są fragmentami przemówień wygłoszonych na Plenum.

NA PLENUM ZLP*)

MELANIA KIERCZYŃSKA

PRZYNALEŻNOŚĆ KLASOWA A POSTAWA IDEOWA

Przypomnijmy sobie zarzut, jaki był tu m. in. stawiany, że gdy otwiera się książkę, to z góry się wie: ten jest kułak, a tamten średniak. Czy to jest właśnie schematyzm? Przypomnę tutaj początek „Zoranego ugoru" Szołochowa, bo mam tę książkę dobrze w pamięci. Kiedy przyjeżdża białogwardzista do kułaka Ostrownowa, to z pierwszej rozmowy widzimy, z kim mamy do czynienia. Ten jest kontrrewolucjonistą, który przyjechał agitować za spiskiem białogwardzistów, a ten jest kułakiem, który ma porachunki z władzą radziecką i będzie pomagał białogwardzistom. Nie jest to jednak przejaw schematyczności fabuły ani postaci, ani konfliktu.

W naszej dyskusji nie wzięliśmy pod uwagę jednej rzeczy. Przypomnę tu dzieło, które prawdopodobnie wszyscy dobrze pamiętają. U Tomasza Manna w „Buddenbrockach" jest postać ciotki Klotyldy, ubogiej krewnej, która jest wiecznie głodna i nieśmiała, zalęknioną. Ilekroć postać ta się pojawia, to pojawia się właśnie w tej funkcji. Czy powiemy, że to jest przejawem schematyzmu u Tomasza Manna? Inna jest funkcja postaci czołowych, przez które autor wypowiada głęboką analizę rzeczywistości, inna jest funkcja postaci drugorzędnych, które mają uprzytomnić tylko pewne sprawy. Dlatego, żeby wdrożyć tę postać w pamięć czytelnika, wiąże ją autor za każdym razem z tym, co jest sygnałem tej postaci, dzięki któremu tę postać wraz z jej funkcją pamiętamy.

To samo jest jeżeli chodzi o „Czarodziejską Górę" Manna. Manni używa takiego samego sposobu charakteryzacji: każda postać jest w pewien sposób, powiedziałabym, napiętnowana czymś, jakąś jedną cechą. Ilekroć ta postać się pojawia, tylekroć pojawia się w tej funkcji. Bo to są postacie, które innej funkcji nie spełniają w powieści prócz tego, że są tłem dla rozgrywających się rzeczy poważniejszych. W naszej dyskusji o schematyzmie krytyka nie umiała podejść do tego zagadnienia od tej strony, lekceważono warsztat literacki, jak gdyby warsztat literacki kolidował z ideologią. To jest niesłuszne. Sprawy warsztatu literackiego muszą być zbadane, bo przecież wielokształtną, bardzo różną i bardzo skomplikowaną rzeczywistość trzeba w pewien sposób ująć w kształt namacalny, w kształt plastyczny.

Dlaczego pisarz początkujący jest nieporadny, dlaczego jest w jego utworach wiele schematyzmu? Choć zgadzam się z dzisiejszym referatem kol. Putramenta, sądzę, że należy zaakcentować z całą siłą, z całą stanowczością, że nie zwalczymy schematyzmu dotąd, dokąd nie zwalczymy ideologicznego analfabetyzmu pisarza, dokąd nie nauczymy się daleko głębiej ujmować rzeczy nas otaczających. Musimy przy tym walczyć z nieporadnością warsztatową, bo pisarz nie zdaje sobie często sprawy z tego, jakie środki stoją do jego dyspozycji.

Mówił tu kol. Putrament, że jedną z przyczyn schematyzmu jest pewne uzależnienie typów ludzkich od ich pochodzenia społecznego, od przynależności klasowej, że typów jest więcej niż klas społecznych. Bezwzględnie — tak, ale sedno zagadnienia tkwi nie tylko w tym. Typów ludzkich w sensie postawy psychologicznej jest więcej niż klas społecznych, ale klas społecznych nie należy brać zbyt prosto i zbyt schematycznie. Biedniak nie jest zawsze reprezentantem idei rewolucyjnej, nie zawsze stoi po stronie klasy walczącej. Nie dlatego, że jest jakimś innym typem psychologicznym, ale dlatego, że sprawa walki klasowej jest skomplikowana: sprawa interesów życiowych biedniaka w głęboko sięgającej perspektywie jest jednoznaczna, ale w jego indywidualnym życiu — jest wieloznaczna.

Znaczy to, że pewna schematyka i zubożenie faktury polega na tym, że identyfikuje się pochodzenie klasowe z postawą ideologiczną, z dzisiejszym chwilowym interesem życiowym danego człowieka, całokształtem jego nastrojów psychologicznych, oraz jego pozycją klasową, jego miejscem w walce klasowej.

Melania Kierczyńska.

ADAM WAŻYK

UWAGI O KRYTERIACH POEZJI

Tematyka współczesna dominuje w naszej poezji, przy czym gatunkowo można scharakteryzować stan obecny jako panowanie rozmaitych typów liryki i brak epiki. Epika istnieje w postulatach, ale nie ma jej w praktyce.

Mówiąc o dominacji współczesnej tematyki, właściwie trzeba to trochę inaczej sformułować, zwłaszcza w poezji, która ma charakter liryczny. W istocie dominują idee budowy socjalizmu, proletariackiego internacjonalizmu, walki o pokój przeciwko zamysłom imperialistów amerykańskich.

Opanowanie naszej poezji przez te idee nie odbyło się trybem żywiołowym. Decydującym momentem była burzliwa dyskusja o poezji przed dwoma laty, która oczyściła teren. Cenne ideologicznie utwory zjawiały się i przedtem, ale atmosfera życia literackiego hamowała rozwój poezji socjalistycznej. W atmosferze tej panował silny nacisk gomółkowszczyzny, której głównym, choć nie jedynym, wykładnikiem w poetyce był burżuazyjny estetyzm. Burżuazyjny estetyzm z formalistycznymi odmianami osłaniał dwuznaczne idee burżuazyjnego humanitaryzmu i podstawiał je na miejsce właściwych idei. Zwalczenie gomółkowszczyzny i rozbicie burżuazyjnego estetyzmu w poezji dało ten wynik, że zapanowały w niej właściwe idee, że zmieniły się zainteresowania, ambicje poetyckie, że powiało w niej socjalizmem. Głównie szło o to, aby budowa podstaw socjalizmu w naszym kraju znalazła w poezji szerokie, wielostronne odbicie.

Postulat realizmu socjalistycznego w poezji był jeszcze w tym czasie formułowany ogólnikowo. Inaczej w powieściopisarstwie. Tutaj gromadziło się wiele rozważań i przemyśleń, tutaj postulaty i kryteria przybierały bardziej konkretną postać. Ze względu na specyficzną sytuację w poezji, raczej mówiło się o ideach socjalistycznych, niż o metodzie realizmu socjalistycznego. Ale rzecz jasna, po to się mówi A, żeby powiedzieć B. Po roku atmosfera ideologiczna w poezji na tyle się zmieniła, że słusznie na Plenum padło hasło — podniesienia jakości. Czy od tego czasu jakość się podniosła? W małej mierze.

Hasło podniesienia jakości nie znalazło dostatecznej konkretyzacji z wielu przyczyn. Po pierwsze — sądzę, że nie można nic właściwie powiedzieć o realizmie socjalistycznym w poezji, nie uwzględniając jej specyfiki.

Po zwycięstwie postulatu realizmu socjalistycznego na całym froncie kulturalnym nastąpiła konieczność wejścia w specyfikę każdej dziedziny sztuki i każdego działu danej dziedziny. Ale wejście w specyfikę to rzecz bardzo trudna. Trzeba jasno widzieć przebieg doświadczenia historycznego w tej dziedzinie, ostrożnie wyciągać wnioski, bronić się w równej mierze przed awanturnictwem, jak przed konserwatyzmem. Znacznie łatwiej jest przy pomocy abstrakcyjnej spekulacji myślowej tworzyć metafizyczne dogmaty.

W tym samym czasie, dwa lata temu, w nauce marksistowskiej nastąpiło historyczne wydarzenie, nauka została wzbogacona pracami Stalina na temat językoznawstwa. Mimo wysiłków kierownictwa Partii, konsekwencje tych prac nie od razu dotarły na front kulturalny i nawet usiłowano dorabiać do nich nową scholastykę z całkowitym ignorowaniem cech narodowych w sztuce. Moim zdaniem, cechy te bynajmniej nie z jednakową siłą przejawiają się w poszczególnych dziedzinach. W poezji mają szczególną siłę, chociaż często nie zdajemy sobie z tego sprawy. Wydaje mi się, że dzisiaj scholastyka ucieka w popłochu. Wielu krytyków deklaruje, że trzeba uwzględniać specyfikę. Od krytyków powinniśmy wymagać nie deklaracji, ale wnikania w specyfikę.

Wydawać by się mogło na pozór, że kierunek scholastyczny ominął teorię poezji. Ale to tylko pozór. Wyobraźcie sobie, że chcę mówić o poezji, a nie mam o niej zielonego pojęcia. Co wtedy robię? Jestem scholastykiem i nie ma dla mnie żadnych trudności. Staram się przerzucić na poezję to, co wiem o realizmie w powieści. Ponieważ epika bądź co bądź przypomina bardziej powieść, więc ze słusznego postulatu odrodzenia epiki robię jedyny postulat realizmu socjalistycznego w poezji, zaczynam propagować zamiast metody realistycznej — „elementy realistyczne", przez które rozumiem elementy epiki, wymyślam sobie proces przerastania liryki w epikę, zachwalam ten proces i pcham w tym kierunku niedoświadczonych poetów.

Hasło podniesienia jakości zawisło w próżni z wielu powodów. Jeden powód — to scholastyczne przenoszenie kryteriów prozy artystycznej na poezję, drugi — to brak zdecydowanej walki o metodę realistyczną w oparciu o tradycję narodową. Stosunek do tradycji był deklaratywny i niesłychanie pobłażliwy dla świadomej lub nieświadomej teorii „jednolitego potoku". Walka o realistyczną tradycję w naszej poezji nie znalazła należytego zrozumienia w środowisku literackim. Z drugiej strony poszczególne jednostki odnosiły się podejrzliwie do hasła podniesienia jakości i przez długi czas nawet je paraliżowały.

Przy wypaczeniu kryteriów realizmu z tym większą łatwością nacisk wroga działa na chwiejne elementy w naszym środowisku, tym uporczywiej powtarzają się ciągoty burżuazyjnego estetyzmu. Tematyka dzisiejsza stała się zjawiskiem powszechnym w naszej poezji od czasu, kiedy zwalczaliśmy burżuazyjny estetyzm, zwalczaliśmy go w zasadzie, aleśmy przecież nie wykorzenili go całkowicie. Burżuazyjny estetyzm nie wystąpi z otwartą przyłbicą, będzie nas atakował z rozmaitych pozycji. Kiedy ukazał się niefortunny zbiorek „Wiosna 6-ciolatki" znaleźli się dyskutanci, którzy przeciwstawili temu zbiorkowi utwory nic nie mówiące o budowie socjalizmu.

Mówię — burżuazyjny estetyzm, bo nie idzie o poszczególnych ludzi, notorycznych przedstawicieli tego estetyzmu, ale o elementy świadomości artystycznej utrzymujące się w naszym środowisku, aktywizujące się w chwilach chwiejności, zniechęcenia, w chwilach trudności i nacisku wrogich nam sił.

Na grudniowej naradzie literatów min. Berman wskazał, jako na jedną z głównych bolączek naszej literatury, brak dojrzałości ideologicznej. Niedojrzałość przejawia się w rozmaity sposób. Chcę tu wskazać na niektóre objawy. Jak się to odbija na liryce politycznej?

Wielu poetów poprzestaje na wyrażeniu najogólniejszych idei politycznych, ale na tym poprzestać nie można. Kiedy idzie o bardziej konkretne zastosowanie tej idei, brak dojrzałości ideologicznej daje się we znaki. Przytoczę przykład typowy, w sensie typowości naszej, nie statystycznej.

Wstrząśnięty zamordowaniem Belojannisa poeta Seweryn Pollak napisał wiersz, który niestety zawiera myśli polityczne zupełnie mylące i zupełnie niesłuszne, od początku do końca. W pierwszym zdaniu autor karci naród grecki i nawet pomawia go o współwinę: *„Długoż nosić będziecie pęta, Krwią najlepszych, krwią braci zbryzgani?"*

Dalej autor woła jak do uśpionego narodu: *„Ty Termopilom, ty Salaminie, Krew niegdyś złożywszy w dani, Zbudzić się musisz, gdy syn twój ginie"*. Po czym autor wzywa go do powstania zbrojnego. Wiadomo, że naród grecki nie jest narodem uśpionym, że walczy, ale w ciężkich warunkach, że w tej chwili nie ma obiektywnych warunków do powstania zbrojnego. Autor mechanicznie wzorował się na odzie „Wolność" Puszkina, pisanej w zupełnie innych okolicznościach, którą skojarzył sobie z dekabrystowskimi wierszami, wzywającymi naród grecki do kontynuowania walki narodowo-wyzwoleńczej. Wzory, jak widać, znakomite, ale co z tego wynikło?

Imitatorstwo przeważyło nad konkretnym myśleniem politycznym. Spójrzmy na to od strony uczuciowej. Konkretne myślenie polityczne oparte na marksizmie-leninizmie stanowi równocześnie dla liryka dyscyplinę uczuć i chroni jego żarliwość przed histerią. Trzeba nam żarliwości, ale nie trzeba egzaltacji. Myśl polityczna pozbawiona konkretności nie ma siły uogólniania. Klasyczny wiersz naszej liryki rewolucyjnej „Bagnet na broń" Władysława Broniewskiego wyrasta z konkretnego myślenia politycznego w momencie ogromnego napięcia uczuć, wypowiada w formie lirycznej postawę komunistów polskich, męską postawę rewolucyjną i patriotyczną.

Polska jest dziś inna niż w 1939 r., i wrzesień się nie powtórzy, ale to nie zwalnia nas wcale od konkretnego myślenia. Konkretna myśl polityczna i męska postawa cechuje te siły, które stanowią awangardę walki o pokój. To samo powinno cechować poetę polskiego.

Opanowanie wiedzy marksistowsko-leninowskiej potrzebne jest poecie po to, aby umiał zastosować ją do konkretnych sytuacji. Potrzebne to jest tak samo lirykowi, jak epikowi. Marksizm-leninizm jest szkołą uczuć. Postępowanie imperialistów wywołuje w nas serię uczuć: ból, gniew, nienawiść. Dla poety ważna

KAZIMIERZ WYKA

O LITERATURĘ WIELKICH KONFLIKTÓW

Wydaje mi się, że w zakresie tematyki współczesnej proza nasza przekroczyła pierwszy etap: etap poznania tego wszystkiego, co się mieści w pojęciu produkcji. Trudność polega teraz na pójściu o krok dalej.

Powiem od razu, chociaż może to brzmi prowokacyjnie: trzeba skończyć z powieścią „produkcyjną" jako odrębnym typem ujmowania zagadnień przez prozę. Trzeba stwierdzić jasno, że tego rodzaju proza spełniła swoją rolę i czas przejść do czego innego.

Nie spełniają swego zadania utwory, które nie są w stanie pokazać, jak w okresie budowy materialnej bazy socjalizmu zmienia się człowiek, jak powstają konflikty ideologiczne.

Konflikty w naszych powieściach są traktowane ogólnikowo. Nie czuję się powołany do tego, żeby podawać tablicę konfliktów antagonistycznych i nieantagonistycznych. Nie o to chodzi. W naszych książkach brak konfliktów światopoglądowych, ideologicznych, które toczą się pod maską rzeczy — zdawałoby się — dalekich i obojętnych. Tego typu „drążenia światopoglądowego" rzeczywistości, tak wyraźnie dającego się zauważyć szczególnie w rozmowach z młodymi, zupełnie nie znajdujemy w prozie współczesnej.

Konflikty klasowe nie przebiegają tak jak niektóre próby chcą je pokazać: przy blasze kuchennej czy w kolejce po mięso. Młody człowiek, szukający wielkiej dyskusji światopoglądowej, ideologicznej, która toczy się w całym kraju — w prozie jej nie znajduje. Na to chcę zwrócić uwagę jako na rzecz naprawdę istotną dla rozwoju naszej prozy.

Kazimierz Wyka

HELENA BOBIŃSKA

PRZEKONANIE O WŁASNEJ PISARSKIEJ SŁUSZNOŚCI

W r. 1932, a więc w drugim roku pięciolatki, byłam w t.zw. rejonie Dzierżyńskiego, który się tworzył w r. 1930 na Białorusi. Był to na Białorusi okres największej walki, takiej walki, jakiej nie znała Rosja rdzenna. Kułak we wsi białoruskiej — to był półpan nie na dziesięcinach, ale na włókach. Broniąc rozwoju kołchozu — trzeba było z tym kułakiem staczać ciężką walkę i nieraz dochodziło do wystąpień z bronią w ręku. W r. 1930 większość kułaków, którzy posiadali olbrzymie majątki, zostało wysiedlonych. Przyjechałam tam jako korespondentka jednej z gazet moskiewskich. Przyjechałam jesienią, kiedy cały byt kołchozu zależał od wykopków kartofli. Niewykopanie ich groziło tym, że wszystkie kartofle zmarnieją, a były one przecież głównym pożywieniem. Wtedy na pomoc przyjechały brygady z technicum pedagogicznego w Mińsku, brygady polskie i białoruskie. Naszym zadaniem była nie tylko obserwacja tej walki, ale i czynny w niej udział. W połowie października, w straszne słoty, wykopywałam kartofle od rana do wieczora. Skoro brygady oderwały się od nauki po to, żeby przyjechać tu z pomocą, to i ja musiałam kopać. Przez trzy tygodnie pracy zapoznałam się ze wsią. Nigdy bym tego nie osiągnęła jedynie przez obserwację. Napisałam książkę o tym kołchozie. I tu przechodzę do kulminacyjnego punktu, bardzo ważnego dla nas wszystkich.

Książka mówiła o przełomie w kołchozie, o ludziach w kołchozie, i o problemie dzieci kułackich. Rodziny kułaków były wysiedlane, ale niejednokrotnie zostawiały dzieci u biednych krewnych. Zetknęłam się z dzieckiem jednego z największych kułaków, zdecydowanych wrogów, bodaj dywersantów. Był to pięcioletni chłopak, który garnął się do kołchozu. Wtedy traktor był rewelacją. Zetknęłam się z walką o te dzieci, z walką między starą ciotką - dewotką i młodym 18-letnim chłopcem, komsomolcem. Ta walka tyle dała mi do myślenia, że w mojej książce mały Felek zajął bardzo dużo miejsca. Książka poszła do druku jednocześnie po polsku i po rosyjsku. I gdy już była złożona, złamana — dostałam egzemplarz z napisem czerwonym ołówkiem w poprzek strony: wyrzucić z książki wszystkie rozdziały, wszystkie myśli o pięcioletnim Felku.

Rozpoczęłam walkę o Felka. Wyrzucenie tego wątku znaczyło dla mnie — zepsuć całą książkę. Książki nie drukowano. Leżała przez 3 miesiące. Obstawałam przy swoim zdaniu. Wydawca proponował jakieś kompromisowe wyjście, ale obstawałam, że z postaci Felka nie zrezygnuję. Wiedziałam, że mam rację.

Znalazła się wreszcie jakaś mądra kobieta w tym samym zespole, która przeczytała książkę i doszła do przekonania, że można książkę wydać nie wykreślając wątku Felka. Po trzech miesiącach leżenia książka poszła do dalszej produkcji.

Po dwóch tygodniach pojawił się w „Prawdzie" artykuł odpowiedzialnego bardzo członka Biura Politycznego, artykuł w obronie kułackich dzieci. To przymierze przyszło mi troszkę za późno, bo już sama stoczyłam bój w przekonaniu, że bronię słusznej sprawy, ale w każdym razie artykuł ten był dla mnie wielkim triumfem.

Dlaczego tę sprawę tutaj poruszam? Aby pokazać, że pisarz musi jednak naprawdę lepiej w i e d z i e ć niż wydawnictwo. Jeżeli jest pewny swojej słuszności — nie ma takich warunków, które by go były w stanie zmusić do zmian wbrew jego przekonaniu.

Helena Bobińska

JANUSZ PRZYMANOWSKI

TEMAT, KTÓRY CZEKA NA PISARZY

Chcę uprzytomnić zebranym pisarzom, jak bardzo ciekawa, jak bardzo interesująca jest tematyka wojskowa. Wojsko to nie tylko szkoła strzelania, nie tylko poligon. To wielka szkoła wychowania nowych ludzi, w której hartują się charaktery ludzkie i w której wielu żołnierzy, zwłaszcza pochodzenia wiejskiego, przechodzi zasadniczy przełom, od którego zaczynają być nowymi ludźmi.

Niedawno byłem w terenie, w dalekim powiecie Sokółka. Partyjni chłopi wsi, oddalonej o 45 km od kolei, wsi, w której po wojnie zostało tylko osiem chałup, i którą władze ludowe odbudowały, rozmawiali ze mną o agitacji spółdzielczej. Mówili, że pierwszymi agitatorami kolektywizacji są ci, którzy wracają z wojska, że sami oczekują jesieni, kiedy wróci z wojska pięciu, bo wiedzą, że to są ludzie, na których można się oprzeć w tej pracy, ludzie, którzy nie zawiodą.

Chciałbym przytoczyć jeszcze parę przykładów. Czy wie ktoś w Polsce o tym, że był po tamtej stronie Odry prosty kapral, który powtórzył czyn Matrosowa? Nikt o tym nie wie i nikt z pisarzy na ten temat nie pisał. Czy nie warto napisać książki o pewnym podporuczniku (dzisiaj), a w czasie wojny — kapralu, który w czasie przeprawy czołgów ześliznął się i wpadł do rzeki, nurkował na głębokości 2 metrów w lodowatej wodzie, po to, żeby zaczepić stalową linę za maszynę, żeby ją wyciągnąć, żeby mogła brać udział w ofensywie. Było coś w sercu i w duszy tego człowieka, co kazało mu skoczyć do wody. Warto poszukać, co to było. Warto o tym napisać.

Janusz Przymanowski

PRAWDĘ

Ludność tutejsza mówiła ze mną polszczyzną pełną archaizmów, przypominającą język Reja czy Kochanowskiego nawet, tak że mimo licznych germanizmów mowa ta wydała mi się pełna uroków. Można było ulec wrażeniu cofnięcia w czasie o kilka wieków i zetknięcia z ludźmi epok minionych, ludźmi mającymi mowę a nawet obyczaje i sposób myślenia dziś już niespotykane.

Mazurka, u której zamieszkałam, miała 70 lat. Mówiła, „wasa pani matka, was pan mąż" — wnuczkę, którą wychowuje, nauczyła mówić po polsku z dużym zapasem słów. Jej synowie służyli w Wehrmachcie, kilku zginęło, reszta żyje „za Odrą" po wschodniej i zachodniej stronie. Jeden tylko pozostał we wsi.

Nie łatwo znaleźć szablon, w który by można wcisnąć tę kobietę i jej sprawę. Była spokojna i dostojna w swoim naiwnie religijnym ujmowaniu świata. Pamiętajmy, że aż do wojny drukowano na Mazurach Polskich biblię, w której podawano plany Arki Noego i tłumaczono, jak najdokładniej, „gdzie założowano żyrafy a gdzie małpy".

Mowa polska przetrwała tam wieki, więcej ludzi ją zna i lepiej niż można było się spodziewać. Ale co ci ludzie wiedzą o Polsce? Kto im o niej teraz mówi i jak? Do wsi przybyły tylko trzy rodziny zza Buga, z tych poznałam jedną. Osiedleńcowi tak zaimponowała stopa życia wsi mazurskiej, że wręcz usiłował mnie przekonać, ile to dobrego zrobił ludziom Hitler. Mowa polska kwitnie tam jak samosiejka, pełna niespodzianego uroku, ukazała mi się jak kwiat paproci w puszczy — co dla niej obecnie robimy?

Redaktor pewnego tygodnika zagadnął mnie o Mazury. Czy nie napisałabym czegoś w rodzaju poetyckich obrazków prozą na mazurski temat. I wtedy przypomniałam sobie, co mówił tu kiedyś Leon Kruczkowski, że każdy autor powoduje się własnym „uchem wewnętrznym", pozwalającym na taki a nie inny układ zdania, dobór słów i rytm akordów w prozie i poezji. Pomyślałam sobie, że ciągła czujność na temat „co powie redaktor, jakich ostrych kantów mojego utworu nie przełknie na pewno, powoduje selekcję materiału jeszcze przed przystąpieniem do pisania. Autor przestaje szukać prawdy, przestaje szukać własnych dróg, jedzie trasą slalomowym kijków, odrzuca wszelkie kruszce, wszelkie granity i krzemienie mogące kogoś zranić lub wskrzesać iskrę i rozpalić ogień. Po odtrąceniu kruszców pozostaje piasek. Co można robić z piasku? Lepić babki. Autor kończy swoje dzieło, jeszcze jeden pomnik schematyzmu. Cóż dziwnego, że książek tych nie można czytać.

W powieściach naszych nie ma walki, lekką stopą przechodzi autor nad bogatą skalą przejawów życia, wybierając lub wytwarzając sytuację najgładsze.

Jest taka książka Kossak - Szczuckiej p. t. „Z miłości". Czytałam ją za czasów szkolnych; zwiódł mnie tytuł... Bohaterem pozytywnym tej książki był świętobliwy młodzieniec, bodajże Stanisław Kostka. Pamiętam, że rozśmieszyło mnie wtedy pewne przerysowanie cech owego świętobliwego młodzieńca. Kossak - Szczucka pisze, że młodzieniec ów był nadzwyczaj skromny, gdy w jego towarzystwie ktoś powiedział dwuznacznik — zemdlał biedaczek i spadł z krzesła. Czekam z niepokojem, kiedy nasi bohaterowie pozytywni zaczną reagować w podobny sposób, bo pewne cechy świętobliwości noszą oni na pewno. Miewają np. objawienia. Z początku nic nie, taki sobie zwyczajny człowiek, a potem bęc, spada na niego objawienie i bohater zaczyna przemawiać gotowymi sformułowaniami ideologicznymi. Są poza tym wzorowi niby święci pańscy, aż się chce zapytać, czy którego z nich nie swędzą plecy, co by mogło oznaczać, że lada chwila wyrosną mu skrzydła.

Znamy starą anegdotę o człowieku, który po raz pierwszy jest w ogrodzie zoologicznym. Obejrzał wszystko, gdy jednak pokazano mu żyrafę, uśmiechnął się niedowierzająco i powiada: nie nabierzecie mnie, takich zwierząt nima.

Czytelnik nasz, obejrzawszy w powieści współczesnej schematy zamiast ludzi, mówi nam to samo:

„nie nabierzecie mnie, takich zwierząt nie ma".

Kto winien dotychczasowemu stanowi rzeczy? Może winien ów słynny ród t. zw. mirmidonów redakcyjnych, ustanawiających zbyt ciasne normy, wynikające z fałszywej interpretacji tez marksistowskich. Lecz widzę także winę po stronie pisarza, którego wyrobienie ideologiczne jest niedostateczne, skoro nie podejmuje on prób przełamania fałszywej postawy wydawcy, skoro nie sięga on po fragmenty życia, charakteryzujące wszechstronnie nasz wielki przełom.

Seweryna Szmaglewska

JAN HERBICH

Wypowiedź przewodniczącego Rady Zakładowej Zakładów Dziewiarskich im. Konopnickiej w Łodzi.

O POSTACIACH ROBOTNICZYCH W LITERATURZE

Jednym z błędów pisarzy jest to, że robotnicy nasi ukazywani w książkach, to najczęściej konie pociągowe, które stworzone są tylko do tego, żeby wciąż jeszcze rękawem gębę ocierać i wykonywać bardzo prymitywną robotę. Zapominamy o tym, że z każdym dniem mamy światlejszego, pojętniejszego, bardziej wymagającego robotnika, bo przy swojej maszynie jest on równocześnie i inteligentem, i inżynierem. Zapominamy, że często robotnik buduje nowe maszyny bez pomocy inżyniera.

Obecnie robotnik to nie jest już ten człowiek, który do niedawna miał na myśli tylko wódkę, a w gębie wulgarne słowa. Robotnik obecny to człowiek zdolny do gimnastyki umysłowej, do jakiej w większości wypadków dawniej byli zdolni tylko inteligenci. Dlatego trzeba robotnika pokazać w książce takim, jakim on jest. Czy fabryka to dla robotnika całe życie? Powiedzmy sobie, że wszyscy, jak tu siedzimy, nie życzymy sobie, aby robotnik 24 godziny na dobę spędzał w fabryce. Zdajemy sobie sprawę, że robotnik ma jeszcze inne życie poza fabryką, choćby te książki, które czyta.

Trzeba mieć otwarte oczy także i na zmiany, jakie zachodzą w rodzinie robotniczej, choćby na dyskusje dzieci z rodzicami na tematy dzisiejszej rzeczywistości... Trzeba wiernie i z sercem pokazać walkę, która toczy się w naszych zakładach pracy, ukazać ją, żeby serca robotnicze zdobyć, bo niejednokrotnie upadek jakiegoś zakładu — to właśnie upadek tych serc robotniczych. Nasza książka musi być podporą, musi być najwierniejszym, najserdeczniejszym przyjacielem robotniczych serc.

Jan Herbich

jest hierarchia tych uczuć. Nie możemy poprzestać na wywoływaniu w czytelniku np. uczucia bólu. Byłoby to utratą połowy naszej zbroi. W poezji musi się ujawnić ideowo opanowany proces uczuciowy. Brak tego procesu uważam za jeden z objawów martwoty, czyli, jak to się mówi dzisiaj — schematyzmu w liryce. Nie istnieją uczucia oderwane od myśli. Podstawą liryki jest wątek myślowo-uczuciowy, który musi mieć swoje tętno wewnętrzne. Bez tego tętna, bez tej pulsacji wychodzą rzeczy złe: martwe, albo histeryczne.

Przeprowadzenie procesu myślowo-uczuciowego przez utwór liryczny decyduje o jego kompozycji, o budowie. Czy obrazy gromadzą się gęściej, czy rzadziej — nie to stanowi o jakości poetyckiej. Sądzę, że raczej precyzja treści, charakter obrazów i ich trafność, selekcja, sposób operowania nimi. Strona kompozycyjna poezji, moim zdaniem, bardzo u nas szwankuje. W gwarze fachowej określa się to słowami: „wiersz się rozlatuje, nie trzyma się kupy". Wzmocnienie strony kompozycyjnej wcale nie powinno osłabiać autonomicznej siły poszczególnych zdań, zwrotów, obrazów poety, które mogą wyjść poza utwór, stać się hasłem, formułą polityczną, cennym zwrotem obiegowym. Bywa w tym wielki triumf poety. Za często stawia się jednostronne pytanie: jak ma poeta przyswajać sobie hasła polityczne. A czy poeta nie ma ich formułować?

✻

Majakowski pisał: trzeba poetów dobrych i rozmaitych. Można dodać do tego: trzeba poezji socjalistycznej rozmaitych rodzajów i stylów. Główny jej ciężar przypada i będzie przypadał na tematykę budowy socjalizmu i obrony pokoju, na tematykę polityczną. Trzeba więc przede wszystkim, aby ta tematyka rozwijała się w rozmaitych rodzajach i stylach.

W tematyce budowy socjalizmu sam Majakowski wprowadzał wielką rozmaitość ujęcia poetyckiego i tonacji. Od poezji marszowo-agitacyjnej do gawędy, od wielkiej retoryki do liryki refleksyjno-filozoficznej. Majakowski ujmował tematy czasem wielkimi syntetycznymi rzutami, czasem brał je wycinkowo, wychodził ze zdarzenia, z sytuacji.

Mówię o Majakowskim nie po to, aby zachęcać poetów do kopiowania go ani też po to, aby wymagać od każdego poety, żeby się zdobył na oba ujęcia. Idzie mi o proste zadokumentowanie, że oba są możliwe i że jedno nie jest bardziej realistyczne niż drugie. Refleksyjny poemat „Pełnym głosem" nie jest mniej realistyczny niż sytuacyjny wiersz o giserze Kozyrewie, ani też na odwrot.

Jeżeli na ogół nie mamy dotąd dojrzałych artystycznie utworów poetyckich, przedstawiających poszczególne postacie, sytuacje, konflikty, to w dużej mierze na niepowodzenia w tej sprawie wpłynęło prostactwo teoretyczne, postulaty nieuwzględniające specyfiki poezji ani bogactwa jej możliwości.

Do utworów, które mają te właśnie ambicje, przykłada się kryterium „wyraźnie narysowanych ludzi", „psychologicznej sylwetki" itp. To kryterium jest i słuszne i niesłuszne. Wystarczy pomyśleć, że omawiany utwór nieraz ma raptem 30 wierszy druku. Czego w takim utworze poeta może dokonać? A może dokonać bardzo wiele. Przypomnijmy sobie, czego dokonał Mickiewicz w drobnym utworze „Czaty". Konkretna sytuacja, konkretny konflikt, konflikt typowy w sensie typowości romantycznej, ale występują w nim tylko najgłówniejsze rysy postaci. Tak dalece, że właściwy bohater, Kozak, objawia się dopiero w ostatnim wierszu, a razem z nim cała ludowa moralność. Mógłby kto na to powiedzieć, że skupienie się na wybranych, najgłówniejszych rysach postaci, że wyogromnienie tych rysów charakteryzuje realizm romantyczny, a my tworzymy realizm socjalistyczny. Chciałbym na to odpowiedzieć, że realizm socjalistyczny dziedziczy pewne strony wszystkich dawnych realizmów. Chciałbym z całym przekonaniem oświadczyć, że gospodarowanie w tym dziedzictwie zależy od specyfiki danej dziedziny. O realizmie krytycznym mówi się od świtu do wieczora, a jaki pożytek ma z tego poeta? Czy realizm krytyczny wydał poezji jakieś naprawdę cenne, wartościowe utwory? Nie zauważyłem tego ani u nas, ani gdzie indziej. Cenne wartościowe utwory owego czasu wyrastają w nurcie demokratyczno-rewolucyjnym, z ideologii antyfeudalnej rewolucji chłopskiej. Na tym polega wartość Konopnickiej.

Dla realizmu socjalistycznego w naszej poezji wielkie znaczenie ma dziedzictwo realizmu renesansowego, oświeceniowego i romantycznego, wydaje mi się, że krytyczne ujęcie tego dziedzictwa stanowić powinno podstawę naszej narodowej tradycji w poezji. Nie możemy czekać aż badacze literatury zanalizują nam cechy tych realizmów, bo właściwie zrealizować można je dopiero w świetle naszej, socjalistycznej praktyki.

Podałem przykład z Mickiewicza. Fakt, że skupienie się na wybranych rysach postaci może uchodzić za cechę realizmu romantycznego, nie przeczy faktowi, że w drobnym utworze poeta nie może postąpić inaczej. Na tym polega trwała wartość doświadczenia romantyków. W ogóle poeta, poza wielką epiką, może dać tylko najgłówniejsze rysy człowieka, najgłówniejsze rysy konfliktu, a wszystko to musi być typowe. Nie może pomnażać rysów, nie może rozszerzać obrazu człowieka. Na czym więc polega to, że prawdziwy poeta nie wpada w martwotę? Otóż poeta może pogłębić te wybrane, główne, typowe rysy, jak nie może tego zrobić prozaik. Liryk może je tak pogłębić jak nie zrobi tego epik. Bo od czego jest specyficzne zagęszczenie środków stylistycznych w poezji, od czego obraz, metafora, od czego — w pewnych wypadkach — liryczne przymierze z przyrodą? Oczywiście — nie metafora w bezdusznym stylu futurystyczno - urbanistycznym; oczywiście — przyroda nie w postaci imaszynistycznych grymasów. Obrazowanie oparte na rzetelnej obserwacji życia, na wiedzy o świecie, obrazowanie nie wrażeniowe, ale moralne, bo taki charakter ma obrazowanie u ludu i u wielkich klasyków wszystkich narodów świata.

Nie przykładajmy więc do wierszy kryteriów powieściowych. Nie mówmy o „wyraźnie" narysowanych ludziach", o „psychologicznych sylwetkach", badajmy natomiast czy wszystkie czynniki są podporządkowane głównej treści, przedstawianej sytuacji psychicznej, czy są tam rzeczy zbyteczne. Jak powiadają, w poezji nie powinno być ani jednego zbytecznego słowa. W istocie idzie o specyficzne zagęszczenie treści i stylu. Jestem głęboko przekonany, że takie postawienie sprawy pomoże poetom osiągnąć dojrzałe artystycznie utwory, w których znajdą odbicie typowe sytuacje, typowe konflikty naszego okresu, okresu budowy podstaw socjalizmu. Nawet w małych utworach może być wygrana wielka szansa.

Słuszne jest zachęcanie poetów do wielkiego oddechu, do większych utworów. Zarówno w liryce jak w epice. Ale trzeba te rodzaje rozróżniać na zdrowy rozum. Tymczasem powstało dzikie zamieszanie, bo jakoś panuje u nas mania przeciwstawiania rzeczy, które mogą żyć i rozwijać się obok siebie w kulturze socjalistycznej. Zamiast teorii bogacenia gatunków zubożałych w kulturze burżuazyjnej, mamy teorię konkurencji i pożerania się gatunków. Teoria ta jest całkowicie zgodna z praktyką społeczną burżuazji i jej estetyką, tylko że przenicowana. Podobno pewien krytyk nawet postawił tezę: liryka jest szkodliwa i reakcyjna, bo przeszkadza odrodzić się epice. Si non e vero e bene trovato.

Epika to wielka rzecz, ale nie samą epiką żyje człowiek socjalizmu. Majakowski nie był epikiem, a jednak był największym poetą naszej epoki. Niestety spekulacje teoretyczne nie liczą się z faktami. Ktoś wyczytał w jakiejś starej czcigodnej poetyce, że epos jest wyższym gatunkiem niż liryka, a że w przyrodzie wyższe gatunki wywodzą się z niższych, więc epika ma się zrodzić z liryki. Epika daje obraz ludzi w działaniu, w rozwoju, akcję, szerokie tło — a więc epika jest bardziej realistyczna. A więc droga do realizmu to droga od liryki do epiki. Rozumowanie na pozór logiczne, w istocie niedorzeczne.

Wiadomo, że wielu dojrzałych poetów próbowało przejść od liryki do epiki. Niestety, nie udawało się — co wtedy robili? Wracali do metod lirycznych, przerabiali materiał na szereg wierszy lirycznych. Przejście od liryki do epiki musi być aktem świadomej decyzji artystycznej, zmiana metody odbywa się w świadomości poety a nie w utworze. Na szczeblu naszej kultury nie może to być procesem żywiołowym. Wynika to z prostego faktu, że liryka jest dojrzałym artystycznie gatunkiem poezji, który ma wszelkie dane dalszego rozwoju.

Z rozbicia liryki nie rodzi się żadna epika. Jeśli kto traktuje lirykę jako plazmę bez żadnej organizacji, jeśli nie odróżnia uczciwie opracowanego utworu od plazmy, to oczywiście łatwo mu takie teorie wymyślać. W takiej atmosferze żywe ambicje poetyckie schodzą na manowce. Powstają utwory nieszczęśliwie poronione. Nie wiadomo dlaczego uchodzą za zwiastuny nowej epiki utwory, których jedyną zaletą jest to, że zawierają kilka niezłych partii lirycznych. Gdyby nie wmawiano w poetów, że przejdą tą drogą do epiki, to oczywiście osiągnęliby lepsze wyniki w liryce socjalistycznej.

Gdyby było to tylko kwestią niedojrzałości artystycznej, nie byłoby zagadnienia. Niedojrzałość łączy się u nas ze szczególnymi objawami, o których łatwo generalnie pomówić.

Antoni Słonimski słusznie zauważył: przyzwyczajono się u nas do tego, że poezja może być niedorzeczna, że zdania mogą się urywać w połowie. Niewątpliwie stępiała wrażliwość redaktorów. W imię czego doszliśmy do takiego lekceważenia czytelników, rozsądku i języka?

Niewątpliwie chciano zachęcić i ośmielić niedojrzałe jeszcze talenty. Czy takie bezkrytyczne drukowanie niedorzeczności jest właściwą polityką nawet w stosunku do niedojrzałych talentów? Wynik jest taki, że niektórzy od wielu lat piszą niektóre utwory niepojętym językiem, a krytyka traktuje ich poważnie.

Sporo jest zwyczajnego niechlujstwa, to prawda, ale zwyczajne niechlujstwo otrzymuje rozgrzeszenie w atmosferze nadzwyczajnego stosunku do słowa i do artyzmu. Dlaczego za czasów Mickiewicza niedojrzałość objawiała się w diabelnie logicznych i arcynudnych wierszach pisanych według poetyki pseudoklasycznej, a dzisiaj objawia się w postaci niedorzeczności? Czy dlatego, że utorowaliśmy drogę ideom socjalistycznym? Czy idee socjalizmu powodują aż taki kataklizm w ludzkiej mowie, że trzeba zaczynać od nieludzkiego wolapiku? Nic podobnego. Po prostu dlatego, że nie zwalczyliśmy pozostałości po gnilnym okresie kultury burżuazyjnej. Konsekwencja jest taka, że zdrowe, ideowe pędy, ambitne próby podjęcia tematyki dzisiejszej często grzęzną w fałszywej poetyce i zamiast pożytku przynoszą szkodę.

Po pierwsze mamy reperkusje rozkładu poezji przez poetyki ekspresjonistyczno-formalistyczne. Szczególną rolę odegrał ekspresjonizm, który próbował zastąpić wątek myślowo-uczuciowy wybuchami, dynamiką skoków myślowych.

Po drugie — oderwanie się od podstaw tradycji poetyckiej, po trzecie — fałszywa ambicja, aby stworzyć w nowej poezji nowy gatunek. Łączy się to z ambicją formalistycznie pojmowanej oryginalności.

Tu chciałbym zapytać (chociaż będzie to rozważanie ogólnikowe, ale może w jakiś sposób okaże się pożyteczne), chciałbym zapytać, jakie kryterium odpowiada realizmowi, kryterium oryginalności czy trafności? Jeżeli powiadamy, że obraz poetycki czy metafora jest trafna, to odwołujemy się do społecznego doświadczenia, postulujemy charakter poznawczy sztuki. Obraz trafny harmonizuje z wątkiem myślowo-uczuciowym i równocześnie bogaci naszą wiedzę.

(Dokończenie na str. 10-tej)

JERZY PUTRAMENT

PODSUMOWANIE DYSKUSJI

(fragmenty)

Wystąpienia kol. Szmaglewskiej i kol. Bobińskiej dadzą się dość dobrze ze sobą powiązać. Kol. Szmaglewska powodowana najlepszymi i najszczerszymi chęciami poruszyła w swoim wystąpieniu szereg spraw drażliwych i ostrych. Kol. Bobińska przytoczyła bardzo ciekawy przykład walki pisarza o swoje dzieło i apelowała do nas, abyśmy nauczyli się tej gorącej wiary w swój utwór, tej siły walki o rzeczy uznane przez nas w utworze za słuszne.

Jak można połączyć te dwa wystąpienia? Bardzo prosto. Nauka, którą nam sugerowała kol. Bobińska, jest niewątpliwie słuszna, ale aby móc walczyć do ostatka o prawdę swego utworu, trzeba mieć pewność, że ta prawda jest prawdą obiektywną, a nie drobną prawdą naturalistyczną.

Kol. Bobińska w swojej walce z niemądrymi wydawcami była już wyrobionym ideowo człowiekiem, miała praktykę aktywisty politycznego. Właśnie ten aktywny stosunek do życia dawał jej siłę w walce z niemądrym redaktorem jakiegoś wydawnictwa.

Jakie z tego wnioski dla nas, pisarzy? Jeżeli mamy rzeczywiście walczyć o nasze utwory, to pierwszym warunkiem jest wyrobienie się nas samych, wyrobienie w nas tej mocnej postawy politycznej pisarza.

Kol. Szmaglewska zaprezentowała nam w swoim wystąpieniu szlachetne pobudki, trzeba jednak, aby doskonaląc swoją znajomość życia współczesnego, patrzyła na nie w wielkiej skali, aby nie poddawała się w sugestii drobnych faktów, które tu czy ówdzie mogą jej przesłonić zasadnicze proporcje naszego życia.

Chciałbym ustosunkować się do wystąpień kol. Gaworskiego i Pollaka. Były one niesłuszne z powodu ogólnikowego ataku na całą naszą młodą poezję, tak jakby od rocznika 1928 w dół — byli sami dobrzy poeci, a w górę — sami źli. Nie można adresować zarzutów tylko do młodych poetów. Aczkolwiek nie było szczególnie wybitnych debiutów poetyckich w ciągu ostatnich lat, to jednak można wskazać tuzin czy pół tuzina debiutów bardzo ciekawych. Każdy z tych młodych poetów czy to będzie Gaworski czy Litwiniuk, Hołda czy Mandalian — wniósł już pewne wartości do rozwoju naszej poezji. Od nas teraz w dużej mierze zależy, czy rozwiną się oni dalej.

W ostatnim numerze „Nowej Kultury" opublikowano 11 utworów poetów z naszych młodzieżowych kół z różnych miast polskich. Można powiedzieć, że żaden z tych wierszy nie jest artystyczną rewelacją, ale nie można zaprzeczyć zarysów własnej indywidualności poetyckiej każdemu z tych autorów. A jakie treści wyrażają ich wiersze? Oddają one w mniej lub więcej udatny sposób ideologię nowego człowieka, człowieka socjalistycznego. Jak widać potępianie w czambuł całej młodej poezji jest zupełnie nieusprawiedliwione istotnym stanem rzeczy. I mało tego, że jest nieusprawiedliwione — jest również niepedagogiczne.

Kol. Grodzieńska mówiła, że nie realizuje się uchwał zeszłorocznego Plenum, poświęconego literaturze dziecięcej. Uchwały te rzeczywiście realizuje się słabo. M. in. z dużym opóźnieniem realizuje się podstawową uchwałę tego Plenum — stworzenie wyspecjalizowanego wydawnictwa literatury dziecięcej. Dlaczego tak powoli wciela się w życie nasze postanowienia? Mamy wielu kolegów, którzy chętnie zabierają głos, występują, wytykają błędy (słusznie, że wytykają), ale jeśli poprosić ich o współpracę w Związku, okazuje się, że na nich liczyć nie można.

Słuszne były uwagi kol. Siekierskiej o konieczności poszerzenia kontaktów z czytelnikami. Mamy dotychczas dwie formy tych kontaktów — wyjazdy w teren i wieczory autorskie, eweutalnie dyskusje w zakładach pracy. Te formy są bardzo ważne i dobre, ale nie wystarczające. Powinniśmy zaprosić czytelników na nasze dyskusje. Na obrady naszych sekcji twórczych powinni przychodzić czytelnicy z różnych środowisk, przede wszystkim ze środowiska robotniczego. Trzeba oczywiście tak zorganizować dyskusję, aby wszyscy jej uczestnicy przeczytali uprzednio utwory. To jest jedna z form kontaktu z masowym czytelnikiem, którą bezwarunkowo musimy wprowadzić w życie.

Wiele nieporozumień wywołuje w dalszym ciągu sprawa schematyzmu. Oczywiście nie jest schematyczna sama sytuacja fabularna, która powtarza się w licznych utworach literackich. Schematyzm to nie jest schemat. Cały mój referat był poświęcony temu, żeby nadużywane i stające się źródłem nieporozumień pojęcie schematyzmu rozbić na konkretne i uchwytne treści. Wysunąłem kwestię wulgarnego socjologizmu w kreśleniu postaci i kwestię niedialektycznego przedstawiania procesów rozwojowych naszej rzeczywistości w budowaniu powieściowych konfliktów.

Kol. Kierczyńska bardzo słusznie sprostowała i rozwinęła pewne tezy mojego referatu. Mianowicie tam, gdzie mówię o wulgarnym socjologizmie w ukazywaniu postaci powieściowych, sformułowanie moje jest takie, że możemy dojść do wniosku, iż istnieje jakiś immanentny charakter psychiczny, niezależnie od rzeczywistości, od konkretnego życia, od układu losu człowieka.

Wulgarny socjologizm polega na upraszczaniu zagadnienia charakteru ludzkiego, na sprowadzaniu go tylko do sprawy pochodzenia społecznego człowieka. Nie docenia momentu indywidualnego losu, bytu człowieka w konkretnych warunkach społecznych, w których on żył.

(...). Bywa tak, że pisarz pisze pod redaktora, pisze nie tak, jak jemu w jego świadomości się układa, nie tak jak on rozumie dany temat, tylko tak, jak mu się wydaje, że rozumie ten temat jego przypuszczalny redaktor wydawnictwa. I to jest bardzo poważne źródło schematyzmu.

Z czego ono wynika? Nie wynika z tego, że znakomita większość naszych kolegów jest ludźmi nieuczciwymi albo nieszczęśliwymi. Nie. To się trafia oczywiście, można przytoczyć akty jawnego cynizmu w traktowaniu tego zagadnienia. Ale przyczyna zasadnicza jest inna. Jest nią niedostateczne wyrobienie polityczne naszych kolegów Nie są pewni, nie mają tej pewności, którą miała kol. Bobińska, kiedy walczyła z wydawnictwami. Jeżeli chcemy zostać dobrymi pisarzami, musimy podnieść swą świadomość polityczną, bo inaczej czy chcemy, czy nie chcemy, tu i ówdzie będziemy pod tego wyimaginowanego redaktora pisali, a takie pisanie raz się uda, trzy razy się nie uda.

Jednym słowem zagadnienie naszego wyrobienia politycznego i zagadnienie wartości artystycznej dzieła literackiego wiążą się ze sobą — stanowią jedno.

Wielu kolegów mówiło o trudnościach swego życia. Jeżeli chcemy, żeby atmosfera naszego Związku była dobra, jeżeli chcemy, żeby praca naszego Związku polepszyła się, jeżeli chcemy, ażeby literaci zdobyli wyższy poziom polityczny, nieodłączny od walki o wysoką wartość artystyczną swej twórczości, musimy znacznie rozszerzyć akcję wyjazdów w teren, kontaktów z terenem... Mogą być formy tego kontaktu rozmaite. Jeden z dyskutantów mówił, że literat może znaleźć się w terenie jako dziennikarz, drugi mówił, że jako stypendysta, trzeci proponował, żeby iść pracować do fabryki lub spółdzielni produkcyjnej. Oczywiście, żaden z tych sposobów nie daje gwarancji powstania dobrego dzieła literackiego. Znam literata, który zjechał do kopalni, pracował w kopalni parę tygodni, a książka wyszła niedobra. Żaden z wymienionych sposobów nie jest jakimś panaceum, nie daje gwarancji, ale każdy z nich daje możliwości.

Była podczas dyskusji proponowana forma zapraszania robotników na spotkania z literatami i na nasze robocze konferencje. Słusznie. Jeżeli Mahomet nie chce przyjść do góry, niech góra przyjdzie do Mahometa.

Chcę jeszcze wrócić do zagadnienia wyjazdów w teren: tutaj przykład kol. Zalewskiego jest typowy. Zalewski przebywał w spółdzielni produkcyjnej i **czynnie pomagał w pracy spółdzielni.** Są na ten temat głosy z terenu, które zupełnie okólną drogą do nas doszły. Właśnie **czynne** przebywanie w terenie, nie po to, żeby obserwować, tylko po to, żeby brać udział w walce, prowadzi do przekreślenia groźby schematyzmu, jak również stworzy właściwe, słuszne formy pracy Związku. Oto pierwszy, najważniejszy z wniosków, stających przed nami w wyniku naszego Plenum.

Drugi wniosek jest bardzo prostym, organizacyjnym wnioskiem. Stosunek instytucji upowszechniających do tematyki współczesnej.

Zdarza się np. przetrzymywanie przez wydawnictwo sztuki lub książki o tematyce współczesnej, bo według pojęcia tego czy innego redaktora są to rzeczy słabe. Osobiście zetknąłem się z faktem przetrzymywania w wydawnictwie przez rok książki bardzo zdolnego poety, do którego czepiało się kilku recenzentów, jakoby tu „nie wyciągnął", tam dał śmieszne porównanie i książka przez rok marynowała się i po dzień dzisiejszy nie wyszła. Moim zdaniem byłby to jeden z najlepszych debiutów poetyckich ostatnich lat, a w każdym razie byłaby to książka na poziomie przeciętnej produkcji poetyckiej. Słabości tej książki były słabościami technicznymi, a nie ideologicznymi. Książka wyrażała nowego człowieka w sposób może nie doskonały, ale nowy, aktywny, entuzjastyczny. A jednak tak długo wędrowała po wydawnictwie aż wreszcie poradziłem autorowi, aby dał ją do innego wydawnictwa. Dlaczego? Dlatego, że wymogi stosowane do tej książki przez recenzenta i redaktora były przesadnie wysokie.

Czy to jest jedyny przykład? Nie. Mógłbym jeszcze przytoczyć parę innych.

W wystąpieniu kol. Jasińskiego podano nam rzeczywiście drażliwe przykłady takich czy innych nieporadności w sztukach pewnego autora. Dlaczego ten zły autor pisze tyle sztuk? Bo nie piszą ich inni pisarze. Czy to jego wina? Nie. Ogółu pisarzy. Niedawno dowiedziałem się ciekawego szczegółu na temat nieciekawych sztuk owego krytykowanego tu (i słusznie) autora. Sztuki jego są grane przez setki zespołów amatorskich i w poszczególnych wypadkach zdarzało się, że artystów grających w sztuce „Zaprzęgaj konia" obrzucano kamieniami. Ta „krytyka" miała za swoją przyczynę nie schematyczność sztuki, ale jej współczesność, bojowość, poruszanie przez nią nieprzyjemnych dla kułaka treści społecznych, ukazywanie kułaka.

Jednym słowem, dopóki nasi dramaturdzy nie napiszą lepszych sztuk, takie będą grane, jakie są, ponieważ mimo wszystko one mobilizują w tej czy innej mierze do walki z wrogiem klasowym i uderzają w niego.

Aby powstawało więcej dzieł o tematyce współczesnej, należy inspirować autorów. Kto powinien inspirować? Wydawnictwo przede wszystkim, Związek Literatów w pewnej mierze. Jak inspirować? Tak jak już o tym była mowa: dostarczyć autorowi dokumentacji, ułatwić wyjazdy w teren. Wyjazdy w teren, podkreślam raz jeszcze, są koniecznością.

Na zakończenie poddamy pod głosowanie projekt rezolucji — nie wierzę w jakąś wszechmoc uzdrawiającą rezolucji — ale sądzę, że częściowo pomoże w realizacji wniosków, jakie na Plenum wysunięte zostały, i co ważniejsze — ułatwi kontrolę tej realizacji.

Jerzy Putrament

REZOLUCJA
IV PLENUM ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Po zapoznaniu się z treścią referatu „O niektórych zagadnieniach tematyki współczesnej w naszej prozie 1950 — 1952" oraz po wysłuchaniu dyskusji — IV rozszerzone Plenum Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich stwierdza co następuje:

Mimo poważnych osiągnięć naszych prozaików, poetów i dramaturgów trzeba stwierdzić fakt nienadążania naszej literatury za nurtem życia, niepełnego i niedostatecznego odzwierciedlania w utworach naszych pisarzy obrazów budownictwa socjalizmu w Polsce Ludowej, zwycięstw i osiągnięć przodujących ludzi naszej Ojczyzny.

Wiele utworów cechuje niewysoki poziom artystyczny, płytko ó w przedstawianiu bogactwa naszego życia, niskie napięcie ideowe. Dziesiątki ważkich tematów, problemów, konfliktów i spraw ludzkich,w które obfituje życie, są przez pisarzy niezauważane, pomijane.

Źródło nienadążania naszej literatury za wartkim tempem socjalistycznego budownictwa należy upatrywać w niepełnym, niecałkowicie dojrzałym zrozumieniu i wyczuciu tego wszystkiego co zachodzi dookoła nas, w niedostatecznym zrozumieniu sensu walki, która się toczy, form tej walki w aspekcie ludzkich losów, ludzkich przeżyć, ludzkich przeobrażeń. Wielu pisarzy w powierzchowny sposób poznaje naszą rzeczywistość i w niedostateczny, powolny sposób podwyższa swój kunszt pisarski. Należy również zanotować fakt, że przytłaczająca część utworów o współczesnej tematyce pisana jest przez ludzi o zbyt małym doświadczeniu życiowym.

Jednocześnie można zaobserwować przykłady odchodzenia pisarzy od trudnej tematyki, odzwierciedlającej budowę socjalizmu. Należy zaznaczyć z całym naciskiem, że mimo wielkiej wagi, jaką przywiązujemy do utworów odzwierciedlających wspaniałą przeszłość naszego narodu i jego wielkich synów — w żadnym wypadku ta dziedzina naszego pisarstwa nie może zastąpić utworów o tematyce współczesnej, nie może stać się powodem zmniejszania się naszych zainteresowań tematyką budownictwa socjalizmu.

IV rozszerzone Plenum ZG ZLP stwierdza z całą ostrością, że centrum zainteresowań naszych poetów, satyryków, dramaturgów, prozaików oraz pisarzy dla dzieci i młodzieży — winno stanowić życie naszego narodu w ciężkim trudzie wznoszącego wielkie budowle Planu 6-letniego, narodu przekształcającego się w naród socjalistyczny.

Dlatego — biorąc pod uwagę wielkie znaczenie literatury w dziele kształtowania świadomości narodowej i w dziele wychowania młodzieży — najtrudniejsze i najbardziej odpowiedzialne zadania spadają na literatów pracujących nad utworami o tematyce budownictwa socjalizmu i obronności kraju.

Celem poprawy sytuacji w literaturze współczesnej, podniesienia jej na wyższy poziom ideowo-artystyczny, należy:

a. znacznie rozszerzyć krąg pisarzy podejmujących tematy naszej współczesności, szczególnie apelując do mistrzów naszej prozy, poezji i dramatu o żywszy i czynniejszy udział w kształtowaniu realizmu socjalistycznego w literaturze polskiej,

b. szczególną opieką otoczyć pisarzy, pracujących nad utworami przedstawiającymi budowę socjalizmu w naszym kraju,

c. odrodzić i wzmocnić akcję wyjazdów w teren, udzielania stypendiów na wyjazdy, przy jednoczesnym zaprowadzeniu dokładnej kontroli rezultatów twórczych tych wyjazdów,

d. polecić Zarządowi Głównemu stałą i systematyczną kontrolę wykonania tej uchwały,

e. biorąc pod uwagę szczególnie trudną sytuację w literaturze dla dzieci i młodzieży polecić innym sekcjom pomoc dla sekcji literatury dziecięcej i młodzieżowej.

f. celem pogłębienia pracy sekcji twórczych — zapraszać systematycznie na zebrania przodujących robotników, chłopów i inteligentów pracujących, stale podnosić poziom pracy ideowo-politycznej w sekcjach — za ten punkt uchwały czyniąc szczególnie odpowiedzialnymi przewodniczących sekcji prozy, poezji i dramatu,

g. wezwać wydawnictwa, Centralny Zarząd Teatrów oraz inne instytucje do zwrócenia szczególnej uwagi na twórczość o tematyce budowy socjalizmu i obronności kraju. Należy inspirować autorów do twórczości o tej tematyce, dopomagać im dokumentacją, pracować starannie nad utworami, ustrzegając się od pochopnego ich dyskwalifikowania,

h. wezwać Dom Książki, Centralny Zarząd Bibliotek oraz CRZZ i ZSCH — do śmiałej popularyzacji literatury współczesnej, która bardzo często na skutek nie zawsze sprawnej działalności wymienionych instytucji — do masowego czytelnika nie dociera.

O Tadeuszu Borowskim — poecie

Tadeusz Borowski pojawił się w literaturze polskiej jako poeta. Pojawił się w niej, kiedy literatura mówiła szeptem, kiedy krzyczała szeptem, gryzła palce z bólu, kiedy smagała serca piekącą nienawiścią do okupanta, kiedy gubiła się w beznadziejnym, tragicznym kręgu oszukanego pokolenia. Wszedł do niej, kiedy żyła życiem konspiracyjnych wieczorów, ulotek odbijanych na powielaczach, cienkich zeszytów drukowanych w moskiewskich czy kazańskich drukarniach. Zależnie od świadomości politycznej i losów osobistych jej twórców równocześnie stać ją było na bezkompromisową walkę z faszyzmem i na idealistyczne, bezwyjściowe zarażenie pseudofilozofią „tragizmu". Tadeusz Borowski pojawił się w niej w r. 1942 jako autor zeszytu poetyckiego „Gdziekolwiek ziemia...", którego 165 egzemplarzy własnoręcznie odbijał na hektografie, obcinał i suszył na strychu. W r. 1944 wydał, również konspiracyjnie, „Arkusz poetycki". Po wyjściu z Oświęcimia i Dachau w 1945 r. wyszły w Monachium — zbiorek „Imiona nurtu" i utwór „Poszukiwania". To były, oprócz nielicznych wierszy drukowanych w czasopismach po powrocie do kraju, jedyne publikacje poetyckie tragicznie zmarłego pisarza. Borowski pisał wiersze do ostatnich dni życia. Jak zwykle surowy i wymagający wobec siebie w latach swego najbujniejszego rozwoju pisarskiego traktował je jako fragmenty, zapiski, bruliony, wynikające z prywatnej, osobistej potrzeby. Nie zasługiwały jego zdaniem na druk. Pasja prozaika i publicysty zadominowała nad spojrzeniem na świat liryka. Czy Tadeusz Borowski był poetą? Z pokaźnej ilości ponad stu kilkudziesięciu pozostałych po Nim wierszy, można wysnuć niewątpliwy wniosek: był poetą i miał wszelkie dane, ażeby w toku normalnego rozwoju i dalszej pracy nad sobą skrystalizowała się jego wyraźnie zarysowana indywidualność. Samokrytycyzm autora wydaje się nieraz zbyt surowy, a jednocześnie wzbudza szacunek dla tej wielkiej troski o pełne wyrażenie prawdy i odpowiedzialności za słowo, jakie zawsze cechowały Tadeusza Borowskiego.

Najobfitszy okres jego twórczości poetyckiej przypadał na lata okupacji i pobyt w Monachium wyzwolonym przez Amerykanów. W wierszach okupacyjnych, przesiąkniętych całą specyficzną dla ówczesnego pokolenia młodych poetów ze środowiska warszawskiej inteligencji atmosferą tragizmu i pewnej mitologizacji historii, uderza nuta humanizmu i żarliwej wiary w człowieka, która pobłębiona i skonkretyzowana pozostała już jako zasadniczy, moralny rys postawy wobec świata Tadeusza Borowskiego, jako człowieka i pisarza. Obok tego w odróżnieniu od innych poetów rówieśników, mamy w tych wierszach cechy pewnego klasycyzmu i prostoty w formie. Wiersze obozowe oraz monachijskie są już nasycone realiami konkretnego świata, obserwujemy w nich nie tylko postawę, ale i pewne motywy, które rozbudowane, w pełniejszej formie ukształtowały oblicze jego opowiadań. Mamy tu ciekawy przykład, jak pisarz w docieraniu do prawdy poszukiwał formy umożliwiającej najpełniejsze oddanie zamierzonej treści i rezygnował z tego, co jego zdaniem było jeszcze niepełne, czy ułomne. Obok „zarażenia śmiercią", pewnych nutek specyficznego nihilizmu wobec starego świata, połączonego z żarliwością moralizatora, widzimy tu już piekącą satyrę spojrzenia, brutalnie demaskatorskiego, naszpikowanego naturalizmem nieraz, a jednocześnie zdecydowaną, świadomą nienawiść do wszelkiego faszyzmu, choćby nawet okrytego gwiaździstym sztandarem „wyzwolicieli". W tych wierszach opisujących „noc zza oceanu" widzimy już zaczątki nowego Borowskiego, jaki wyszedł z piekła obozów faszystowskich i jakim już został do końca: nieznużonego demaskatora imperializmu, bojownika o pokój, wierzącego gorąco w braterstwo wolnych ludów. Coraz większe upolitycznienie tej poezji, coraz większy ładunek myślowy, przy rezygnacji z wszelkich formalnych smaczków, doprowadziły w ostatnim okresie do pewnej surowej aforyczności tych wierszy, przypominającej Bertolda Brechta. A jednocześnie, gdy odpadała konieczność mówienia o „tamtych", stać go było na kilka prostych, niemal dziecięcych w swej ufności i spokoju liryków. W nich ukazywał się ten drugi Borowski, u którego jak u każdego uczciwego człowieka miłość i nienawiść splatały się ze sobą nierozdzielnie. Miłość do człowieka i nienawiść do jego gnębicieli i morderców.

Andrzej Braun

TADEUSZ BOROWSKI

W PIERWSZĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI

WIERSZE

* * *

Na zewnątrz noc. Goreją gwiazdy,
żandarmów ostry krzyk w ciemności,
aeroplanów twardy warkot
i dziki tupot, jęczy bruk
deptanych ulic, płoną stepy
i jak potopu gniewną falą
pulsuje noc zwycięzców krzykiem
to wiek, nasz wiek, przeklęty wiek
rzuca wezwanie przyszłym wiekom...

A przecież tylko to ocali
nasz czas od zguby i od zemsty
przyszłych dni grozy i rachunku
i tylko to na brzeg wyrzuci,
jak szczep brzemienny, winną gałąź
morze dni naszych proste słowa,
że odnalazłem ciebie. Człowiek,
który nadejdzie po nas, pieśni
zapomni naszych znienawidzi
wołań i skarg helotów, ale
gdy wyjdziesz mu naprzeciw ty
jak gdyby inna lecz tak samo
dziwna i czuła, dłoń podniesie
jak wobec gwiazd obronnym gestem
i powie odnalazłem ciebie...
i moim słowem będzie mówił,
moją miłością będzie kochał...

MODLITWA O ZAPOMNIENIE

...a jednak wierzę, że w piersiach ludzi
wstanie straszliwy płacz i groby wzruszy.
I będą wołać umarłych i budzić
zamordowanych...

I ważyć będą w dłoniach zgniły proch
i ku niebu wznosić twarze, krzycząc.
Lecz próżny będzie pustej skruchy szloch
i łza goryczy.

Bo nadejdą umarli z ziemi i z mórz,
z błota obozów, ze strzeleckich wnęk,
a w piersiach — bagnet, kula i nóż,
a w oczach — rozpacz, nienawiść i lęk.

Nadejdą opuchnięci z głodu
i nie będą już chcieli chleba,
nadejdą zadławieni gazem
i nie będą już chcieli powietrza,

nadejdą zakłuci bagnetem
i nie będą już chcieli bandaży,
nadejdą spaleni żywcem
i nie będą już chcieli wody,

nadejdą matki ciężarne,
nadejdą dzieci bezmyślne,
których popiół rozgarnął
nurt w Wiśle,

nadejdą proste dziewczęta
z Brzezinek, z Bergen, z Palmir,
i będą patrzeć natrętnie
w oczy żandarmom.

nadejdą mężczyźni w szarżach
kolumnami po kilka tysięcy
i będą żywych oskarżać
podnosząc związane ręce —

i otworzy się grobowa zieleń
jak przeżarte zgnilizną piersi
i powstaną z dołów moi przyjaciele,
znaczeni pogardą śmierci,

i odgarną z czoła rdzę i pleśń
prostym ruchem przebudzonych dzieci,
i nadejdą, niosąc skargę, jak pieśń
przeciw żywym — umarli poeci —

i przyjdą ludzie z otchłani wiecznej,
z nieba, i z czyśćca, i z piekieł,
żeby sądzić sądem ostatecznym
ciało żywego człowieka.

NOC ZZA OCEANU

Jak twarz trupa mrok siniał przede mną,
w oczy zgniłym zacinał deszczem,
i śmierdziała jak zaraza noc,
przywleczona aż zza oceanu.

Już wychleli ją jak flaszkę whisky,
już nią brzuchy naleli jak zupą,
pod łopotem sflaczałej flagi
darł się Francuz: „Niech żyje de Gaulle!"

Jak burdele świeciły baraki,
patriotycznym dymiły się śpiewem,
wolność! wolność! macali dziewczęta
i łapczywie gotowali kartofle.

Ja w tę noc napuchniętą deszczem,
w mroku dusznym i tępym jak czad,
po obozu rozmokłych ścieżkach
jak bezdomny błąkałem się pies.

Od dławiących się krzykiem baraków
podchodziłem pod druty, w mrok.
Tam w milczącej ziemi grzebali
Towarzysze umarłych towarzyszy.

Ja w tę noc, napuchniętą deszczem,
świat i obóz przeszedłem od nowa.
Ja w tę noc szukałem ojczyzny.
I poszedłem między towarzyszy.

* * *

Ja wiem, że żyjesz. Jakże mogą
inaczej sens mieć cień i światło
dalekich, zimnych gwiazd, refleksów
kryształu świata. Czarna ziemia
błyszczy jak rtęcią rosą, lasy
nad horyzontem ciemne rosną
jak ponad sinym, morskim dnem
i krew pulsuje jakby taktem
odpowiadała taktom fal
morza wszechświata, które tak mi
jest bliskie i dalekie razem
i które twoją krwią pulsuje.
Czuję, że jesteś, wiem, że jesteś.

Dachau, 1945

WIECZÓR W MONACHIUM

Inni mówią, że w miastach obcych, nieznajomych
błąkają się i tęsknią. Lecz u mnie inaczej.
Ja, kiedy w obcym mieście wychodzę na spacer,
spotykam znanych ludzi i znajome domy.

Ta ulica, gdzie w mury noc cieniem się wplata
i czerni zieleń topól, księżyc w złocie topi
to zupełnie ruiny jak z Nowego Świata,
tylko że tam nie było smutku ani topól.

Idę jak Alejami, patrzę, myślę, marzę,
oceniam piersi dziewcząt i bioder wysmukłość,
a kiedy ktoś się do mnie obróci wprost twarzą
to poznaję ją dobrze. Jednak trochę smutno.

Ta pani w bereciku ze złotym kutasem
usta ma umaczane w jaskrawym karminie,
łasi się do Murzyna. A Murzyn jest klasyk
i nieznane jej rzeczy mówi o Plotynie.

A ta pani... O, właśnie zmierzają do parku,
idą ścieżką po liściach uwiędłych i suchych,
ta pani była... Wiem już! Była sekretarką
sekretarką w Warszawie, na Alei Szucha.

Tego pana na prawo w bobrowym kołnierzu
z opaską MR — także sobie przypominam,
lecz był wtedy w mundurze. Był w SS-żołnierzem.
Dawno temu. W przesławnym mieście Oświęcimiu.

Ten kolejarz, co wolno powraca z roboty,
znam go! Nie patrzy na mnie, niby czymś zajęty —
to przecież jest mój majster z armii pracy Todta,
raz tytoń wziął ode mnie na jakieś dwa skręty.

Miał mi chleba dać. Nie dał. Ale go nie podam
komisji odszkodowań, choć ten chleb był więcej
wart dla mnie w czasach lagru, flegmony i głodu
niż żołd, co teraz dają — ta kupa pieniędzy...

Tak, wszystko jest znajome. Ludzie i ruiny
i mrok jest coraz gęstszy i coraz mi bliższy.
Tak — poznaję to teraz. Ten księżyc. Ta cisza.
Ten mrok. Ten zapach. Pachnie Oświęcimiem.

O, liryczne Monachium, ty jesteś odwieczne,
jak słońce jutro wstaniesz, chociaż dzisiaj zaszłoś.
Wtem ktoś trąca o ramię. Uśmiecha się grzecznie,
boy z Military Police i prosi o paszport.

* * *

A jednak — przez słowa zacięte,
jak przez rąbaną ścieżkę,
odnajdę, muszę odnaleźć
moją prawdziwą poezję.

Jak po śmiertelnej chorobie
świat muszę zacząć — na nowo,
każdego kształtu się uczyć,
i składać mozolnie słowa.

Któż śmie — po wojnie straszliwej
agitką po placach krzyczeć?
ja — będę mówił spokojnie.
Przeżyłem. Umarli milczą.

Oczami patrzeć w świat prosto,
oddychać swobodnie piersią
człowieka, który żył długo
jak z towarzyszem — ze śmiercią.

WOŁANIE

Patrzę: w porannym blasku
monachijskie, złote topole.
Ale ty tamte drzewa, warszawskie,
na pewno wolisz.

I na pewno warszawskiego nieba
wolisz błękitny bezkres.
Czyż cię jeszcze smutniej wołać trzeba,
jeżeli jesteś?

* * *

Powrócę, Matko. Wezmę siekierę
i pójdę drzewa na opał urąbać,
ugotujemy zupy z marchewek
i kapuścianych surowych głąbów.

Powrócę, Matko. Zamieciesz izbę,
dasz mi się umyć i dasz coś zjeść.
Szkoda, nie umiem, można nad Wisłą
kosze z wikliny na sprzedaż pleść.

Powrócę, Matko. Sprzątniemy ścieżki
wstawimy okna, skopiemy ogród,
mam takie ręce, co będą mogły
kamienie nosić i pisać wiersze.

DEDYKACJA

Staszku, mój przyjacielu,
oto ze wszystkich na ziemi więzień
wracam do ciebie jak dawniej
lotem poezji.

Oto lot ten przydusza ciemność,
gnie do ziemi i zbija z nóg,
Podnieś go Staszku ostrożnie
jak ciało rzucone na bruk.

CZYTANKI DLA AMERYKANÓW

Auf der Mauer stand mit Kreide:
Sie wollen den Krieg.
Der es geschrieben hat
ist schon gefallen.
(Bert Brecht: Deutsche Kriegsfibel)

1

Mówicie, że poezja nie jest polityką.
Nie obchodzi was głód dziecka
ani wspólny grób żołnierzy.
Nie zaglądacie do miski bezrobotnego
ani w portfel kapitalisty.
Daliście nagrodę literacką Ameryki
faszyście i zdrajcy, którego ukryliście przed narodem
w szpitalu dla obłąkanych.

2

Bankier zakłada nogi na stół.
Menager zakłada nogi na stół.
Milioner zakłada nogi na stół.
Dziecko, które ten stół co dzień sprząta,
także może założyć nogi na stół.

3

Policjant przeprowadza dziecko przez ulicę.
W 46-tym wrzucał pszenicę do morza.
W 47-ym polewał kartofle naftą.
W 48-ym wlókł za nogi przywódcę strajku.
W 49-ym strzelił w plecy komuniście.
To dziecko, gdy dorośnie, będzie komunistą.

4

6 miliardów dolarów dali faszystom chińskim
na ujarzmienie narodu.
Naród zdobył wolność
i 6 miliardów dolarów.
Teraz dają miliardy
faszystom angielskim i francuskim.

5

Uczony grozi bombą atomową.
Jeszcze giełda sprzedaje akcje.
Jeszcze robotnicy sprzedają pracę.
Kasy pancerne stoją jeszcze.
Ale już rzeki Ob i Jenisej płyną na południe.

6

Mówicie, że człowiek człowiekowi jest wilkiem
i jesteście dla nas jak wilki.
Zapominacie, że w lasach Syberii
umieją polować na wilki
nawet dziewczęta,
młode komsomołki.

STANISŁAW KOWALEWSKI

PRZED ZLOTEM MŁODZIEŻY

DZIEŃ AGITATORA

Michalczyk, wołają was do Zarządu!

Przy maszynie Stefka zatrzymał się Krogulec z kreślarni. Michalczyk podniósł na niego swoje zielonkawe oczy i błysnął porozumiewawczym spojrzeniem w stronę przybyłego.

— Pilne? — spytał, nie zatrzymując maszyny.

— Bardzo pilne.

— To idę. Tylko skończę — wskazał na płytkę stali, którą maszyna żłobiła w wąskie, półokrągłe rowki.

Krogulec skinął głową i odszedł.

Michalczyk siedział przy maszynie, póki nie wyżłobiła wszystkich rowków. Potem odłożył płytkę na stos innych, już gotowych i wyłączył maszynę. Przygładził ręką rude, falujące włosy, wstał ze swego stołka i szybkim, cichym krokiem, przemykając się między maszynami kolegów, poszedł do Zarządu.

— Chodzi o Zlot — mówi Wiśniewski i uśmiecha się do Michalczyka. Wiśniewski jest jeszcze bardzo młody, młodszy od większości tu obecnych, ale wiek mało ujmuje jego autorytetowi. Był jednym z czołowych przodowników w fabryce, zanim został skierowany do pracy organizacyjnej.

— Więc tu towarzysze — ciągnie Wiśniewski, patrząc w oczy Michalczykowi — podjęli już pierwsze zobowiązania zlotowe. Nasi racjonalizatorzy w sześciu założyli brygadę. Postanowili z okazji Zlotu wszyscy zdobyć srebrne odznaki racjonalizatorskie. Towarzysz Mroczek dał nam już pięć pomysłów, Kula trzy, a Smoliński zobowiązał się dać trzy, a dał już osiem. Miejmy nadzieję, że Komisja uzna te usprawnienia. No, a towarzysze obiecują nam jeszcze dalsze.

Wiśniewski obraca się w stronę Smolińskiego i Kuli, którzy stoją pod oknem, ubrani w kolorowe, kraciaste koszule. Obaj racjonalizatorzy uśmiechami potwierdzają nadzieje przewodniczącego.

— Nasza drużyna piłkarska — mówi dalej Wiśniewski — jedzie w niedzielę do Falenicy na mecz. Przy okazji poznajomią się z tamtejszą młodzieżą i pogadają o Zlocie. Co do kreślarni, to właśnie towarzysze kreślarze podjęli zobowiązanie. Chcą o 20% przekroczyć swoje normy.

Teraz Wiśniewski milknie i patrzy na Michalczyka. Michalczyk wkłada obie ręce za pasek granatowego, płóciennego kombinezonu, zmarszczki przekreślają jego piegowate czoło, rude włosy sterczą niesfornie. Nagle posyła w kierunku Wiśniewskiego szybkie, przenikliwe spojrzenie swoich jasnych, zielonkawych oczu.

— Rozumiem. Rozumiem o co chodzi — mówi powoli. — No, cóż. My w tyle nie zostaniemy. Pójdę do swoich. Pogadam.

— A no, właśnie. O to chodziło. — Wiśniewski śmieje się teraz szeroko. — Precyzyjni zawsze u nas przodowali.

— To wszystko? — pyta Michalczyk i czuje, że go już wynosi z tego pokoju jakaś siła, niepokój. Prędzej już chciałby być w swoim dziale.

— Wszystko — potwierdza Wiśniewski.

Michalczyk kiwa głową i wychodzi bez słowa z Zarządu.

Że też powiadomili go dopiero teraz o tych zobowiązaniach. Mogli to zrobić tak, żeby on właśnie, Michalczyk, był pierwszy ze swoimi. — Ale już po chwili strofuje sam siebie za te głupie pretensje. Ostatecznie mógł sam się domyślić, cała prasa pisze już o Zlocie.

Wchodzi zamyślony na salę i staje przy swojej maszynie. Włącza prąd. Bierze nieobrobioną jeszcze płytkę i umiejętnie wkłada pod noże. Pracuje tak przez dłuższy czas. Czoło znów przecinają zmarszczki. Z czujnością i skupieniem obserwuje pracę swojej maszyny, sprawnie wymienia płytki. Równocześnie jednak obmyśla sobie własny plan, całą strategię, z jaką zaagituje kolegów.

I nagle wyłącza prąd, szybko podchodzi do jednego z towarzyszy, który pracuje przy oknie.

— Zygmunt — rzuca cicho.

Ten unosi oczy znad swojej maszyny.

— No...

— Sprawa, rozumiesz, stoi tak... Wyrabiamy 220 do 240 proc. na tych maszynach.

— Wyrabiamy.

— Więc, kapujesz, Zygmunt... Zlot. Już tu u nas podejmują zobowiązania. Kapujesz? No, ja przede wszystkim do ciebie. Obgadać z tobą. A potem pomyślimy, których chłopaków jeszcze...

Zygmunt pochyla sie nad swoją maszyną, zgrabnie i szybko wymienia płytki, regulując noże.

— Widzisz sam. Nie lenię się. Przoduję. I ty przodujesz, powinniśmy trafić na Zlot. Na pewniaka. Nie?

Michalczyk kiwa głową, ale na jego twarzy widać grymas niezadowolenia.

— Zygmunt, ja nie z tym do ciebie... Przodujemy, zgoda... Przodujemy każdego dnia.

— No, właśnie. Tak najtrudniej. Każdego dnia — przerywa Zygmunt.

— Kiedy ja nie o tym... Każdego dnia, tak, w porządku, ale ten Zlot to wielkie święto. I nie można tak jak każdego dnia. Trzeba jakoś inaczej. Żeby było jeszcze lepiej. Zarobić na ten Zlot. No i żeby ludzi u nas ruszyć na oddziale, w całej fabryce.

Zygmunt posyła mu przelotne, ostre spojrzenie.

— Na Zlot... Na Zlot... — mruczy.

— No, jakże. Musimy być na Zlocie — kończy stanowczym wnioskiem.

— Więc jak proponujesz? — pyta żywo Michalczyk.

Zygmunt obraca się na chwilę ku niemu. Na jego rumianej twarzy igra uśmieszek.

— No, tak, żeby wstydu nie było — rzuca cicho.

— Więc jak? O 100 proc.? — pyta nerwowo Michalczyk.

— O 100. Niech będzie — mówi Zygmunt i z jego twarzy znika uśmiech. — Niech będzie!

— To idę do innych — rzuca Stefan i odchodzi.

Zygmunt pogwizduje i spokojnie i sprawnie wymienia stalowe płytki.

Michalczyk podchodzi do Jurka.

— O co chodzi? — ten pyta już z daleka.

— A no, widzisz, bracie — Michalczyk burzy ręką swą rudą czuprynę. — Do kogo, jak nie do ciebie. Takżeśmy właśnie z Zygmuntem uradzili. Do Jurka.

— Co robicie?

— Ja i Zygmunt przechodzimy z 220 na 320 proc. normy. No i zaraz pomyśleliśmy o tobie. Pod ten Zlot, rozumiesz?

— Pod Zlot?

— Właśnie. No i ja z tym właśnie do ciebie.

— Ale ja przecież robię 160 i 170.

— Toteż ja nie mówię, że zaraz tak jak my. Ale, Jurek, ja ciebie obserwuję. Ty się rozkręcasz. Słowo daję.

Jurek się uśmiecha trochę niepewnie.

— Pod włos bierzesz?

— Żadne pod włos. Myślałem, kto na naszym oddziale może podjąć zobowiązanie. No i do ciebie...

Jurek trąca Michalczyka w bok.

— Może 50 proc. więcej bym dał radę. Jak myślisz?

— Dasz. Jasne. Mam oczy. Widzę, jak ci idzie robota.

Jurek patrzy teraz na Zygmunta i chwyta jego porozumiewawcze spojrzenie.

— No to zgoda. Ciągniemy.

— Już jest nas trzech. Zobaczysz, Jurek — mówi Michalczyk. — Nasz oddział powinien być na Zlocie chłop w chłopa. Zobaczą nas, muszą zobaczyć. Cała Polska.

Michalczyk idzie ku innym kolegom. Jeszcze dziś powinna powstać na oddziale precyzyjnym specjalna brygada Zlotowa.

— A niech tylko będzie brygada, zaraz rzucamy wezwanie do innych działów. Niech się z nami ścigają — postanawia Michalczyk.

Wieczorem Michalczyk chodzi ze swoją dziewczyną po Alejach, gdzie stoją barwne stoiska Kiermaszu Książki. Oglądają razem kioski, potem przypatrują się występom orkiestry i śpiewaków.

Zmierzcha. Pod stoiska podjeżdżają ciężarówki i z półek szybko znika zawartość, kiermasz się likwiduje.

Stefan ze swoją dziewczyną idą teraz do parku. Wędrują długo, zanim wreszcie na którejś z ławek trafią na wolne miejsce. Siadają. Są już oboje porządnie zmęczeni długim chodzeniem.

Od strony alei dobiega z głośników muzyka. Wszystkim znajome ludowe piosenki.

Stefan obejmuje ramię dziewczyny, przysuwając się do niej blisko.

— Anka — szepce cicho. — Patrz, łabędzie.

W dole na stawie, który w tej chwili jest ciemny, a na powierzchni pociągnięty jakby błękitnawą mgiełką, widać dwa białe łabędzie. Zastygłe w majestatycznym spokoju; nieruchome, zdają się płynąć unoszone przez niewidoczny prąd wody. Czasem któryś z łabędzi zanurzy szybko w wodę swoją białą, długą szyję i łebek, słychać krótki plusk.

Na jasne, szafirowe niebo wybiegają małe, srebrne gwiazdki.

— Co te łabędzie tak po nocy? — dziwi się Stefan.

— Widać takie są — krótko mówi Anka.

Spomiędzy gałęzi kasztanów i klonów przebłyskują mleczne kule latarń. W powietrzu czuć słodki zapach bzów.

Stefan i Anka siedzą przytuleni do siebie. Nic nie mówią. Patrzą na ciemniejące z każdą chwilą lustro stawu, na łabędzie, które razem z całym otoczeniem tracą swe kolory, ciemnieją, stają się sine i fiołkowe. Tylko czasem refleks którejś z latarń pada na ptaki i przywraca im na moment pierwotną biel, ukazuje delikatnie zmarszczoną toń.

Muzyka dobiegająca z dala nie zakłóca spokoju tej chwili. Na ławkach siedzą wszędzie ludzie, zakochani bez słów ściskają swe ręce, inni, zmeczeni wiosennym upałem, szukają teraz wieczornego wytchnienia.

Cicho skrzypi żwir pod stopami przechodniów. Mimo późnej pory po alejkach parku snują się wszędzie ludzie. Słychać teraz dalekie zawodzenie harmonii i męski głos, który śpiewa znajomą wszystkim piosenkę o przyjaźni i ludzkim sercu.

— Dobrze jest — mówi Stefan tak cicho, jakby bał się, by słowa nie zakłóciły spokoju tego wieczoru.

— Dobrze — potwierdza równie cicho Anka.

I Stefan na moment przytula ją mocniej. Kocha tę Ankę z ciemnymi włosami i oczyma, Ankę, która lubi się śmiać długo, serdecznie, a śmiech jej brzmi jak srebrny dzwonek. Ankę, która potrafi być mądra, tak mądra, że po radę do niej przychodzą koledzy i koleżanki z całego oddziału. Tę Ankę, która ma szczupłe i mocne ramiona i niezawodne ręce, co śmieje się znad swojej tokarki do Stefana, kiedy ten przechodzi przez jej salę.

I Stefan czuje w sercu wielką radość, że Anka, którą zna cała fabryka, chodzi z nim właśnie, jest jego dziewczyną.

Rozgląda się teraz wokół, jakby chciał, żeby i ci, którzy siedzą tu obok na ławce, i ci, którzy snują się po ścieżkach, wiedzieli wszyscy, że jest w tej chwili z Anką, że ma taką dziewczynę.

Czuje na ręce lekki dotyk jej palców.

— O czym myślisz? — pada szept.

— Och... O czym myślę... — śmieje się Stefan. — O czym? Nie zgadniesz.

— Powiedz.

— O tobie, o mnie. Ten park, staw, łabędzie. A muzyka...

— I że pachną bzy — rzuca cichutko Anka.

— O, właśnie, bzy. Wiesz, Anka — zwraca się nagle żywo w jej stronę, zielonkawe oczy zapalają się. — Taki wieczór podarowałbym im wszystkim — przeciąga ręką wokół.

— Komu?

— No, ludziom. Wszystkim... Żeby się cieszyli. Cieszyli. Kochali. Żeby mogli śpiewać i tańczyć. A kiedy zechcą — znaleźć taką ławkę nad stawem. I żeby te łabędzie, i bzy...

— I tak byś chciał to wszystkim podarować — pyta, śmiejąc się, dziewczyna.

— Tak. Tak właśnie. Ty rozumiesz, Anka. Kiedy mi jest dobrze, bardzo dobrze, chciałbym, żeby wszystkim, wszystkim dokoła było też dobrze. Najlepiej. To już tak jest. Żeby się cieszyli, czy bawili, czy jak... Przecież tylko wtedy może nam być dobrze — tak, Anka?

Ściska mocno jej rękę i jego błyszczące oczy szukają jej spojrzenia.

— Tak — potwierdza dziewczyna.

— A taki park... Mały, ciasny. Ilu tu ludzi chodzi i nawet kawałka ławki nie mogą znaleźć. O, ja bym wybudował park, wielki park. Setki, tysiące drzew i wiele wody. Żeby było gdzie oddychać. Wszyscy, wszyscy by się pomieścili. Każdy miałby obok te swoje bzy i łabędzie, i drzewa. Wielki park. Rozumiesz, Anka?

Dziewczyna sięga lekko palcami do zwichrzonych włosów Stefana.

— Marzysz. Marzysz. A to przecież wcale nie bajka. Taki park, wielki park będzie przecież na wybrzeżu Wisły.

— Park? — rzuca szybko Stefan. I nagle uderza się ręką w czoło. — Zapomniałem. Wiesz, zupełnie zapomniałem.

Milknie, przez dłuższą chwilę siedzi jakby zawstydzony swoim brakiem pamięci.

— No, widzisz — mówi wreszcie. — Zbudujemy ten park. Ej, Anka! Park... złoto nie park. Wszyscy się pomieszczą. Cały Zlot. Cała Warszawa.

Opiera głowę o ramię dziewczyny.

— Zbudujemy park. Pójdziesz tam jutro ze mną?

— Pójdę.

— No, widzisz.. Widzisz. I innych zaagituję. Ej, to będzie park. Złoto, nie park.

Stanisław Kowalewski

TADEUSZ SZEWERA

DZIEWCZĘTA Z NOWEJ TKALNI

Ta Pierwsza Sala, chociaż znowu nie takie „cudo", a wszędzie się pcha pierwsza. Jak chodziło o szkolenie metodą inż. Kowalowa — to zaraz tkaczki z „Jedynki" łaziły za majstrami, nudziły, wprost zamęczały sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej, prawie nie wychodziły z zarządu ZMP. No i wiadomo... wyprosiły, bo z „Jedynki". W ogóle wszystko co najlepsze to dla Pierwszej, lub na Pierwszej. Wzorowy majster i najbardziej bojowi przodownicy pracy... z „Jedynki". Nowe metody produkcji i proporczyk przechodni współzawodnictwa... na „Jedynce". Pierwsza i Pierwsza. A Sala Druga to jakby od macochy. Najgorsza...

Albo i teraz z tą zespołową pracą. Na Drugiej Sali naradzały się już między sobą tkaczki, zamierzały zgłosić swój projekt do zarządu ZMP, gdy te z „Jedynki" wyskoczyły znowu pierwsze. Czy podsłuchały, czy też któraś z tkaczek „doniosła" im o tym, że na „Dwójce" rodzi się wspaniały pomysł — pracy na wielu krosnach w zespołach trzyosobowych — trudno dociec. Dość, że fakt stał się triumfem „Jedynki". Dwójka ponownie przegrała.

I żeby to było się czym tak znowu chwalić. A tu zaraz korespondent do gazet podał o tym, z „Głosu Robotniczego" przyjechał fotoreporter, robił zdjęcia. Potem obnosiły się tkaczki z „Jedynki" niby pawie po Sali Drugiej i podtykały wszystkim pod oczy gazety z artykułami i zdjęciami. Zdaniem tkaczek z „Dwójki" tylko jedna Anka Kozak zasługiwała na takie wyróżnienie. Ale Irka Domek, lub Deka? I żeby to była naprawdę taka trójka tkacka, o jakiej myślały tkaczki z Sali Drugiej, to znaczy: na szesnastu lub osiemnastu krosnach! Ale dwanaście krosien? Nic wielkiego.

Alicja Boruń mówiła z oburzeniem o tym wszystkim na zebraniu młodzieżowców Sali Drugiej.

Alicja Boruń usiadła ciężko dysząc. Gwar głosów przyznających słuszność koleżance, prawie zgłuszył pierwsze słowa sekretarza Fabrycznej Dzielnicy ZMP. Dopiero stukot uderzeń bibularza o stół uciszył trochę zebranych.

— Widzę, że wam... ta „Jedynka" solidnie dopiekła. Ale macie okazję. Rozpoczynamy bowiem współzawodnictwo zlotowe o tytuł przodownika. Możecie teraz udowodnić, że Sala Druga w niczym nie ustępuje Pierwszej. Która z was pojedzie na Zlot, zadecydujecie już same swą pracą, lecz tym razem w szlachetnej rywalizacji...

Komorowski chyba specjalnie zaakcentował słowa „szlachetna rywalizacja", bo spojrzał przy tym na koleżankę Boruń jakoś tak dziwnie, że zrobiło się jej głupio. Zerwała się z miejsca i wybiegła z sali. Wróciła dopiero wówczas, gdy świetlica była już prawie pusta. Jedynie jeszcze Komorowski porządkował papiery i układał je w teczce z systematycznością wrodzoną człowiekowi nadzwyczaj pedantycznemu. Sekretarz zarządu ZMP Nowej Tkalni, Wiesia Antczak, także zbierała się do wyjścia. Obecność Alicji Boruń w fabryce zdziwiła ją, myślała nawet, że koleżanka ma dziś wyjątkowo nocną zmianę.

Boruń zaprotestowała.

— Nie... Po prostu chciałam z tobą pogadać —powiedziała szybko. Widać Wiesia zrozumiała, o co chodzi, bo zarzuciła na ramiona brązową kurtkę i obie śpiesznie wyszły z świetlicy. Zatrzymały się w korytarzu, za którego drzwiami szumiała pracą Druga Sala.

— Wiesia! — Robimy trójkę. Ja, Maryśka Szymczak i Pela Szatańska. Rozumiesz... każda z nas obsługuje teraz po cztery krosna, ale my chcemy przejść na szesnaście. Pomożesz nam?...

Antczak ucieszyła się: może od jutra posypią się zobowiązania zlotowe — jeszcze więcej?

* * *

Współzawodnictwo zlotowe — jak się słusznie spodziewała Wiesia Antczak — ogarnęło niemal całą młodzieżową załogę Zakładu CZPB im. J. Stalina. Na tablicy zobowiązań, już następnego dnia po zebraniu, pojawiło się wiele nazwisk. Dwudziestotrzyletni majster tkacki Marian Sadziński postanowił przekroczyć wykonanie planu o 10 procent. Zofia Kałucka stale będzie zwiększać wykonanie dziennej normy. Regina Żytkiewicz osiągnie sto piętnaście procent wykonania planu miesięcznego. Zofia Chycińska, ta skromna dziewczyna o niebieskich oczach, którą przygarnęła fabryka łódzka po wieloletniej tułaczce ze służby do służby u bogaczy Reszewa, zobowiązała się do wykonania planu w 112 procentach..

Obok tych nazwisk Alicja Boruń wpisała swoją trójkę i treść zobowiązania: codziennie 100 procent!

Ale prawdziwe poruszenie wywołało dopiero zobowiązanie Józefy Młynek. Ta dotychczas niczym nie wyróżniająca się tkaczka Drugiej Sali przemówiła wobec całej załogi wprost — porywająco. Wobec tego zobowiązania Sala Pierwsza musiała bezapelacyjnie skłonić głowę i przyznać pierwszeństwo „Dwójce".

— Ja, Józefa Młynek, z koleżankami Marią Kuleszą i Ireną Dąbrowską — mówiła mała Józka — organizuję trójkę tkacką, która przyjęła nazwę Młodych Przodowników · Budowniczych Polski Ludowej, zobowiązuję się obsługując wspólnie osiemnaście krosien... (muszę tu dodać, że brawa były tak potężne, iż zagłuszyły stukot maszyn) ...przekraczać stale dzienne plany, by w ten sposób przyczynić się do wykonania przez naszą Tkalnię planu miesięcznego. Swoją postawą i swoją pracą chcemy zasłużyć na uczestniczenie w Zlocie.

Alicja Boruń wpadła przypadkowo na podglądające przez uchylone drzwi tkaczki z „Jedynki". Spojrzała na nie wyniośle i spytała:

— No i co panienki na to, że Dwójka górą nad Jedynką?... Jak się teraz czujecie?

Tkaczki z Jedynki miały miny bardzo niewyraźne. Zbyły zaczepkę Alicji milczeniem, wolały nie wszczynać dyskusji na temat trójek. Na Sali Pierwszej nie działo się bowiem dobrze. Trójka Anny Kozak zawodziła na „całej linii", i nie było się teraz naprawdę czym pochwalić. Tylko pierwsze trzy dni przyniosły jej pełny sukces — przekroczenie dziennych norm. Był to nawet moment mobilizujący pozostałe tkaczki „Jedynki" do przechodzenia z indywidualnej na zespołową pracę. Cóż, kiedy mobilizacja ta trwała zaledwie trzy dni.

Te „demobilizację" spowodował nie kto inny tylko trójka Anny Kozak. Nie działo się w niej istotnie dobrze, skoro szóstego dnia po przystąpieniu trójki do pracy, a w dwa dni po ukazaniu się entuzjastycznej notatki i zdjęć w „Głosie", majster salowy „Jedynki" wypisał kredą na tablicy wprost kompromitującą cyfrę wykonania dziennego planu — 63 procent.

Gdyby to było możliwe, Anka Kozak zapadłaby się z chęcią pod ziemię. Po odejściu majstra salowego podbiegła do tablicy i gwałtownie starła chusteczką te nieszczęśliwe 63 procent.

Tego samego dnia Kozakówna wygarnęła Kamili Dece i Irenie Domek, co myśli o ich kolektywie. Zebrało się tej goryczy na dnie serca sporo. Deka i Domek traktowały od samego początku zobowiązanie zlotowe jak jakąś zabawę. Anka myślała, że jednak w trakcie pracy zespołowej zmienią się, że zrozumieją sens współzawodnictwa zlotowego, toteż wiele prac wykonywała za nie. Ale po ukazaniu się zdjęć Deki i Domkówny w gazecie, Ance opadły ręce. Po prostu przeraziła się, bo Kamila wyraźnie jej oświadczyła:

— No, mam dość tego współzawodnictwa... Teraz jestem przodownicą, to i na Zlot pojadę. A robić już nie muszę!

Anka powinna była o tym powiedzieć na zebraniu koła ZMP. Przemilczała jednak sprawę. Tymczasem nieraz kąpała się wprost w pocie, by odrobić godziny stracone przez koleżanki, które gdzieś stale wybiegały na „papierosa", to znowu wychodziły wcześniej do „kolejek za cukrem"... Albo znowu godzinami potrafiły przeglądać się w lusterkach, bo „może fotoreporter przyjedzie".

— A co, może się będziemy przemęczać? — pytała zaczepnie Kamila. Anna Kozak była tym pytaniem oburzona. O jakie przemęczanie jej chodzi? Praca na czterech krosnach w pojedynkę była przecież znacznie trudniejsza. W zespole trzyosobowym wszystkie czynności podzieliły między siebie i pracowały bez najmniejszego wysiłku. Pierwsze trzy dni najlepiej wykazały, jak lekko przekroczyły 100 procent, gdy przy indywidualnej robocie nie szło to tak składnie.

— Ech, gadasz od rzeczy. Nazwano nas oficjalnie przodownicami, to nie mają prawa nam nie dać proporczyka. A zresztą... nie my jedne! Kryśka Kiliszek z „Dwójki" też nie wykonuje planu...

W rezultacie, po 10 dniach, proporczyk, na którego czerwonym tle bielił się napis—„Przodownik współzawodnictwa zlotowego" — wśród wielkiego entuzjazmu tkaczek z Sali Drugiej wręczono nie Annie Kozak z „Jedynki", lecz małej Józce Młynek. Jej trójka osiągnęła najwyższe wykonanie dziennego planu w całej Nowej Tkalni. 125 procent!

Alicja Boruń, mimo osobistego żalu i urażonej ambicji, gdyż proporczyka nie otrzymała (wykonanie planu u niej wynosiło 113 procent), pobiegła na Pierwszą Salę, by trochę — jak to się mówi — pograć na nerwach tkaczkom, a zwłaszcza Anusi Kozak. „Dwójka" zdecydowanie przecież teraz górowała nad „Jedynką".

Przy schodach wiodących na salę produkcyjną natknęła się Boruń na Ankę. Stała oparta o poręcz. Kiedy Alicja spojrzała na nią, wydało się jej, iż dostrzega w oczach Kozakówny coś na kształt wilgoci. Jakby miała się za chwilę rozpłakać. Boruń odeszła z miejsca ochota dokuczenia koleżance. Położyła dłoń na jej ramieniu i spytała:

— Co ci jest Anka? Ty płaczesz...

— Nie, nie... Mam katar, to mi oczy łzawią... Józka Młynek słusznie otrzymała proporczyk. Pojadą na Zlot najlepsze i ja o to nie mam żalu. Ale popatrz!...

Kozakówna wyciągnęła ostatni numer „Głosu Robotniczego" i wskazała tabelę, gdzie wśród zakładów niewykonujących planów figurowała Nowa Tkalnia — Zakład C.

— Zaledwie 85 procent! Wiem — nie, nie przecz — zdaję sobie sprawę, że to właśnie moje i mojej trójki zawalenie!

Alicja Boruń była zdumiona. Jaka to zmiana w Kozakównie! Przecie dotychczas brała ona pod uwagę wyłącznie zdobycie proporczyka, wyjazd na Zlot, zaspokojenie ambicji. Nigdy nie myślała o całej Tkalni, o planie...

Boruń pociągnęła Ankę za rękaw.

— Chodź do ZMP. Powiemy o wszystkim Wieśce Antczak. A z twoimi bumelantkami musimy się rozprawić.

Sekretarz ZMP, Wiesia Antczak, patrzyła na młodzieżową tkaczkę Alicję Boruń rozszerzonymi zdumieniem oczyma. Wprost nie pojmowała, co tę dziewczynę tak zmieniło. Alicja Boruń występująca w obronie Sali Pierwszej? Nie do wiary... A Alicja mówiła:

— Ja teraz wiem, że na Zlot powinny pojechać najlepsze tkaczki. Zasługuje na to nie tylko Józka Młynek, ale także i Kozakówna. Tylko trzeba jej trójkę przemienić. Bo inaczej to plan będziemy naprawdę zawalać. I mnie się zdaje, że tu nie powinno chodzić nam o to, czy Pierwsza Sala będzie pierwsza, czy też Druga.

*

Po dziesięciu dniach szedłem znowu do Zakładu C. Czerwono - biały szlaban wolno zamykał przejście przez ulicę Kilińskiego. Ulica była szara, liście rosnących opodal drzew jakby zatraciły swój zielony kolor, domy były także szare. Na tle tej jednostajnej barwy uderzała w oczy intensywna czerwień huczącego, pełnego stukotu budynku. Wyskoczyła zza niego właśnie dychawiczna lokomotywa, potoczyły się po szynach przecinających ulicę hałaśliwe wagoniki wąskotorówki. Przed zamkniętym szlabanem zatrzymali się robotnicy. Na platformie ostatniego wagonu, oparty o skrzynie z ołowiem, stał dwudziestoparoletni chłopiec. Miał na sobie zetempowską koszulę. Wiatr, zgarniający z ulicy tumany szarego kurzu i piasku, rozwiał mu włosy i czerwony krawat omotał na szyi.

Czerwono - białe ramiona szlabanu otwierały przejście przez tor w momencie, gdy pociąg wtaczał się pomiędzy czerwone budynki fabryczne. Ludzie pospiesznie przeszli przez ulicę, niby wartki strumień popłynęli ku bramie wiodącej do wnętrza fabryki. Po chwili szara ulica opustoszała, gdzieś daleko na przedmieściach Łodzi dźwięczały syreny zapowiadające początek pracy. Rozpoczynała się codzienna bitwa o plan i my, Łodzianie, dobrze wiemy, iż decyduje w niej każdy dzień.

Przez sale produkcyjne szedłem z Wiesią Antczak. Na czarnej tablicy współzawodnictwa zlotowego pięła się ku górze białą linią — krzywa wykonania planu. Zdawało się chwilami, że linia ta lada moment wyskoczy poza obramowanie tablicy, by biec wyżej i wyżej, by przekroczyć zaznaczone na niej 150 procent...

Monotonnie szumiały maszyny obsługiwane wprawnymi rękami młodych tkaczek. Na tablicach można odczytać ich nazwiska. Zofia Kochaniak 112 procent, Kałucka 111 procent, Zofia Chycińska 113 procent, Alicja Boruń 116, Józefa Młynek 120 i Anna Kozak 125 procent.

Wiesia Antczak potrząsała radośnie kedzierzawą czupryną i mówiła: — Tak, to ta sama Anna Kozak. Szczupła, ciemna blondynka o szarych oczach. Pracuje już w nowej trójce z Heleną Bujalską i Ireną Karawentek. One to w drugiej dekadzie otrzymały proporczyk zlotowy i przyrzekły nie oddać go do Zlotu. A bumelantek już nie ma. Jedna odeszła z fabryki, nad drugą objęły opiekę koleżanki — i przestała bumelować.

Wychodziłem z Zakładu C. im. Stalina gdzieś około godziny trzeciej po południu. Na zegarze wiszącym opodal wyjścia czarna wskazówka zatrzymała się przez chwilę na liczbie 93. A więc takie jest do tej pory wykonanie dziennego planu...

Do końca zmiany zostało sześć godzin. Czarna strzałka sunie po tarczy zegara milimetr za milimetrem, zbliżając się ku setce. Za dwie godziny przekroczy sto procent dziennego planu. Jutro podadzą o tym łódzkie gazety. Dziewczęta Nowej Tkalni dotrzymują zobowiązań.

Tadeusz Szewera

Przełom na Nowej Tkalni: Trójka Krystyny Kiliszek wykonała po raz pierwszy plan dzienny w 116 procentach. Od lewej — Krystyna Kiliszek, Helena Kamińska i Barbara Kwaczyńska (Fot. A. Joselewicz).

SYLWESTER BANAŚ

I G N A C

U RZEPECKICH

Przypomniało się Rzepeckiemu, że kiedy schodził ze spichrza z Pytlikiem, to Ignac stał koło Stelnika i prędko uciekł. — Czy czasem on czego nie bąknął? — Ignac! O czymżeś to gadał z tym... Stelnikiem? — krzyknął ostro na Ignaca, wnoszącego właśnie do izby kosz z ziemniakami.

— Kiej? — spytał Ignac stawiając kosz koło komina.

— No, wczoraj. Przecie nie w niedzielę.

— A no ino. To było wczoraj — przytaknął Ignac.

— Coś ty mu, psiakrew, powiedział? — dokończył Rzepecki.

— A nic — cofał się wystraszony Ignac. — Tyle ino, co powiedziałem mu, żeby schował ziarno tak jak wujo, bo mogą mu te... komunisty zabrać.

— Ach, ty śpiegu! Judaszu! — kopnął go ciężkim butem Rzepecki. — Toś ty wydał!!

— Tomasz! Połom mu gnaty! Zabij na śmierć! Za naszą krzywdę — zerwała się od kolacji Agata.

Ale Tomasza nie trzeba było podjudzać. Złapał stojącą w kącie laskę i tłu'ł nią, gdzie popadło — plecy nie plecy, głowa nie głowa.

— Wuujuu — o, wuuju — skomlił Ignac — nie bijta, ooo... uu...

— Ja ci dam „wuja"! — klął straszliwie Rzepecki i walił w dalszym ciągu bez opamiętania, mimo że Ignac upadł na podłogę i nie ruszał się wcale.

— Czyś ty go czasem nie zatłukł! — jakoś się nie rucha — opamiętała się pierwsza Agata.

— A niech zdechnie, taki syn... — denerwował się Rzepecki. Ale i on ochłódł.

— Jak tak odkitował, to niedobrze. To nie to, co przed wojną. Kiedy umarł parobek, to pies z kulawą nogą nawet się nie spytał. A teraz co innego. Wtrącają sie tu różne ZMP-y, ta biedota tyż wtyka nos, gdzie nie trza.

— Jak tak zdechł, a wywąchają, to kryminał pewno, albo i kara śmierci. Ujj, niedobrze by było! — zaniepokoił się mocno.

— Chluśnij mu na łeb wiadro wody. Zobaczymy, czy się rucha.

— E, rucha się — stwierdził Rzepecki po dokonaniu tego zabiegu. — Takiego podleca to się nie dobije.

Po paru minutach dźwignął się Ignac na nogi. Chwiał się. Z nosa kapała mu krew.

— Wynoś sie, siubrawcu, bo zatłuke. — Tyla pszenicy do śmierci ci nie daruje — krzyknął Rzepecki.

Dwa razy upadł Ignac, nim dowlókł się do stajni. W głowie mu huczało jak w młynie. Rozcięte ucho piekło. Każda kość bolała. Całą noc jęczał i majaczył.

Ale gdy z rana Rzepecki zajrzał do stajni z ciekawości, czy też żyje jeszcze, zastał go stojącego przy żłobach i dosypującego koniom obroku.

Spojrzał spod oka na zapuchniętą twarz.

— Nauczyłem cie, jak się trzyma jezyk za zebami. Ale to jeszcze nie koniec. — Pogroził pięścią. — Wytłuke z ciebie tę pszenicę, ty sobacze nasienie.

Ignac skulił się tylko.

Narąbał drzewa, narżnął sieczki, podścielił pod krowy. Minęło południe. Nie wołali go na obiad. Nadeszła pora kolacji — też nie wołają...

Zajrzał ostrożnie do kuchni.

— Czego tu — ofuknęła Agata. — Za żarciem się nie oglądaj. Jak się gębie nie da, to i język nie będzie pytlował, co nie trza. Jazda stąd — złapała za kopyść.

Tak samo i na drugi dzień.

— Nie dam żreć, i koniec. Niech z głodu zdechnie — uparła się Agata. Ale to nie przeszkadzało jej wołać: — Zbóju, przynieść mi wody! Dawaj drzewa, bandyto, żeby cię Bóg pokarał na równej drodze, ty wyrodku. Za nasze dobre.

Miało się już ku wieczorowi, a Rzepecki — jak poszedł z rana — tak jeszcze nie wrócił.

Na niebo wychynął pyzaty księżyc i zalał swym zielonkawym światłem okolicę. Mróz wzmagał się.

— Utłuc świniom — rozkazała Agata wysypując w ceber ugotowane ziemniaki.

— No, tłuc!

Sama oparła się o płot, wyglądając w stronę wsi.

— Coś długo Tomasza nie widać? Czy go tam czasem nie zamkli?

Dziubnął Ignac parę razy ciężką tłuczką w rozgotowane ziemniaki. Smakowita para buchnęła mu prosto w nos i o mało nie przyprawiła o zawrót głowy.

— Dobrości!

Złapał ziemniaka...

— Co to? Będziesz świniom... — odwróciła się Agata. Odepchnęła go sama tłukła ze złością. Dopilnowała, by nakładł świniom w koryta, i znowu podeszła do płotu.

Ignac pochlipując pozostał w stajni. Z zamiarem położenia się spać.

W brzuchu mu burczało.

— Gdzieś się tak długo włóczył? — posłyszał z podwórza głos Agaty. — Chlałeś chyba.

— A niechta najjaśniejszy pieron spali — zaklął Rzepecki zamiast odpowiedzi. — Cały dzień straciłem na darmo. Do diabła z taką milicją. Ani kieliszka wódki nie chcą wypić. Nawet nie bardzo rozmawiają z człowiekiem. Nie to, co nasza przedwojenna policja. Szanowała gospodarzy. Jak nie tak, to inaczej, a można było z nimi załatwić.

— Upilnowałem tego milicjanta na rynku, co to był tu przedwczoraj, i chciałem mu dać w rękę 100 złotych. Spojrzał jakoś krzywo — myślę — mało! Dołożyłem jeszcze 200, i jeszcze 200 złotych. Wziął pieniądze, zaprowadził mnie na posterunek i tam spisali ze mną protokół — że to niby władzę chciałem przekupić. Pieniądze zatrzymali, mówią, do sprawy!

— I teraz będą dwie sprawy, a wszystko przez tego przeklętego Ignaca. Ale dzisiaj to już zabiję drania, a potem niech nawet zgniję w kryminale.

— Chodź, Tomasz! Najpierw co zjesz — przecieś głodny, a z nim to się i po kolacji rozprawisz.

— Ale nie daruję draniowi! Nie! — dobiegło Ignaca wraz ze skrzypem zamykanych drzwi.

— Zabije mnie — ani chybi, zabije. — Zmartwiał Ignac. — Ucieknę.

Za chwilę mały cień prześliznął się przez furtkę, a za nim, poszczekując, wybiegł Kruczek.

— Cicho! Kruczek, cicho — prosił Ignac. — Bo jeszcze „wujo" dogoni mnie i zabije lachą. Idź do domu — idź.

Ale Kruczek nic nie rozumiał i wesoło machał ogonem, rad z wycieczki. O dobry kilometr Ignac zatrzymał się.

— Gdzie iść?

Na prawo srebrzyły się dachy wsi, ciemniały masywy chałup, ale tam nie miał nikogo. — Stelnik? Też obcy, co się tam nim będzie zajmował.

Spojrzał prosto przed siebie, gdzie w dole połyskiwała Wisła, ścięta już przy brzegach i na płyciznach parucentymetrowym lodem. Środkiem rwała jeszcze z bulgotem ciemna woda, zła, że ją skuwają.

— Ino się utopić i koniec — przyszło Ignacowi z rozpaczy do głowy.

Mróz tężał. Księżyc bez litości spoglądał na nędzną figurkę, stojącą nieruchomo na stromym wiślanym brzegu.

Kruczkowi znudziło sie. Przysiadł na tylnych łapach, podniósł pysk w górę i zawył — długo, rozpaczliwie. Jak po nieboszczyku — wzdrygnął się Ignac. — A no, raz kozie śmierć — powtórzył usłyszane gdzieś powiedzenie i zaczął schodzić z góry.

Zadźwięczał pod nogami cienki lód. Dzwonił metalicznie, uginając się, ale nie pękając. O kilkanaście metrów dalej bulgotała ciemna, wolna od lodu woda. Kruczek wszedł parę kroków na lód, ale zaraz cofnął się na twardy brzeg i skomlał niespokojnie, nie mogąc zrozumieć: czemu to Ignac idzie po takiej niepewnej powierzchni.

W tym czasie wracał z pracy Potulak. Zeszło mu dzisiaj trochę dłużej, gdyż mieli zebranie nowej rady POM-u. Nadwiślańską ścieżką było mu o wiele bliżej niż za drogą, i zwykle tędy chodził, gdy nie było błota.

— Cóż u licha? Cóż to za pętak włazi na lód o tej porze? Przecie lód się załamie. — Zaniepokojony stanął nad brzegiem.

—Hej, ty tam! Co ty robisz? Wyłaź mi zaraz na brzeg. Utopisz się.

„Pętak" odwrócił się i przy jasnym księżycu rozpoznał Potulak Ignaca. Zresztą zauważył teraz i Kruczka.

— Ignac, wróć się! — krzyknął tknięty jakimś niedobrym przeczuciem. — Wróć! — Ignac machnął tylko reką i szedł dalej.

W kilku susach dognał go Potulak. Lód pękał z trzaskiem, nie wytrzymywał ciężaru.

— Gówniarzu! — Szarpnął Ignaca za rękę do tyłu. — Zgłupiałeś czy co?

Byli już o sześć metrów od brzegu.

— Puśćta mnie! — szarpnął się Ignac z siłą, jakiej nikt by się po nim nie spodziewał, aż Potulak musiał się zatrzymać — i tego zatrzymania lód nie wytrzymał.

Chruum — i obaj znaleźli się w zimnej wodzie. Ignac schował się po brodę, a Potulak prawie pod pachy.

— Brrr... — łamał lód brnąc do brzegu i taszcząc Ignaca przed sobą. — Jakby tak dwa metry dalej, to byłoby po nas.

— No, biegiem. — Nie wypuścił Ignaca i ten musiał biec obok niego.

Nim dobiegli do chałupy, odzież na nich skostniała.

— Jezus, Maryja! A to co? — przestraszyła się Potulakowa. — Co się stało, Mieciu?

— Niech mama szybciej rozbierze jego, ja sam... — wydyszał Potulak. — Topić się chciał.

— Że też! — Ściągała stara drżącymi rękami szmaty. — Aleś ty zsiniał, niebożątko. — Wepchnęła Ignaca pod pierzynę. — Pij.

Napojony gorącą herbatą, w ciepłej izbie ułożony na czystym posłaniu, zasnął Ignac kamiennym snem.

Rozbudził się starym zwyczajem o świcie. Otworzył oczy i zamknął z powrotem. Zdawało mu się, że śni dalej, może jest w niebie i dlatego mu jest tak dobrze. Razu jednego, jeszcze za życia ojca, był w kościele i słyszał, jak ksiądz opowiadał, że człowiek po śmierci idzie do nieba. A tak se właśnie Ignac niebo wyobrażał: leżeć pod pierzyną w cieple i nic nie robić.

— Już nie śpi? — Dosłyszał jakiś znajomy głos. Otworzył oczy i dojrzał Potulaka.

— Jedz, Mieciu, bo sie spóźnisz do pracy — stawiała matka śniadanie na stole.

— A ty, Ignac, zjedz ze mną. Dobrze? — Przecieśmy się razem kąpali.

— Jo ni, gdzie zaś — wymawiał się Ignac i aż go mdliło z czczości.

Ale Potulak wyciągnął go z łóżka, posadził przy stole.

Łykał Ignac żarłocznie po przeszło dwudniowym poście, a Potulak opowiadał i rozpytywał Ignaca, a ten bąkał tylko półsłówkami.

— To już nie pójdziesz więcej do tego kułaka, co się twoim „wujem" nazywa — zakończył Potulak wstając. — Ja dziś się wystaram — i wyślemy cię do szkoły traktorzystów. Będziesz jeszcze człowiekiem. Uszy do góry, Ignac.

— A no ino — mruknął Ignac i stał się czujny. — „Aha, na szkołę mnie chcą wysłać. Niby to. A potem do dołu. Nie ma głupich. To już było lepiej od razu się utopić. „Wujo" mi opowiadał".

Po wyjściu Potulaka matka krzątała się jeszcze chwilę. Posprzątała ze stołu, podmiotła podłogę. Podrzuciła pod kuchnię parę kawałków węgla. Obtarła ręce w fartuch.

Ignac przysiadł na ławce pod piecem, oparł się plecami o ciepłą ścianę. Brzuch miał pełny. Dobrze mu było.

A wisz ty, Ignac? — przysiadła się stara przy nim — że tego „wengla" to my przed wojną na wsi nie znali. Kto by ta wierzył, że taki marny kamień się będzie palił. A drzewo to jak zawsze drogie, nie każdy mógł go se kupić. Wieczorami to my się schodzili drzeć pierze u kogo cieplej. Pamiętam, jak twoja matka — Panie świeć nad jej duszą — kiedy była jeszcze dzieuchą, śpiewała na tych wieczorach. Śwarna to była kobita i tak się jej zmarło z biedy — a ty, nieboraczku, sierotą zostałeś. — Pogłaskała Ignaca po rozkudłanej głowinie. — A i z oczów toś ty do niej podobny, ino że mizerniątko z ciebie, mizerniątko. Widać ni masz dobrego życia u tych bogaczy.

Pomału i Ignac się rozgadał. Mrukowaty z natury i „tępy", jak go nazywali Rzepeccy, okazał się nawet dość rozgarnięty.

— Opowiadajcie, babko, o matuli i o tatulu — prosił.

— To jak by tak matula żyli, to i ja bym był jak inne dziecka! — pokiwał głową i rozpłakał się pod wpływem nie spotykanych w swoim sierocym życiu serdecznych słów.

Za parę godzin już po całej wsi pogadywano:

— Wiecie co? Nowina. Ignaca od Rzepeckiego wczoraj Potulak z Wisły wyciągnął!

— Że też wstydu w ślepiach nie mają te bogacze!

— Tera siedzi Ignac u Potulaka!

Ktoś usłużniejszy doniósł o tym Rzepeckim.

— Ja go tu przyprowadzę! — Wciągnęła Agata kożuch. — Będzie się rozsiadywał po wsi — a my tu będziemy za niego harowali...

— Ocho! Agata idzie po Ignaca. — Wyglądały z okien kobiety. A Stelnik, spotkawszy się z Agatą przed Marciniakiem, splunął i powiedział niby to do stojących chłopów, ale tak głośno, żeby Agata słyszała:

— Teraz to się sieroty morduje albo wypędza do Wisły, żeby się topiły, bo to w zimę nie ma w gospodarce tak wiela roboty, to i szkoda tych trochę ziemniaków, co to sierota zje...

— Ale to ino u bogaczy taki zwyczaj, u bogaczy — wtrącali chłopi zerkając złośliwie na Agatę.

Agata stropiła się i zamiast — jak sobie planowała — wpaść z gębą do Potulaków, otworzyła grzecznie drzwi.

— Pochwalony!

— Czego? — burknęła nieprzyjemnie Potulakowa podnosząc się z ławki. Ignac skulił się.

— My cię, Ignaś, szukamy po całej wsi, a ty tu siedzisz... „Wujo" całą noc nie spał, ino się martwił...

— Ino że nie spał — przerwała Potulakowa. — Tylko pewno se szykował pałę, żeby zabić to biedne dziecko. — Wstydzilibyśta się. Jesteśta gorsze od Herodów... Ja ci to stara w oczy wypowiem... Tfu, niecnoty, będzieta się w piekle smażyć za niego...

— Nie wasz interes. Ignac jest nasz i nasza sprawa — wzięła się pod boki Agata. — Od małego go wychowujemy, a teraz, jak podrósł, to się opiekuny znalazły. Patrzta...

— Nie daj Boże, żeby ciebie tak na starość „wychowywali" — pokiwała głową Potulakowa. — Nikiej katy.

Przemawiały się coraz bardziej. Przyszło jeszcze parę kobiet zwabionych kłótnią. Nie pominęły okazji, by nie przymówić Agacie.

— Mietłą jej dajcie, Potulakowa — doradzała życzliwie Antczakowa. — Mietłą w ślepia.

— Chodź, Ignaś! — pociągnęła Agata Ignaca za rękę. — Pójdziemy — obiad czeka...

— E, ni — opierał się Ignac. — Będą mnie wujo bili...

— Nie będą, robaczku — wabiła słodko Agata. — Nie znasz to wuja? On ino czasami zły. Chodź, Ignaś, konie głodne, chodź...

— Wujo im nie dali — zawahał się Ignac.

— Nie, robaczku. I powiedział, że jak Ignaś nie wróci, to niech z głodu konie zdechną. I tak na pewno zrobi. Nie znasz to wuja? — udała płacz Agata.

— Szkoda kuni — podrapał się Ignac po głowie. — Chyba pójdę. — Spojrzał niezdecydowanie na Potulakową.

— Zostań, synku. Nie słuchaj tych faryzeuszów. Mietek wróci wieczorem, a na pewno załatwi ci z tą szkołą...

— Idę z ciotką — zadecydował Ignac. — „A ino, do szkoły!"

— A no, twoja wola, jak chcesz — zrezygnowała Potulakowa.

W LUBIĄŻU

Tu już, chłopcze, wysiadasz — szarpnął Ignaca za łokieć konduktor. Chłopiec zerwał się, wodząc nieprzytomnymi oczami po pustym już prawie wagonie.

— No, aleś się, synku, rozespał — zaśmiała się starsza kobieta, wychodząca z dużym tobołem przez drzwi. — Kany byś ty zajechał...

Bezradnie rozejrzał się Ignac po peronie.

— Gdzież ta szkoła? — Nieliczni pasażerowie już odeszli i stał sam jeden, nie wiedząc, gdzie się obrócić. Zauważył to dyżurny i podszedł:

— Na co to się czeka?

— Do szkoły! — Wyciągnął Ignac skierowanie. — „Na traktorzystę"— przeczytał dyżurny. — To pójdziesz prosto tą aleją, i zaraz za tą aleją zobaczycz duże budynki w parku. Nad bramą duży napis, to szkoła. Tu, nad Odrą — wyjaśniał szczegółowo.

— Nad „odrą" — zastanawiał się Ignac raźnie maszerując aleją — to jakaś choroba, co to na nią małe dzieci umierają...

— Ale tyż „aleja" — z czego toto może być? — pomacał asfaltową nawierzchnię. — I tak każdemu wolno po niej łazić?

Na przydrożnych drzewach zieleniły się delikatną koronką młode listki. W koronie starej lipy pogwizdywał melodyjnie kos, a w rowie szemrała metalicznie spływająca z pól woda. Słońce przygrzewało. Z zagonu, jak szara grudka wyrzucona w górę, poderwał się skowronek, zawisł w powietrzu i zadzwonił srebrzystymi dzwoneczkami.

— Ptaki jak u nas — przyglądał się Ignac. — Pole tyż takie same, ino drzewa tu już puszczają liście, a u nas jeszcze nię.

W krótkim czasie znalazł się już przed bramą. Zadarł do góry głowę. Nad bramą bielały duże litery:

Oś-ro-dek Szko-le-nio-wy Me-cha-ni-za-cji Rol-nic-twa — przesylabizował z trudem.

„To jeszcze pewno nie szkoła. Jakisi ośrodek, ale musi że blisko". Zagapił się na widoczne poprzez kraty bramy okazałe budynki, stojące w głębi starego parku. Płynęły stamtąd dźwięki muzyki. — Tak z rana i pewno zabawa, musi tu bogate ludzie mieszkają. Trza iść dalej poszukać ty szkoły, ino kogo by się spytać?

W tej chwili z bramy wyszedł wielki chłop, ubrany w szary mundur ze świecącymi guzikami, z orzełkiem na czapce. Zatrzymał się przed Ignacem.

Ugięły się ze strachu nogi. „Pewno tu nie wolno stać i ten mnie zamknie. Musi to być jakiś z „Urzędu", i to z wielkiego urzędu. Takich w Tomaszówce nie ma, dopiero w Solcu może się z nim równać chyba sam organista. Trza się ukłonić" — zerwał z głowy czapę.

— Gdzie to idziecie? Do ośrodka? — zahuczał basem ten w mundurze.

Ignac jeszcze bardziej się przestraszył takiego głosu.

— E, nie — jo nie do środka — jąkał się. — Nie chciałem iść do tego środka... ino se stanąłem. Nie wiedziałem, że nie wolno... Jo do szkoły...

— No to przecież tu jest szkoła. Skierowanie macie?

Drżącymi rękami wyciągnął Ignac papierek.

— Proszę za mną. A czapki nie trzymajcie w ręku. Włóżcie na głowę. — Obejrzał się na Ignaca kroczącego za nim z miną skazańca.

— Widać prawdę mówili wujo. Już mnie złapali i prowadzą — rozmyślał Ignac patrząc na potężne plecy. — Nie na darmo taki stoi przy bramie. Temu to nikt nie ucieknie. Już mnie nic nie wyratuje.

Dwadzieścia metrów za bramą skręcili ku dużemu murowanemu budynkowi. Weszli do środka. Minęli kilka drzwi. Przed jednymi z tabliczką „Kierownik internatu" zatrzymali się. Na zapukanie odezwano się ze środka: — Proszę!

— To jeszcze jeden, ob. kierowniku — zameldował ten w mundurze, po czym odwrócił się i odszedł zostawiając Ignaca przy drzwiach.

— Witajcie, kolego — podniósł się zza biurka młody człowiek. — Trochę się spóźniliście, bo już dwa dni, jak się wszyscy zjechali, ale lepiej późno niż wcale. Prawda, kolego?

— Ino tak — bąknął uśmiechnięty Ignac.

— Ignacy Pałys się nazywacie — spojrzał na skierowanie, które wartownik położył na biurku.

— A Ignacy, od Rzepeckiego — uzupełnił Ignac rozglądając się po pokoju. Zobaczył, że oprócz tego, co z nim rozmawia, siedzi na krześle jeszcze jeden. Obaj mieli czerwone krawaty.

— Acha, to ZMP — przypomniało mu się i poczuł się o wiele raźniej, swojsko.

— To zabierzcie, kolego — zwrócił się kierownik do tego drugiego — Ignacego Pałysa na blok nr 20. Pokażcie mu, w której sali ma się urządzić, a po śniadaniu załatwcie resztę.

— Idziemy, ja jestem waszym wychowawcą.

Tym razem Ignac szedł już śmielej.

— Wy jesteście ze Starachowickiego, kolego — zagadywał wychowawca po drodze. W Starachowicach produkują samochody „Star 20". Bardzo dobre maszyny. Byliście kiedy w fabryce?

— Nie — odparł Ignac. — Ja z Tomaszówki, od Rzepeckiego.

Wchodząc do bloku 20 musieli na chwilę zatrzymać się, gdyż z bloku wybiegali właśnie tłumnie roześmiani chłopcy. Wszystko ubrane w takie kombinezony, w jakim Ignac widział „traktorzystę" na gazecie u Potulaka.

— Tacy traktorzyści, jak i wy — roześmiał się wychowawca. — Tyle tylko, że dwa dni wcześniej przed wami przyjechali. Ale za trzy miesiące to z was wszystkich będą prawdziwi traktorzyści.

— A no ino — uśmiechnął się sam do siebie Ignac i miętosząc czapkę w rękach szedł za wychowawcą na piętro. Wychowawca wprowadził go do jasnego pokoju i powiedział: — Tu będziecie mieszkać, jest już pięciu, a wy będziecie szóstym. Łóżko zajmijcie to od ściany, a do tej szafy możecie ułożyć rzeczy...

— Rzeczy? — rozdziawił gębę Ignac. — Jakie rzeczy?

— Hm... — domyślił się wychowawca i dopiero teraz zauważył, że Ignac w ogóle nie ma z sobą nawet węzełka.

— To jakbyście co chcieli położyć, to od tego są szafy — uzupełnił. — A teraz idziemy na śniadanie i już pamiętajcie, gdzie wasze miejsce. Na drzwiach jest tabliczka „11". To numer pokoju.

Znowu przeszli do stojącego osobno w parku dużego budynku i po schodach dostali się do obszernej sali. — Większa jak kościół — stwierdził Ignac stawiając ostrożnie kroki po lśniącym linoleum. Całą salę zajmowały długie stoły, nakryte białą ceratą, z piętrzącymi się na nich stertami nakrajanego chleba. Wokół siedzieli chłopcy i jedli z apetytem. Do jednego ze stołów podprowadził wychowawca Ignaca.

— Tu będzie wasze miejsce stałe w grupie 10-tej. Posadził go na taborecie. — Smacznego.

Rozejrzał się Ignac po sąsiadach. Wokół niego siedzieli chłopcy w tym wieku przeważnie co on. Nalewali sobie kawę ze stojących na stole dzbanów, sięgali po chleb, smarowali masłem z talerzyków stojących przed każdym i żartowali między sobą. W sali słychać było jak gdyby głośne brzęczenie pszczół.

Nieswojo trochę czuł się Ignac. Może dlatego, że był w swoich łachach, a tu wszyscy w nowiutkich czystych kombinezonach wyglądali tak zuchowato.

— To nie ze wsi chłopaki, musi — z miasta — stwierdził w myśli. — Jak tu się między takimi zabrać do jedzenia, żeby człowieka nie wyśmiały?

Siedział sztywno.

— Czemu to kolega nie je? — obrócił się ku niemu sąsiad z lewej strony. Znać, że młodszy jeszcze od Ignaca, o pyzatej twarzy i śmiejących się oczach.

— Jem. — Sięgnął Ignac po chleb. Smakował mu, bielutki, świeży. „Kupny" — jak mówili w Tomaszówce.

— A masłem czemu to kolega nie smaruje? — podsunął mu drugi sąsiad talerzyk z masłem. — I tu wędlina, też kolegi...

Czerwienił się Ignac, nie nawykły do takich objawów koleżeństwa i niezręcznie rozsmarowywał masło po chlebie, dziwiąc się w głębi ducha. Po co do takiego dobrego chleba dają masło i kiełbasę?

— Kawę każdy sam sobie nalewa — pouczył pucołowaty. — Kolega dopiero dzisiaj przyjechał? Skąd?

— Z Tomaszówki — przełknął Ignac olbrzymi kęs.

— A z jakiego powiatu?

— Starachowice. — Przypomniało się Ignacowi miasto, gdzie wsiadał na kolej.

— To ja też ze Starachowickiego, z Bałtowa — zadziwił się pucołowaty — Nazywam się Franek Szymański. Mój ojciec jest kowalem.

— A ja Ignac Pałys, Rzepeckiego z górki... — przedstawił się po raz pierwszy w życiu Ignac. Po czym, obejrzawszy się, czy kto nie widzi, sięgnął po drugą pajdę chleba.

Jeszcze nie czuł się syty. Niektórzy chłopcy wstawali od stołu.

— Zjadłbym jeszcze — zwierzył się szeptem Frankowi. — Nie będą ta drzyć się, jak zobaczą?

— Przecie na to stoi, żeby każdy jadł, ile mu się chce — objaśnił Franek. — Więc nie żałował sobie. Miał zamiar wziąć jeszcze w kieszeń chleba, ale tego już nie śmiał (a taki dobry!). Wypił trzy filiżanki kawy (a jakże! z mlekiem i osłodzona). Teraz śmielej rozglądał się po sali.

Ładnie tu, ładnie i jakieś obrazy na ścianach, zawieszone na czerwonym płótnie. „To chyba święte. Ale co za święte?" Takich nie było ani u Rzepeckich, ani w kościele.

„Tego z fajką, co tak dobrotliwie spogląda, to już gdzieś widział. Acha, u Potulaka na gazecie, i mówił Potulak, że nazywa się on... nazywa? Stalin. Z zadowoleniem uśmiechnął się Ignac do portretu: Aha, wiem.

Ale gdzie tu siedzi orkiestra? Grają ci jakby nad uchem, a nigdzie ich nie widać. No, no. Gdzież te muzykanty?

Chciał się o to spytać Franka, ale ten już odszedł. — Apel — powiedział wstając od stołu.

— Co on powiedział? — kombinował Ignac. — „Apel"? Pewno należało coś Frankowi odpowie-

(Dokończenie na str. 11-ej)

WITOLD WIRPSZA

DZIENNIK KOŻEDO

(Fragmenty z poematu)

MODLITWA. POLE OBSTRZAŁU

GENERAŁ BOATNER MODLI SIĘ:
O Boże, wielki Boże,
Który znasz serce człowieka,
Bez którego wiedzy włos z głowy spaść nie może,
Spraw, aby się — krew nie polała na jałowe pola.
Lecz niechaj się dzieje nie moja, ale Twoja wola.

Boże Abrahama, Izaaka, Jakuba,
któryś lud swój wywiódł z domu niewoli,
wejrzyj i zachowaj życie tych ludzi.
Lecz niechaj się stanie nie według mojej, lecz według Twojej woli.

ROZKAZ OPERACYJNY GENERAŁA BOATNERA:
Podciągnąć czołgi w rejon obozu. Kaemy
Dzień i noc w pogotowiu; to samo lekkie działa,
Patrolować zdala od drutów, ażeby
Zwiększyć pole obstrzału.

Strzelać uważnie. Nie marnować nabojów,
Niechaj każdy pocisk dokładnie trafia w cel.
I niech was Niebo prowadzi do boju.
Bóg tak chce.

B I T W A

Oficer się zgrywa. Wydaje rozkaz półgłosem:
— Sektory takie a takie zrównać z powierzchnią ziemi.
Po czym chustką ostrożnie wyciera pistolet z rosy
I mówi: — Naprzód dżentelmeni.

Znów poszły czołgi. Trzeszczą deski baraków.
Ale bezbronni się bronią. Zajęli stanowiska.
Oto czołg przewrócony. Jak łapa rannego ptaka
Warcząc, miele powietrze zbyteczna już gąsienica.

Bezbronni wstrzymują natarcie. My znamy kierunek ataku.
Wiemy którędy by czołgi, gdyby nie opór, poszły.
Oficer rzekłby półgłosem: — Oto droga na Kraków,
Tu Wisła, tu Dniepr — a to jest droga do Moskwy.

Trup leżał gęsto. Uczcijmy zabitych Kożedo.
Bezbronnych, którzy walczą. Żołnierzy odważnych i prawych.
Towarzysze, na dalekiej wyspie poległo
Dziewiątego czerwca pięciuset obrońców Warszawy.

WALDEMAR KIWILSZO

Wiele o wsi, mniej o mieście

Żeby przejść do rozważań nad utworami — nazwijmy je — łódzkimi, należy przynajmniej w skrótowym rzucie historycznym ukazać rozwój tego środowiska. Po wojnie przez czas dłuższy Łódź była największym miastem polskim i ściągali do niej bardzo liczni przybysze, a wśród nich i „pracownicy pióra". Wychodziły tu dwa poważne pisma literackie: „Kuźnica" i „Wieś". Ton życiu literackiemu nadawali niejednokrotnie świetni pisarze skupieni przede wszystkim właśnie wokół żywej, rozedrganej polemiką „Kuźnicy". Mimo tej niespotykanej nigdy przedtem bliskości literatury wobec miasta setek kominów fabrycznych i setek tysięcy robotników, w ciągu tych kilku lat miasto fabryczne, robotnik łódzki, jego życie i praca nie wkroczyły na karty literatury. Jak dawniej wychylały się tylko, by przemówić z nielicznych wierszy Tuwima i Broniewskiego.

Trzy były powody tej niezasłużonej niesprawiedliwości. Przede wszystkim środowisko robotnicze i jego życie było dla wyobraźni naszych pisarzy „białą kartą", przestrzenią pustą, niezamieszkaną. Dalej, w panującymi naonczas zamęcie teoretycznym, nie postulowano wyraźnie tematyki z zakresu życia proletariatu, pisarze więc nie byli na nią uwrażliwieni, albo wręcz nie zwracali się w jej stronę. Wreszcie panowała tu wtedy ambicja „ogólnopolskości", uzasadniona zresztą z wielu powodów, tylko że — niesłusznie pojmowana — prowadziła do lekceważenia najbliższego terenu. W ten sposób ambicje te hartowano już nie tylko na tzw. poziomie artystycznym utworów, lecz również najniesłuszniej w świecie na sprawie doboru tematów.

Pewne dysproporcje tematyczne, jakie do dzisiaj utrzymują się w twórczości grupy pisarzy osiadłych w Łodzi, dysproporcje, które ujęte zostały w formułę już w samym tytule artykułu, wynikają niewątpliwie po części również i z tego dziedzictwa, jakie pozostawiła środowisku temu historia lat poprzednich. Mówiliśmy dotąd o jednej stronie tego dziedzictwa.

Druga strona stwarzała pomyślne warunki „natarcia" dla literatury zainteresowanej problematyką życia wsi. Kilkuletnie rezydowanie na tym terenie pisma literackiego dla inteligencji wiejskiej nadawało kierunek twórczości pewnej dość licznej grupie pisarzy. Trzeba dodać, że w Łodzi także „zapuścił korzenie" istniejący w swoim czasie ruchliwy oddział pisarzy wiejskich. Na tym tle zrozumiały się stanie urodzaj na tematy wiejskie, z jakim spotykamy się w środowisku pisarzy jednego z najbardziej proletariackich miast Polski.

Można by statystycznie dowieść przewagi tematu wiejskiego nad robotniczym. O ile pierwszy reprezentowany jest przez cały szereg utworów i to zarówno w poezji, jak i w prozie, to drugi o ile się już narodził w poezji, to w prozie miejscowych pisarzy znajduje się w stanie embrionalnym, w stadium prób czy zamierzeń. Dzieła, które mogłoby go chociaż ze skromną godnością reprezentować, dotychczas nie ma. Pisarze, mieszkający tu w samym gąszczu konfliktów klasowych i ludzkich, wędrowali gdzie indziej, „w teren", w poszukiwaniu tematyki budownictwa socjalistycznego, na podpatrywanie przodowników pracy, robotników i racjonalizatorów, zapominając o tym, że „teren" dla pisarza jest właściwie wszędzie, gdzie pisarz się znajduje, a na pewno jest nim kipiące robotniczym życiem miasto wieluset fabryk. Łódź ma swoje wielkie życie w walce znaczonej ciągłymi sukcesami zarówno w osiągnięciach produkcji przemysłowej, jak i w osiągnięciach przebudowy i budowy miasta (nowe dzielnice, nowe fabryki, rurociąg od Pilicy itd), w zmieniającym się wyraźnie obliczu kulturalnym (imponujący rozwój szkolnictwa wyższego, praca kilkuset świetlic robotniczych). Trzeba to widzieć. I nie dosyć tego — trzeba o tym pisać. To są tematy czekające podjęcia. Jednym z zadań tutejszych pisarzy winno być zwrócenie się ku nim, nawiązywanie do najbliższego terenu, do Łodzi fabrycznej, włókniarskiej. Jak dotąd dynamika życia tego terenu nie znajduje właściwego odbicia w twórczości pisarzy łódzkich. Pewne może wyraźniejsze licencje zyskała sobie jedynie wśród poetów.

Ogólnie rzecz biorąc sytuacja w poezji odpowiada tu powszechnemu stanowi twórczości poetyckiej w kraju. Nastąpił tu zwrot twórczy w kierunku realizmu socjalistycznego. Poeci podejmują odważnie zagadnienia naszej walki o socjalistyczne przemiany, opiewają plany sześciolatki, współzawodnictwo pracy, patos naszych dni, agitują słowem i wzruszeniem poetyckim za pokojem, sięgają do bliskich im tematów „pozakrajowych", jak budownictwo komunizmu w Związku Radzieckim, walka klasy robotniczej w krajach kapitalistycznych. Znajdziemy te wiersze w zbiorku Włodzimierza Słobodnika „Światło na trasie", natrafimy na nie w tomiku Jana Huszczy „Wiersze", spotkamy w obu książkach Jana Koprowskiego („Nowa Ziemia" i „Pejzaże polskie"), u Stanisława Piętaka w „Imieniu przyszłości", u Jerzego Millera w „Słowach na pozycji", odczytujemy je w tomiku Wacława Olszewskiego „Wiersze w kontrataku" i w „Ziarnie kiełkującym" Wandy Karczewskiej. Tomiki te oznaczają przeważnie jakiś punkt rozwojowy każdego z wymienionych poetów, a przede wszystkim są dowodem coraz silniejszego powiązania ich poezji z rzeczywistością powstającego u nas socjalizmu. Co prawda stanowią one jeszcze czasem przykłady uproszczonej deklaratywności, czasem grzeszą zbytnią ogólnikowością, czasem zbyt małym ładunkiem wzruszeniowym, stronią od realiów, nie umiejscawiają wyraźnie obrazu w rzeczywistości.

Naturalnie nie brak jest i na tym terenie objawów zapóźnień, przykładów uległości twórców wobec wpływów estetyzmu czy formalizmu. Skupiły się one w tomikach Anny Pogonowskiej „Przemiany" i Józefa Szczawińskiego „Chwila". Źródeł poezji w nich reprezentowanej należałoby się dopatrywać w atmosferze „bólu istnienia", zwątpień, goryczy. Jest to poezja klęski, rozdarcia, pesymizmu, której związki ze schyłkową estetyką burżuazyjnej poezji są oczywiste.

Osobno chcielibyśmy zaszeregować tomik Igora Sikiryckiego „Wołanie drzew". Jest to niestety jak dotychczas wołanie nie dosłyszane przez krytykę. A szkoda. Tomik jest naprawdę wart uwagi. Znajduje się w nim kilka niekłamanie wzruszających swym liryzmem utworów. Te dwadzieścia wierszy — to starannie wyselekcjonowany owoc poetyckiego dojrzewania autora. Większość wierszy pochodzi z lat wojny; niektóre z nich są napiętnowane słabością poezji tamtych lat. Nowe, publikowane w ostatnich miesiącach wiersze Sikiryckiego zdają się przemawiać za tym, że poeta odszedł daleko od tamtych strof poetyckich i zbliżył się do głównego nurtu naszej poezji.

Wierszy o samej Łodzi i jej robotniczym trudzie nie mamy wiele. Znalazły się dwa w tomiku Huszczy („Zwrotki o Łodzi", „Łódź", „Wieczór na Karolewie"), w „Pejzażach polskich" Koprowskiego („Pieśń o Łodzi" oraz „Wyznanie dla Łodzi"), w tomiku Słobodnika („Apostrofa pierwszomajowa do Łodzi fabrycznej" i „Pieśń o Łodzi fabrycznej"); są u Millera (wiersz „Nowe Bałuty"), a więcej jest ich u innych poetów, którzy nie opublikowali swych wierszy w tomikach: u Jana Czarnego, Grzegorza Timofiejewa, Wacława Mrozowskiego, Mariana Piechala, Jana Sztaudyngera, Mirosława Ochockiego, Tadeusza Gisgesa, Tadeusza Chróścielewskiego, Józefa Szczawińskiego, Macieja Kononowicza i in.

Powolniej wstępuje w rejony tej tematyki proza. Nic chyba w tym dziwnego. Formy epickie wymagają od pisarza — co tu dużo gadać — bogatszej, pełniejszej wiedzy o świecie.

Jedną z bardziej interesujących pozycji literackich, której należy się szersze omówienie, jest bez wątpienia próba powieściowa Leona Gomolickiego, która ma ukazywać szlaki rewolucyjnej przeszłości łódzkiego proletariatu. Ten cykl historyczny nie ukazał się jeszcze w wydaniu książkowym, był dotąd drukowany w odcinku powieściowym łódzkiego „Głosu Robotniczego". Całość składa się z trzech części. Pierwsza — „Strajk" — jest kroniką wydarzeń upamiętnionych w historii Łodzi dni 1892 roku, kiedy to święto majowe przerodziło się w potężny sześciodniowy strajk powszechny. Następna część — „Barykady" — przenosi nas w okres 1905 roku. Część ostatnia utworu osnuta jest na wypadkach z roku 1906, który wpisał się w dzieje Łodzi grudniowym lokautem. Stąd tytuł tej części cyklu — „Lokaut".

Myślę, że nie trzeba dowodzić wielkiej potrzeby powieści obrazującej tradycje ruchu robotniczego. Klasa robotnicza pragnie poznać swe rewolucyjne tradycje — zmagania klasowe, w trakcie których rosła jej świadomość polityczna i zbliżała się wolność. Zadaniem pisarzy naszych jest ukazanie patosu rewolucyjnego tych lat walki, przekazanie ich wizji w sugestywnym i żywym obrazie. Temat został wybrany przez autora bardzo trafnie, z wielkim wyczuciem i zrozumieniem aktualnej potrzeby. W tym jego zasługa.

Utwór jednak nazwałbym eksperymentalnym. Z wymowy jego możemy wnioskować o dobrej znajomości przedmiotu, o jego bezbłędnej politycznie wiedzy historycznej i wreszcie o niedowładzie wyobraźni twórczej, o małej sprawności beletrystycznej, o ograniczonej umiejętności posługiwania się zasadą fikcji powieściowej, o trudnościach przedzierania się przez zasieki materiału dokumentacyjnego.

Gdyby przyszło nam opowiedzieć fabułę którejkolwiek z trzech części trylogii stanęlibyśmy prawie bezradni. Spoza chaotycznego natłoku scen i epizodów wiążących się pozafabularnie jedynie samą koncepcją przedstawiania obrazów walki, ukaże się czytelnikowi zaledwie jeden i to nie dość konsekwentnie przeprowadzony wątek fabularny. Autor obszedł się ze Stasiakiem i z Kaśką po macoszemu, zapomina o nich na dużych przestrzeniach utworu.

Mnóstwo tu jest scen wkomponowanych jak gdyby specjalnie dla ilustrowania tez ideologiczno-politycznych. Kilkadziesiąt osób pojawia się epizodycznie, by dać wyobrażenie o proporcjach w układzie sił partyjno-politycznych. Co gorsze postacie nie przedzierają się poza swoje deklaracje partyjno-polityczne.

Nie mogą one ożyć w wyobraźni czytelnika, na to musiałyby mieć swe rzeczywiste życie psychiczne. Innym błędem metody autorskiej jest pseudonimowość niektórych postaci, którym poświęca się pewne partie utworu. Poza informacją narratora, że był to młody człowiek pełen bojowego nastawienia i zapału rewolucyjnego, nie dowiemy się o nim nic więcej (np. w zakończeniu „Strajku").

Warto jeszcze zająć się tu jedną kwestią. Nierzadkie w tekście są momenty, kiedy opowiadanie kronikarskie nie mogąc się po epicku uporać z odtwarzaniem wydarzeń przeradza się w referat historyczny. Prozaicy zbyt często nie dowierzają umiejętnościom myślowym czytelnika i dlatego uważają za konieczne podawać mu wszystko w bezwzględnie gotowej esencjonalnej postaci, nie pozostawiając niczego dla domysłu, dla dopowiedzenia. Stąd wynika ich komentatorska gadatliwość, ta publicystyka uprzykrzona, referatowość, którą się obrysowuje sam materiał epicki, ograniczając, a nawet tłumiąc, zupełnie jego samoistną wymowę.

Trzeba zatem powiedzieć, że materiał powieściowy w książce Gomolickiego jest, ale samej powieści jeszcze nie ma.

Wśród książek prozaików miejscowych mamy jedną o tematyce współczesnej, której akcja rozgrywa się całkowicie na terenie Łodzi. W tym sensie można by ją nazwać książką pionierską. Nie jest to co prawda powieść, jaką przede wszystkim chcielibyśmy widzieć — powieść o robotnikach łódzkich, włókniarzach, ale świadczy już ona o tym, że teren ten staje się pisarzowi coraz bliższy. Być może jest to pierwsza zapowiedź przyszłych awansów „tematów łódzkich". Jaskółką tą jest powieść Anny Ożogowskiej „Na Karolewskiej", opowiadająca przeżycia gromadki dzieci z ulicy Karolewskiej na przedmieściu Łodzi. Rzecz napisana jest żywo i zajmująco i stanowi niewątpliwie dobrą lekturę dla młodzieży szkolnej. Wytknąć można by jedynie książce Ożogowskiej nadmiar dydaktyzmu, jakim raczy ona czytelnika. Autorka nie opuściła chyba żadnego problemu, nie darowała niczemu. Na czterdzieści rozdziałów tej książki, które niemal zawsze mogłyby uchodzić za odrębne, zamknięte „powiastki moralne", jest co najmniej czterdzieści, jeżeli nie więcej problemów, postawionych i rozwiązanych wykładem pedagogicznym,

Te dwie pozycje wyczerpują w zasadzie całość beletrystycznych wypowiedzi pisarzy łódzkich na temat „ich miasta", jeżeli nie liczyć dwu innych, dopiero zapowiedzianych. Jest to powieść młodzieżowa Edwarda Szustra pt. „Bitwa o Balcerka", nagrodzona na konkursie „Sztandaru Młodych" i mająca się wkrótce na jego łamach drukować — powieść o kolektywie zetempowskim jednej ze szkół przemysłowych Łodzi. O bohaterach Łodzi, ludziach fabryk, o ich pracy i walce o wykonanie planów produkcyjnych, o wzrastaniu ich robotniczej świadomości będzie mówiła większość opowiadań Władysława Rymkiewicza z przygotowanego tomu „Czwarta lewa".

Dalej występuje już zwarty front utworów o tematyce wiejskiej.

Dwa tomy prozy Stanisława Piętaka, które czytelnik otrzymał do rąk w omawianym okresie, dokumentują drogę tego pisarza do realizmu socjalistycznego — drogę bynajmniej nie prostą i najłatwiejszą, jeżeli się zważy, że autor „Burzliwej pory" wykształcił swe chwyty warsztatowe i sposoby wypowiedzi w trudnym i niepomyślnym dla realizmu okresie przedwojennym. „Burzliwa pora" to dłuższa opowieść malująca stosunki na przedwojennej wsi polskiej. Na ich tle poprowadzona została historia Andrzeja — „niespokojnego ducha", którego wywalają z seminarium nauczycielskiego za sympatię do komunizmu. Konsekwencje jej będą szły później w ślad za Andrzejem, będą towarzyszyły jego powrotowi na wieś, zdobędą mu miano „wywrotowego elementu", otoczą „staranną opieką" ze strony wszystkich sygnatariuszy władzy, wójta, księdza, plebana i komendanta policji — dadzą mu odczuć całą „słodycz" życia w tym ustroju. Oto w nadmiernym skrócie podana linia tematyczna „Burzliwej pory". Autor nie wykorzystał tu jednak w pełni zasobów tematu, ograniczył się prawie całkowicie do rysowania wsi od strony obyczajowo-bytowej. Wiele wyjaśnia data powstania tego utworu położona przez pisarza na końcu opowieści. Lata przed 1939 rokiem nie dokonały przemian w twórczości autora „Młodości Jasia Kunefała". Przyniosły je dopiero lata powojenne — nowa historyczna i ustrojowo-społeczna perspektywa wsi. I to przyniosły nie od razu. Z wielką sympatią zapisywaliśmy nieśmiały z początku bieg tych przeobrażeń, odczytywaliśmy go na kartach „Ucieczki z miejsc ukochanych", dopatrywaliśmy się w „Łunie".

Nowe opowiadania składające się na tom „Wspólna dolina" stanowią zdecydowany zwrot w twórczości prozatorskiej Piętaka — zwrot w kierunku realizmu socjalistycznego. Tematycznie, problemowo są one świeże, gorące, aktualne, dotykają spraw wsi dzisiejszej w najczulszych warstwach, mówią o trudnościach borykania się życiowego biedniaka, o agresywności kułactwa, o niełatwych początkach spółdzielczości rolnej, atakowanej od zewnątrz przez klasę posiadaczy i niescementowanej jeszcze od wewnątrz na tyle, aby zawsze skutecznie opierać się wrogowi. Wartością pierwszą tych opowiadań jest klasowość widzenia rzeczywistości wiejskiej. Najlepsze w zbiorze są: opowiadania tytułowe „Wspólna dolina", „Pierwsze starcie" oraz przejmujące w ukazanym dramacie ludzkim pisarza chłopskiego opowiadanie pt. „Duszkiewicz".

W nieco inny krąg tematyczny wprowadza „Ziemia wyzwolona" Władysława Rymkiewicza. W formie szkicu powieściowego przypomina dzieje wyzwolenia Żuław spod zalewu wód, mówi o ludziach, którzy pierwsi zagospodarowywali te ziemie, w trudnej walce wydzierając je po kawałku żywiołowi wodnemu.

Prozaikiem o „wiejskich zainteresowaniach" jest Jan Koprowski. Debiut jego w prozie stanowi ze względu na swój zakres tematyczny ciekawy dokument wrastania proletariusza wiejskiego w świadomy, zorganizowany ruch rewolucyjnego proletariatu.

„Sprawa Marcina Piechoty" jest drugą książką Jana Koprowskiego. Tej fabularnej transpozycji losów średniaka dojrzewającego w walce o spółdzielczość wsi krytyka poświęciła już nieco uwagi.

Niepokojąca jest tendencja do zanikania małych form prozatorskich. Winę należałoby chyba przypisać bojaźni twórców, wynikającej z błędnego pojmowania tzw. zasad proporcji realistycznych w utworze. Zdecydowanie szczęśliwie opiera się tym szkodliwym sugestiom Czesław Schabowski. Zbiór opowiadań „To sprawa syna" świadczy, jak śmiało i przeważnie pomyślnie radzi sobie autor w tej omijanej przez innych dziedzinie. Poczynając od debiutanckich „Szarotek", poprzez autobiograficzną „Tamę" aż do ostatnich opowiadań obserwujemy stały rozwój pisarza. Omówienia tomu „To sprawa syna" należałoby dokonać poza ramami artykułu, poświęcając mu więcej uwagi, do czego zobowiązuje krytyka zarówno droga rozwojowa pisarza, jak i dojrzały, artystyczny kształt poszczególnych ostatnich jego utworów.

Nie mówiliśmy jeszcze o krytyce, która co prawda ilościowo skromna, ale istnieje na terenie Łodzi.

Leon Gomolicki wydał w roku mickiewiczowskim bardzo cenną monografię: „Mickiewicz wśród Rosjan", poświęconą omówieniu pobytu Mickiewicza w Rosji, jego przyjaźni z Aleksandrem Puszkinem i kontaktów z postępową młodzieżą literacką ówczesnego cesarstwa rosyjskiego.

Autorem innej pracy jest Stanisław Czernik. Ostatnio wydał on obszerną, bogatą materiałowo książkę — „Poezja chłopów polskich" — pieśni ludowe w okresie pańszczyźnianym.

Z zainteresowaniem oczekujemy wydania przez „Czytelnika" monograficznego opracowania twórczości Władysława Reymonta, którego autorem jest młody krytyk, Lech Budrecki.

W Łodzi też pracuje pokaźna i poważna kadra tłumaczy. Jerzy Wyszomirski ma na swym koncie wiele przekładów utworów Gogola, Tołstoja, Leskowa, jest też autorem przekładu jednego z tomów „Rzeczy minionych i rozmyślań" Hercena. Ostatnio dokonał przekładu sztuki A. Ostrowskiego „Swoi ludi soczłiomsja", która pod tytułem „Bankrut" grana jest obecnie w jednym z tutejszych teatrów. Eleonora i Włodzimierz Słobodnikowie są współautorami przekładu już wydanego pierwszego tomu „Rzeczy minionych i rozmyślań" Hercena — tej prawdziwej encyklopedii życia carskiej Rosjii z epoki lat 1830 — 60-tych. Stanisław Brucz tłumaczył sztuki Maksyma Gorkiego („Letnicy"), jest też autorem przekładów kilku powieściowych utworów z języka rosyjskiego i francuskiego, jak również studiów Plechanowa z zakresu sztuki i literatury. Kazimierz Błeszyński tłumaczy klasyków marksizmu i jego autorstwa jest między innymi świetny przekład pracy Karola Kautsky'ego „Tomasz Moor i jego utopia". Zofia Petersowa jest tłumaczką utworów Anny Seghers, Serafimowicza i innych. Jej też dziełem jest ostatni przekład „Wojny i pokoju" Lwa Tołstoja. Juliusz Saloni tłumaczy Beckera, Marian Piechal i Grzegorz Timofiejew współczesną prozę radziecką. Z włoskiego i hiszpańskiego tłumaczy Edward Martuszewski.

Przygotowywany jest obecnie do wydania „Almanach twórczości łódzkiej", który obejmować będzie wszystkie uprawiane przez miejscowych pisarzy rodzaje literackie. Znajdą się tu reportaże Tadeusza Szewery i Wojciecha Drygasa. W dziale prozy nowe opowiadania Władysława Rymkiewicza, fragment powieści Leona Gomolickiego, utwory Jerzego Millera („Sylwetki działaczy SDKPiL"), Czesława Schabowskiego, Edwarda Szustera, Seweryny Szmaglewskiej, Stanisława Piętaka, Zofii Lorentz, Jana Koprowskiego.

W almanachu znajdą się także utwory łódzkich pisarzy żydowskich jak Izaaka Gutermana, Horacego Safrina i innych.

Poezja wystąpi w licznym doborze wierszy różnych autorów, wśród których znajdziemy również kilku ledwie „zakwitających" poetów („Koło Młodych"). Koncepcja almanachu jest taka, że uwzględnia przede wszystkim utwory o tematyce związanej z życiem robotniczego miasta, z jego wzrostem kulturalnym i socjalistyczną przebudową. Ukazanie się almanachu będzie dobrą sposobnością do nowych refleksji nad twórczością pisarzy łódzkich.

Waldemar Kiwilszo

DOM KSIĄŻKI

Księgarnie „Domu Książki" z wydawnictwami importowanymi posiadają w zakładzie pełny asortyment książek radzieckich w języku rosyjskim, stale uzupełniany nowościami.

Z dziedziny literaturoznawstwa, historii, prądów rewolucyjnych i ruchów wolnościowych polecamy między innymi następujące nowości:

	zł
BŁAGOJ: Istorija russkoj litieratury XVIII w.	8.00
WOŁKOW: M. Gorkij i litieraturnoje dwiżenije Konca XIX i naczała XX w.	4.00
WOSPOMINANIJA BIESTUŻEWYCH.	14.00
GOGOL W WOSPOMINANIJACH SOWRIEMIENNIKOW.	5.00
DIEKABRISTY I ICH WRIENIJA.	14.00
ŁAURIEATY STALINSKOJ PRIEMII ZA 1950 g.	12.00
MAKAROW: Chudożestwiennoje nasledstwo Łomonosowa.	5.00
MICHAJŁOWSKIJ: Dramaturgija M. Gor'kogo epochi russkoj riewolucji.	
OBNORSKIJ: Christomatija po istorii russkogo jazyka. Cz. II	4.40
ROZIENTAL: Marksistskij dialekticzeskij mietod.	2.00
SŁAWIANSKIJ FOŁKŁOR: Materiały i isledowanija po istoriczeskoj narodnoj poezii Sławjan.	10.00
SOWIETSKAJA LITIERATURA NA PODJOMIE.	2.40
CZERNYSZEWSKIJ: Estietika i litieraturnaja kritika	8.00

Wszelkich informacji o książkach radzieckich udzielają księgarnie „Domu Książki" z wydawnictwami importowanymi znajdujące się w każdym mieście wojewódzkim i większych miastach powiatowych, oraz Biuro Importu i Eksportu „Domu Książki", Warszawa, Nowy Świat Nr 50.

NA ŻĄDANIE WYSYŁANE SĄ SPISY TEMATYCZNE I KATALOGI.

TECHNIKA JEST NAUKĄ HUMANISTYCZNĄ

(Dokończenie z poprzedniego n-ru)

Inżynier Plechanow był człowiekiem skrupulatnym i lubił porządek. Mgła mgłą, a punktualnie o ósmej maszyna musi zacząć pracę. Przysunął do siebie mikrofon i zakomenderował:

— Przygotować się do kroczenia!

W czasie kroczenia zadanie kierownika zmiany polega na ustawieniu koparki w najdogodniejszej pozycji, tak aby kąt jej obrotu był jak najmniejszy. I chociaż Plechanow nie widział we mgle ani głębokiego przodka, ani wysokich spiczastych hałd, wiedział doskonale, gdzie się znajdują.

Przeklęta mgła zasłaniała szczelnie cielsko maszyny. Czy to trudno o nieszczęście w taką pogodę? Niech tylko narty staną cokolwiek krzywo — tłoczyska pogną się natychmiast, albo pękną uszczelki w cylindrach i awaria gotowa!

Plechanow zszedł z mostka na nartę. Z góry dobiegło głośne: — Jestem gotów!

To mikrofon przyniósł głos inżyniera Klujewa, który stanął przy tablicy hydraulicznej.

Usiłując wyobrazić sobie położenie narty i cylindrów, Plechanow wodził rękoma po chłodnym i śliskim metalu w tym miejscu, gdzie cylindry wyrastały jak gdyby z długiej płaskiej narty. Sprawdziwszy, że wszystko jest w porządku, Plechanow wołał do niewidzialnego Klujewa: — Daj wyrzut!

I natychmiast, jakby same słowa wprawiały ją w ruch, narta usuwała się spod nóg i odpływała w dół. Plechanow odczuwał lekkie pchnięcie: narta osiadła. Zeskoczywszy na ziemię, biegł szybko wzdłuż osiemnastometrowej narty, nie odejmując od niej rąk — sprawdzając, czy przyległa szczelnie do gruntu. Potem zgięty przebiegał pod karoserią do drugiej narty, którą sprawdzał Korablow. I tutaj, zdaje się, wszystko w porządku: narta legła prawidłowo, główny cylinder zajmuje pozycję pionową, można kroczyć dalej. Plechanow okrążał maszynę, stawał pod kabiną, składał ręce w trabkę i krzyczał we mgłę: — Daj pchnięcie. Naprzód!

Klujew wykonywał komendę i olbrzym powoli, całym ciałem zaczynał odrywać się od ziemi. Wewnątrz karoserii miarowo stukały pompy i tylko ich głos mówił o tym, że maszyna się porusza. Tak płynnie i niepostrzeżenie dla oka szła z miejsca na miejsce. Już przeszła piętnaście metrów Jeszcze drugie tyle, a ziemi w obrębie działania ramienia koparki starczy na całą zmianę dla maszyn, które przyjdą wyrównywać i umacniać brzegi kanału.

Wreszcie wszystko skończone. Kolos podciągnął pod siebie narty, aby nie przeszkadzały mu w obrocie. Plechanow wszedł po stromym trapie na pomost z aparaturą elektryczną i włączył silnik synchroniczny. Trzeba było kilku minut, aby motory nabrały rozpędu. Otworzył drzwi do kabiny.

— To ci dopiero pogódka, co? — powiedział, siadając na żelaznym taborecie. — Siedzisz jak w beczce z mlekiem. Ani ziemi, ani czerpaka nie widać. Trudno ci będzie kopać w takim kisielu.

Władysław Klujew, młody chłopak w ciemnym kombinezonie, siedział w fotelu maszynisty i sprawdzał dźwignie i pedały.

— To nic — odrzekł — będę bliżej podciągał czerpak.

— A spróbuj włączyć reflektory.

Klujew przekręcił kontakt i górna warstwa powietrza zabarwiła się na żółto; w dole wszystko nadal pozostało białe. Reflektory nie pomagały.

Plechanow przez mikrofon wezwał zmianę na naradę. Po chwili wszyscy zebrali się w kabinie. Kierownik oznajmił im, że dzisiejszy harmonogram przewiduje 700 czerpaków, żeby pobić albo — w najgorszym wypadku — wyrównać rekord poprzedniej zmiany. Na kroczenie było półtorej godziny, ale trwało ono o 15 minut krócej. Trzeba więc i nadal wyprzedzać harmonogram, chociaż mgły w nim oczywiście nie przewidziano. Czy są jakieś pytania? Nie? To zaczynamy.

Klujew włączył mechanizmy robocze. Kolos drgnął. Ukazała się płynąca w powietrzu ciemna plama — czerpak. Klujew sięgnął lewą ręką za siebie i nie patrząc, przekręcił jeden z kurków na tablicy. Głośno, przeciągle zawyła syrena. Ostrzegała przed niebezpieczeństwem ludzi i maszyny, znajdujące się w pobliżu: „Krocząca koparka zaczyna pracować, uciekajcie z zasięgu jej ramienia!"

Klujew ostrożnie pociągnął do siebie dźwignię ciągu. Czerpak wolno polazł ku karoserii. Pracowały motory, stukały liny, zgrzytały łańcuchy. Wsłuchując się w te odgłosy, Klujew wyczuwał raczej niż widział, kiedy czerpak napełnia się ziemią. Wtedy pociągał do siebie inną dźwignię i czarna plama czerpaka oddalała się, unosiła i w końcu zupełnie rozpływała się we mgle. Z ruchu lin Klujew mógł dokładnie wywnioskować, gdzie znajduje się czerpak i kiedy należy go zatrzymać. Stop. Dobiegał głuchy łoskot lawiny: to wysypywała się ziemia z wywróconego czerpaka.

Nieduże ręce inżyniera zwinnie manewrowały dźwigniami. Lekki, ledwie dostrzegalny ruch ręki — i olbrzymi czerpak podpełza tuż pod karoserię; zapełniająca go ziemia porusza się jak żywa i zaczyna przewalać się przez brzegi. Lekkie naciśnięcie pedału nogą — i kolos posłusznie zwraca się w prawo, na miejsce zsypywania ziemi.

Mgła zrzedła już zupełnie i widok z okien kabiny zmienia się ciągle. Przy obrocie, za oknami przepływa głębokie ciągnące się do horyzontu łożysko kanału, stożkowate hałdy, równina stepu i znowu łożysko kanału, biegnące w drugą stronę, i znowu hałdy. Obrót wykonany.

Nad koparką przeleciał samolot. To naczelnik budowy codziennie zwiedza trasę kanału. Z góry widać wszystko jak na dłoni.

Na dole dwaj geodeci schyleni nad teodolitem przeprowadzają pomiary. Upatrzywszy moment, gdy czerpak zagłębił się w przodku, jeden z nich podbiegł do maszyny i wskoczył na nartę. Był to starszy miernicy rejonu — Niewielew.

WŚRÓD KSIĄŻEK

O LUDZIACH Z KOPALNI POWIERZCHOWNIE

Nina Rydzewska „Ludzie z węgla“ t. 2. KiW, Warszawa, 1951 r.

Wydany przed rokiem I tom powieści N. Rydzewskiej pt. „Ludzie z węgla“ wzbudził żywe zainteresowanie. Obrazował on losy polskich górników we Francji, ukazywał proces ich ideowego dojrzewania w warunkach wyzysku kapitalistycznego. Tom II-gi powieści, wydany przed paru miesiącami, mówi o dalszym losie wychodzców-górników. — autorka przeprowadza ich przez całą okupację. Powieść zamyka powrót bohaterów do ojczyzny. Wiemy, że podejmą oni pracę w kopalniach Śląska.

Powieść Rydzewskiej podejmuje więc śmiały i trudny temat. Zamiar — godny pochwały. Autorka postarała się zobrazować wielkie przemiany, ograniczając zasięg powieści do losów jednej tylko rodziny i jednej postaci głównej — Edka Bonczara. Nie wyabstrahowuje jednak głównej postaci z otoczenia, starając się oddać szeroko zakrojone społeczne tło akcji.

Jeżeli książka Rydzewskiej nie spełnia wszystkich ambitnych autorskich założeń, winę ponosi nie zbytek nacisku położonego na sprawy, w węższym tego słowa znaczeniu, społeczne, ani też zbytek nacisku położonego na sprawy osobiste — winę ponosi niesharmonizowanie tych dwóch elementów. Tu leży powód skrzywienia powieści, tego, że w ostatecznym rachunku... „Ludzie z Węgla“ nie są historią o bogatym życiu człowieka walki, na jaką się zapowiadają.

Już w pierwszym tomie sprawa Edka wyraźnie niepokoi czytelnika. Zdawało się, że sprawa osobistego powołania chłopca, zagadnienie, czy chłopiec powinien zostać górnikiem, czy też wybitne zdolności nie predestynują go raczej na muzyka — wyodrębnione niesłusznie z całokształtu górniczych spraw zacieśnia horyzont pisarki i co więcej, paczy jej perspektywy, słuszność i celność jej sądu. Istotnie, zbytnie wyolbrzymianie znaczenia uporu starego Bonczara czyni sprawę Edka przypadkową. Aby ukazać, że los typowy to nie jest wcale los przeciętny, trzeba było na sprawę spojrzeć głębiej, dowieść, że przyczyna, która zwichnęła marzenia Edka jest głębsza od ojcowskiego uporu, że jakkolwiek bardzo różne są ludzkie krzywdy, powód zła jest ten sam. W pierwszym tomie, na przykładzie osobistego losu Edka, autorka nie umiała wykazać tych najgłębszych powiązań spraw bardzo, zdawałoby się, osobistych i specjalnych, ze sprawami społecznymi. Edek, kiedy jest indywidualny — przestaje być typowy.

Może głosy krytyki miały pewien wpływ na to, że w drugim tomie „inność“ Edka ginie. Zarazem ginie jednak i jego indywidualność. Nie widzimy dojrzewania bohatera, którego żegnaliśmy po dziecinnej jeszcze, ale wróżącej już bojownika, hiszpańskiej eskapadzie. Edek wsiąka w tłum. Co stało się z jego pociągiem do muzyki? Nie mówi się o tym. Być może, że Edek sam zapomniał o dziecinnych marzeniach, ale w takim razie cała sprawa, którą zajmowano nas w poprzedniej książce, nie była tego warta, nie była nawet dla bohatera poważną sprawą.

Jeżeli porzucenie Edkowej sprawy jest dowodem uznania zarzutów krytyki, w takim razie jest to dowód żenujący. Autorka, zamiast pogłębić swoje spojrzenie na zagadnienia, które postawiła w pierwszym tomie dość powierzchownie — porzuca po prostu te sprawy na korzyść rozwijającej się zanadto informacji o politycznych wypadkach i dokumentarnego komentarza.

W drugim tomie mało już i przypadkowo dowiadujemy się o wewnętrznym dojrzewaniu Edmunda (zupełnie niewyzyskany jest np. pamiętnik prowadzony przez bohatera). Tracimy z Edkiem bezpośredni kontakt, chociaż dowiadujemy się o jego nowych, świadczących o dojrzewaniu czynach. I ten Edmund, któremu się wszystko udaje, którego podziwiamy z daleka, każe żałować niedojrzałego, żywego chłopca z hiszpańskiej eskapady. Zwłaszcza że jeden wprawdzie, ale znamienny fakt pozwala wątpić w szablonowo świetnego Edmunda z drugiego tomu.

Chodzi o sprawę Loli Ardente. Z płochej dziewczyny z pierwszego tomu Lola Ardente zmienia się w drugim w łajdaczkę.

Lola wydawała gestapo ludzi podziemia, m. in. Edmunda, przez Lolę zginęła ukochana jego, Maria. Za to Lola staje przed sądem i zostaje słusznie skazana na śmierć. Edmund jednak uważa, że to nie dosyć i zabija Lolę sam. Myśli — widać — że to jakieś zadośćuczynienie. Co gorsza, autorką również zdaje się żywić przekonanie o wysokiej moralnej wartości tego postępowania. Ale nie wydaje nam się, żeby czyn Edmunda istotnie na aprobatę zasługiwał.

Oddał ją pod sprawiedliwy sąd towarzyszy, to wystarczy. Śmierć Loli uważam za największy zgrzyt w książce.

Nie znaczy to, że w drugim tomie powieści Rydzewskiej nie ma momentów mocnych. Wypadek młodego „Flamika“, jego sprawa z Edkiem i z Pałą, kiedy to bez wielu zbędnych słów chłopiec uczy się godności i solidarności robotniczej, miłość Edmunda i Marii, przedstawiona bardzo subtelnie i nieszablonowo, żywi i wzruszający rodzice Edmunda, wszystko to dowodzi, że akcja toczy się wśród dobrze oddanych realiów górniczego życia. Rydzewska potrafi wczuć się w środowisko. Chociaż Edek Bonczar nie zasługuje w zupełności na nazwę żywego bohatera, to środowisko polskich górników we Francji nie jest już dla nas środowiskiem obcym. To jest osiągnięcie.

Reasumując: podstawowym błędem książki Rydzewskiej był brak koncepcji autorskiej. Dlatego krytyka została zrozumiana tak powierzchownie. Dlatego Woźniak staje się w drugim tomie przywódcą walczących górników, podczas gdy w pierwszym nie zapowiadał się nawet na aktywniejszego od starego Bonczara działacza. Dlatego bracia Edmunda giną nam z oczu na bardzo długi okres czasu, z wielką szkodą dla powieści. Dlatego wreszcie, kiedy autorka stara się ogarnąć szersze kręgi — wpada w publicystykę, powieść jej traci zwartość.

Znaczenie polityczne książki o repatriantach jest bardzo duże. Materiał historyczny, który autorka musiała opracować — obszerny. Studia obyczajowe musiały być cierpliwe. Szkoda, że po dokonaniu tak solidnej podbudowy pod swoją powieściową konstrukcję, samą budowę wykonała Rydzewska tak pobieżnie.

Zofia Woźnicka

INDOCHINY S.O.S.!

Andrée Viollis: „Co widziałam w Indochinach?“. Tłum. **Z. Jasemko-Żytyńska.** 1950. „Czytelnik“. Str. 215.

Dwadzieścia lat temu, nieżyjąca już dziś postępowa dziennikarka francuska Andrée Viollis odbyła podróż do Indochin, a zebrane tam materiały i wrażenia ogłosiła w małej książce pt. „Indochine SOS“. Po wielu latach książka ta wyczerpana już stała się znów we Francji poszukiwana, ponieważ ta stara książka rzucała nowe światło na okoliczności, które doprowadziły do „la sale guerre“.

Ta aktualna książka o charakterze wybitnie demaskatorskim została obecnie przetłumaczona i wydana w Polsce — niestety pod zmienionym tytułem (z alarmującego „...SOS“ na zdawkowe i lakoniczne „Co widziałam...“).

Z dokładnością uczciwego reportera, Viollis dzień po dniu zapisuje swoje obserwacje, wrażenia, rozmowy z Vietnamczykami i Francuzami — urzędnikami administracji kolonialnej. Znajdujemy tu również bogatą dokumentację: sprawozdania z procesów, listy oskarżonych.

Viollis nie trzyma się turystycznych szlaków. Dlatego widzi Vietnamczyków, ludzi poniżonych, nieszczęśliwych, prześladowanych, żyjących w nędzy i porywających się do walki przeciw kolonizatorom. Ale Viollis jakby celowo nie stawia kropki nad „i“, nie kończy myśli, pozostawia wiele kwestii otwartych, żeby zmusić czytelnika do myślenia, do wytworzenia własnego sądu o tych sprawach.

Co przebija przez dokumenty z procesów, opublikowane przez autorkę? Przede wszystkim to, że we wszelkich sprawach władze dopatrywały się „ręki komunistów“. W ten sposób oskarżeni, którzy stawali do walki z kolonializmem bez uświadomienia społecznego, ludzie, którzy często nie umieli czytać i pisać, nie znali Marksa ani Lenina, dowiadywali się na rozprawach sądowych, że komunizm to znaczy wolność i sprawiedliwość.

A. Bukowska

NIEUPORZADKOWANE BOGACTWO

Władysław Machejek: „Szkice z bojów“. Wyd. MON (Warszawa 1952)

Na książkę składają się trzy szkice: opowiadanie pt. „Koń“ i dwa fragmenty pamiętników. Opowiadania i pamiętniki w jednej książce — to zestawienie pomoże nam jeszcze przyjrzeć się poruszonemu zagadnieniu.

W opowiadaniu pt. „Koń“ stwarza Machejek postać młodego KZMPowca, który najpierw siedzi w więzieniu sanacyjnym, wyzwolony z chwilą wybuchu wojny, szuka możliwości wstąpienia do wojska. Zadenuncjowany przed władzami wojskowymi, jako komunista, musi uciekać, dociera w końcu do rodzinnej wsi i tutaj bierze czynny udział w organizowaniu różnych prowizorycznych ugrupowań, które w końcu wejdą w skład GL i PPR.

Ileż można by powiedzieć o tym człowieku! Wyswobodzony po ośmiu latach więzienia — pierwsze kroki skierowuje do wojska — wbrew najelementarniejszemu odruchowi, którym powinna być nienawiść do walącego się państwa. Każdy na jego miejscu schroniłby się w rodzinnym domu, a on tymczasem chce walczyć, wbrew ogólnemu rozgoryczeniu i rozprężeniu on właśnie chce walczyć, chociaż do rozgoryczenia miałby przecież najwięcej powodów. I cóż za paradoks potem — walące się państwo ściga go jeszcze i prześladuje. Jest szkodliwszy niż dezerter. Tuła się ścigany, śledzony. Niestety, ten wspaniały temat jest zupełnie niewyzyskany! Nic nie wiemy o tym człowieku. Jest on tylko instrumentem do robienia zawsze słusznych, zawsze niezawodnych spostrzeżeń, do podejmowania zawsze właściwych decyzji. Jest on właściwie zupełnie identyczny z bezosobowym „ja pamiętnikarskim“, które występuje w następujących szkicach Machejka. Owe drobne spostrzeżenia, drobne zdarzenia, owi ludzie zjawiający się na chwilę i znów znikający — to wszystko co wypełnia opowiadanie pt. „Koń“. Cała żywość tego opowiadania leży w ciekawym materiale anegdotycznym — zwłaszcza w końcowych partiach opowiadania, gdzie właśnie wchodzimy w skomplikowane życie polityczne miechowskiej wsi. A cała wartość tego opowiadania polega na tym, że pokazuje istotne zjawisko: jak komuniści wbrew ogólnej dezorientacji politycznej najszybciej tę orientację odzyskiwali, jak umieli zawsze nazywać po imieniu i sojuszników, i wrogów.

Następne szkice są już pamiętnikami. Pierwszy jest pamiętnikiem partyzanta (miechowskie — rok 1944), drugi — pamiętnikiem sekretarza Komitetu Powiatowego PPR w Nowym Targu, w roku 1945. Warto zwłaszcza zwrócić uwagę na ten drugi. W drobnych wydarzeniach, w charakterystykach ludzi i miejscowości, w uwagach i rozmyślaniach sekretarza zawarta jest historia tworzenia się władzy ludowej w bardzo specyficznych i skomplikowanych warunkach Podhala. Ileż tam się rzeczy dzieje, z ilomaż trudnościami walczyć musi Polska Partia Robotnicza: zacofany kraj, ciemnota, dywersja wśród działaczy i władz — a niedaleko front niemiecki (pod Żywcem), a jeszcze bliżej „Ogień“ z potężną bandą.

Pamiętnik ten czyta się z tzw. „zapartym tchem“, ale nawet nie tylko dla samych wydarzeń. W przeciwieństwie do poprzednich szkiców jest bardzo osobisty. Wśród tych notatek — czasem bardzo lakonicznych, czasem wesołych, czasem ponurych, wśród tych rozważań, czasem dotyczących problemów zupełnie szczegółowych (np. kogo zrobić starostą, albo skąd wziąć mieszkanie) a czasem bardzo rozległych i istotnych (np. problem narodowy Orawy albo problem „Goralenvolku“) — wśród tych więc bardzo różnych i chaotycznych pozornie notatek widać człowieka. Widać tego właśnie działacza, o którym mówiłem wyżej.

Na niekorzyść książki Machejka trzeba jednak powiedzieć jedno przykre zdanie: jest bardzo niechlujnie pisana. Proza Machejka roi się od mnóstwa najprzykrzejszych błędów.

Najprostsze opowiadanie (o tym np. jak oddział AL przechodzi przez Wisłę, aby przedostać się do Armii Czerwonej) jest tak zagmatwane, że nie podobna się prawie zorientować, czy już doszli, czy jeszcze nie zaczęli iść. Opis bitwy KBW z bandą „Ognia“ nie pozwala zupełnie zrozumieć, kto właściwie bitwę wygrał. Ktoś ucieka, ktoś goni, ktoś strzela. Ale kto? Czort raczy wiedzieć.

Błędy książki Machejka — bałagan, przede wszystkim bałagan — pochodzą z nieujarzmionego jeszcze bogactwa doświadczeń i wrażeń.

Andrzej Kijowski

Z WALK GWARDII LUDOWEJ

Monika Warneńska — „Domem naszym las głęboki“.
Wydawnictwo MON 1952 r. str. 153 —1 rub.).

Tom opowiadań Moniki Warneńskiej o walce oddziałów Gwardii Ludowej w Zagłębiu jest kontynuacją poprzedniej książki tej samej autorki („Czerwona kokarda“, wyd. „Prasa Wojskowa“ 1950 r.) szkicującej w cyklu opowiadań dzieje zmagań klasy robotniczej Zagłębia z rodzimym i obcym kapitalistą. Bohaterowie opowiadań wzięci są wprost z masy uczestników wydarzeń zrelacjonowanych w „Czerwonej kokardzie“, wydarzeń, do których Warneńska na całej przestrzeni swojej nowej książki nawiązuje. Niestety autorka nie potrafi wyjść poza sztucznie doczepione życiorysy w rodzaju: „Stachowiak czuje się, jak gdyby mu lat ubyło. Nic dziwnego. Dobrze pamięta przecież jeszcze rok 1905, burzliwy czas demonstracji i strajków. Jeszcze mocniej utkwił mu w pamięci rok 1918, który przyniósł kres pierwszej wojny światowej i krótkotrwałe istnienie czerwonych, robociarskich Rad“. Każdy z głównych bohaterów ma swój rodowód, ale i niewiele ponad ten rodowód. Pełnią ludzkich odczuć został obdarzony przede wszystkim hitlerowiec, leśniczy Ahrens. Różnica w ujęciu postaci Ahrensa i polskich partyzantów jest jednym z istotnych niedostatków tomu. Ważniejszy problem leży jednak gdzie indziej. Autorką zdaje sobie doskonale sprawę z właściwego charakteru ruchu oporu w Zagłębiu. Pisząc: „Ale rośli nowi, młodzi bojownicy, ale garnęli się do ruchu ci, którzy przed wojną pozostawali poza obrębem Partii, lecz bliskie im były sprawy, o które walczyli komuniści — trzeba było tych ludzi zorganizować i poprowadzić do walki“.

Tak wygląda ta sprawa w odautorskim komentarzu. Zupełnie inaczej kształtuje się natomiast poprzez fabułę opowiadań. Jeżeli na czele walki z wrogiem widzimy starych esdekapelowców i kapepowców — wszystko jest w porządku. Jeżeli natomiast społeczeństwo zostaje statycznie podzielone na zadeklarowanych zwolenników faszyzmu, aktywnych członków Partii, oraz „ludzi“, którzy j e d y n i e nienawidzili Niemców — to jest to niedopuszczalna nieścisłość. Wprawdzie oddział Cześka wciąż rośnie liczebnie, ale sugestia na początku książki pozwala sądzić, że są to wciąż towarzysze partyjni „spaleni“ w mieście. Brak wyrazistych postaci przechodzących przemiany — od biernego protestu, aż do czynnego oporu — to największa słabość książki.

Warneńska chcąc dać pełny obraz walki robotniczego Zagłębia skapitulowała na rzecz nazbyt szeroko rozbudowanej partii komentatorskiej.

I jeszcze jedna sprawa nie jest u Warneńskiej w pełni rozwinięta. Jest to sprawa „Ofika“. Łącznik bliżej nieznanego dowództwa G. L. (prawdopodobnie na teren Zagłębia) okazuje się nikczemnym zdrajcą. Mogło się tak zdarzyć. Ale całkowite pominięcie sił stojących poza „Ofikiem“ i niewskazanie klasowego podłoża tego postępku, a zadowolenie się niesprecyzowanymi sugestiami, że „Ofik“ zachowaniem się przypominał przedwojennych oficerów — jest uproszczeniem.

Mimo tych wszystkich błędów — książka Warneńskiej wnosi do naszej skąpej literatury o walkach G. L. pewne wartości. Zebrawszy bogaty materiał dokumentarny, sięgnąwszy do pamiętników zagłębiowskiego partyzanta Stanisława Wałacha i działacza P. P. R. z terenu Chrzanowa — Rudolfa Knieschnera, stworzyła autorka książkę zajmującą.

Interesująca fabuła może uczynić ją bliską młodemu czytelnikowi. Jednocześnie optymistyczne spojrzenie na ciężkie lata wojny i podkreślenie w nich przede wszystkim tego, co się rodzi — przyszłej władzy ludowej, w zasadniczy sposób różni książkę Warneńskiej od najwcześniejszych powojennych autorów kładących główny nacisk na rozpamiętywanie hitlerowskich zbrodni. Mimo zepchnięcia wielu problemów do odautorskiego komentarza, klasowe ostrze walk Gwardii Ludowej pozostaje niestępione. Ciągłość rewolucyjnych przemian możemy odczytać z kart książki. Kilkakrotne cytaty z autentycznych odezw (np. z odezwy P. P. R.-u na dzień 1-go Maja 1944 r.) nie tylko zwiększają świadomie założoną przez autorkę „prawdziwość“ utworu, ale i wzbogacają wiedzę czytelnika.

Jerzy Panasiewicz

— No i co? — spytał Uskow. — Coście namierzyli?

— Ciekawe rzeczy! — powiedział Niewielew. — Koparka stoi na najwyższym punkcie kanału. Dziś przekraczacie dział wodny.

— To znaczy, że teraz będziemy schodzili w dół, ku Donowi?

Niewielew odpowiadał na wszystkie pytania, udzielał wyjaśnień.

— A jak tam, towarzyszu miernicy, zestawienie za wrzesień?

— Wszystko w porządku. Macie nawet trochę więcej, 245 tysięcy. Sam zmierzyłem — poklepał teodolit.

— Ćwierć miliona metrów gruntu w ciągu miesiąca! — powiedział Plechanow. — Nienajgorzej. Za cara harowałyby na to ze 34 tysiące ludzi i kilkanaście tysięcy koni...

— Ja sam nie wierzyłem z początku — przyznał się Niewielew — a teraz przekonałem się na własne oczy... I nic w tym dziwnego: co drugi dzień bijecie rekordy. A nie dziwcie się, że nie uwierzyłem od razu. My, geodeci, wierzymy tylko przyrządom. Ile pokażą, tyle zapiszemy, niechby nawet i milion metrów.

...Wieczorem zmiana wracała do domu. Plechanow spytał Klujewa:

— Czegoś ty taki kwaśny? Zmęczyłeś się?

— Nie. Nie mam humoru. Nie ma nic gorszego jak postanowić coś i nie zrobić. Tylko trzech czerpaków nam zabrakło — mielibyśmy rekord.

— Będzie jeszcze rekord. Przecież to nie ostatnia zmiana. Za to mamy pierwszeństwo za wrzesień.

— Słaba pociecha. We wrześniu pobiliśmy zmianę Mitroszina. W sierpniu Mitroszin pobił zmianę Gridniewa, a w lipcu Gridniew zwyciężył zmianę Plechanowa. Domyśl się tu, która zmiana jest najlepsza.

Późną nocą kierownik działu mechanizacji robót, Zenkiewicz, wszedł do gabinetu naczelnika budowy i położył przed nim zestawienie prac ziemnych, wykonanych w ciągu minionej doby.

„Wydobyto z korytarza kanału 162.200 metrów sześciennych gruntu. W tym 67.200 — zgarniarkami, 95.000 — koparkami. W tym — koparka krocząca wydobyła 12.320 metrów. Przyrost w porównaniu z dniem wczorajszym + 14.200 m sześć.“.

Cyfry mówiły o zupełnie zwykłym na budowie zjawisku: ludzie, obsługujący gigantyczną maszynę, od miesięcy już przyswoili sobie rozmaite sposoby kopania ziemi. Poznali koparkę na wylot i jeżeli zdarzały się uszkodzenia, usuwano je szybko. Nie straszna już była mgła czy upał, czy tumany kurzu, wzbijane wiatrem z zeschłej ziemi. Rekordy — 560 — 622 — 640 — 650 — 697 czerpaków, wydobytych w ciągu jednej zmiany, były na porządku dziennym. Ludzie pracowali coraz lepiej: wiedzieli, że ich wysiłek przyśpiesza budowę komunizmu.

WYDOBYWAĆ JAK NAJWIĘCEJ PRZY NAJMNIEJSZYM WYSIŁKU

Najważniejsza była walka o czas. Nie obfitowała ona w wydarzenia, odbywała się raczej w świadomości ludzi, podobnie jak odbywa się proces twórczy w mózgu konstruktora, walczącego o doskonałość przyszłej maszyny. W tej walce o jak najszybsze wyrzucenie kolejnych 14 metrów ziemi, zużywano wysiłku fizycznego niewiele więcej niż zużywa go konstruktor, kreśląc linie na rysunku.

Jak skrócić do minimum drogę czerpaka? Zgodnie z instrukcją, każdy cykl składa się z 15 oddzielnych ruchów: zwrot koparki w stronę przodka, zatrzymanie ramienia, zniżenie czerpaka, nadanie mu położenia pionowego, nabranie ziemi, zatrzymanie napełnionego czerpaka, oderwanie go od ziemi, wyprowadzenie ze strefy roboczej, podniesienie czerpaka na potrzebną wysokość, zwrot koparki w stronę hałdy, opróżnianie czerpaka itd.

Teraz zaś czerpak wykonywał jeden płynny ruch. Przesuwał się od razu w trzech płaszczyznach — naprzód, w górę, w bok. Maszynista jednocześnie obracał koparkę i podciągał liny. Czerpak zajmował położenie pionowe, długie zęby jego dotknąwszy ziemi pogrążały się w niej. Czerpak zaczynał pożerać glinę. Oto napotkał po drodze olbrzymią górę. Jednym ruchem dźwigni maszynista podchwytywał ją zręcznie i po sekundzie 25 ton ziemi wypełniało czerpak po brzegi. Nazywało się to— „czerpak z przylepką“. Naprężały się natychmiast liny i łańcuchy, czerpak odrywał się od ziemi i płynął w prawo ze wzrastającą szybkością, opisywał w powietrzu szeroką spiralę i wywracał się nad hałdą. W pewnych i spokojnych ruchach maszynisty, w szybkim pędzie czerpaka, w płynnych obrotach ramienia — we wszystkim była niezwykła lekkość, wdzięk nawet — chociaż mowa tu o ruchach tysiąctonowego kolosa. Zdawałoby się, że wszystko to przyszło samo przez się, że koparka pracowała tak od początku. Ale ta naturalność i swoboda ruchów okupiona została długimi miesiącami żmudnych dociekań, kiedy każdy najmniejszy ruch ręki lub nogi trzeba było udoskonalać tygodniami, wkładając w to więcej energii twórczej, niż wysiłku fizycznego.

Gdy skrócono drogę czerpaka, czas trwania cyklu zredukował się o jedną trzecią prawie. W przeliczeniu na wydajność zmiany oznaczało to ponad 200 dodatkowych czerpaków. Potem rozegrano bitwę o rytmikę pracy według harmonogramu godzinowego. To osobna historia niepowodzeń, sporów, zaciętego współzawodnictwa i triumfu nowej myśli. Wynik? 732 czerpaki na jedną zmianę. A tak niedawno jeszcze uważali maszyniści, że z koparki nie da się „wycisnąć“ więcej niż 650.

PRECZ Z ŁOPATĄ!

Do wielkiej koparki przyjeżdża mnóstwo gości.

Akademik, wracający z uzdrowiska, nakłada drogi i zajeżdża swoją „Pobiedą“ na dział wodny. Studenci, odbywający praktykę w sąsiednim obwodzie, przyjeżdżają tu z kołchoźnikami. Przybywają tokarze z Moskwy. Artyści-malarze rozstawili sztalugi dokoła olbrzyma i szkicują pejzaż przemysłowy. Kinooperatorzy wgramolili się na hałdy i wycelowali obiektyw kamery na koparkę. Uczniowie i dziennikarze, ludzie nauki i kompozytorzy, konstruktorzy i poeci — dziesiątki i setki ludzi patrzyły z podziwem, jak koparka unosiła się całym cielskiem, opierając się na dwóch nartach, przewalała się w przód, osiadała na ziemi, potem podnosiła narty i przenosiła je do przodu, szykując się do następnego kroku.

Przyjechała ciężarówką brygada artystów. Koparka stała z powodu drobnego remontu i zmiana Mitroszina radośnie powitała gości. Wymyto nartę i artyści wchodzili na nią kolejno — śpiewali piosenki, recytowali wiersze. Do Mitroszina podszedł spawacz i zameldował, że uszkodzenie jest już naprawione. Kierownik udał się do kabiny. Artystka śpiewała „Jaki byłeś, taki pozostałeś“ — ulubioną pieśń Mitroszina, ale on nie mógł pozwolić sobie na wysłuchanie piosenki do końca: każda zwrotka „kosztowała“ dwadzieścia metrów gruntu. Włączył silnik i głos artystki utonął w huku motorów. Artyści nie obrazili się, teraz oni gotowi byli bić brawo, patrząc jak koparka szybko wyrzuca góry ziemi.

Przyjechał stary profesor z siwą bródką. Plechanow gościnnie oprowadzał go po koparce, odpowiadał na pytania. Okazało się, że profesor pisze pracę o przyrządach do kopania ziemi.

— A co to za przyrządy? — spytał Plechanow.

— Zaliczamy do nich łopatę, łom, kilof, motykę, szuflę z trzonkiem i inne — wyjaśnił profesor.

— Ciekawe — powiedział Plechanow, powstrzymując uśmiech. — A co wiadomo na przykład o łopacie?

— O, bardzo dużo. Teoria łopaty obejmuje szeroki wachlarz zagadnień: różne rodzaje tego przyrządu, urządzenie i części składowe łopaty, ładowanie przy jej pomocy ziemi na taczki, jej sprawność dynamiczna...

— Przepraszam, że przerywam, profesorze. Czy nie mógłby mi pan wyjaśnić, od czego zależy sprawność dynamiczna łopaty?

— Chętnie — odrzekł profesor. — Zależy ona od długości trzonka, od powierzchni szufli i od stanu części tnącej. Stosunek wzajemny tych elementów da nam żądaną formułę.

— Ciekawe, ogromnie ciekawe...

Plechanow odprowadził profesora do jego „Moskwicza“, a potem, zadowolony, że dowiedział się tyle nowego o przyrządach do kopania ziemi, pobiegł do towarzyszy podzielić się z nimi nowinami. Przechodząc obok narty potknął się o leżącą w śniegu łopatę. Ze złością odepchnął ją nogą. Zza karoserii ukazał się czerpak, leżący na dnie przodka. Dwaj ludzie czyścili go łopatami. Przypomniawszy sobie o czymś, Plechanow odwrócił się i spojrzał w stronę osiedla. Przez pole przeciągano nową linię elektryczną, wzdłuż której koparka miała kroczyć na nowy odcinek. Na polu widać było grupki robotników, kopiących łopatami jamy na słupy.

Plechanow pomyślał, że należy chyba poczekać z opowiadaniem kolegom o profesorze-dziwaku.

Tak, stara, wysłużona łopata niechętnie schodzi z areny budowlanej, na której królowała przez tysiąclecia. Czepia się jeszcze każdej jamki, rowka, bruzdy, ciesząc się jak gdyby, że dzięki niej są jeszcze ręce spracowane i zgrubiałe. Prace ziemne przy budowie kanału Wołga—Don są zmechanizowane w 98 proc. Lecz pozostałe 2 proc. stanowią milion z górą metrów sześciennych ziemi, którą trzeba wykopać łopatami. I konstruktorzy radzieccy pracują już nad maszynami, które będą wykonywały wszelkie pomocnicze roboty ziemne i zupełnie wyrugują łopatę. Pierwsze koparki rowów i jam przybywają już na odsiecz robotnikom.

*

Inżynier Satowski nie jest zadowolony z siebie. Ma to zresztą we krwi. Wziąć chociażby koparkę kroczącą. Wykonanie pierwszej maszyny trwało rok, teraz zakłady co cztery miesiące wypuszczają koparkę. Zrobiono ich już setki, a Satowski wciąż i niezmordowanie dokonuje w nich ulepszeń, zrobił już czerpak 18-metrowy, a marzy o 100-metrowym i dlatego uważa, że nie ma prawa zachwycać się tym, czego już dokonał. Jakiż ogrom pracy go czeka! Przekształcanie przyrody dopiero się przecież rozpoczyna. Inżynierowie radzieccy pracują obecnie nad projektem skierowania Irtyszu, Obi i Jeniseju w pustynne obszary Azji Środkowej. Spiętrzone wody tych rzek utworzą morze Zachodnio-Syberyjskie, równe wielkością Morzu Kaspijskiemu, a droga wodna od Syberii do nizin przykaspijskich rozciągnie się na tysiące kilometrów. Ta przyszła gigantyczna budowla tkwi korzeniami w Wołgo-Donie. Tu powstała armia mistrzów budownictwa, tu szukali ludzie najdoskonalszych metod pracy, tu nagromadzono skarby doświadczeń, tu wreszcie zdała swój egzamin i doskonaliła się królowa maszyn — krocząca koparka, która musi wzrastać w moc i siłę, by sprostać czekającym ją zadaniom.

Opracowała **Rozalia Lasotowa**

Stalingrad był zmierzchem niemieckiej armii faszystowskiej.
J. Stalin

WIELKIE ZWYCIĘSTWO POD STALINGRADEM

Stron 286

Książka mówi o tym, jak Armia Radziecka wprowadzając w czyn genialny plan strategiczny Wodza Naczelnego, Generalissimusa Stalina, rozgromiła u bram Stalingradu potężną armię hitlerowską. Książka oddaje wiernie heroiczną walkę żołnierza i bohaterski wysiłek ludności, która żyła jedną myślą: „Pomoc Stalingradowi“. Książka pokazuje wyższość systemu socjalistycznego nad kapitalizmem i nieuniknioną klęskę imperialistycznych agresorów.

Nakładem Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej
K 4764 1

SPROSTOWANIE

W nr 26 (118) „Nowej Kultury“ w artykule „O przekładach książek dla dzieci i młodzieży“ — do streszczenia referatu M. Kowalewskiej „Realia, terminy naukowe i przypisy w przekładach dla dzieci i młodzieży“ wkradł się błąd korektorski. W zdaniu „...wiklina staje się trawą-wikliną“, zamiast „trawą-wikliną“ — powinno być „trawą-wykliną“.

JACEK FRUHLING

Sztuka społeczna czy komedia obyczajowa

Kiedy w październiku roku ubiegłego w sekcji dramatu Związku Literatów Polskich toczyła się dyskusja nad sztuką Haliny Auderskiej o nie ustalonym jeszcze tytule, J. Pomianowski zwrócił uwagę, iż utwór ten, usiłujący ukazać potworności pańszczyzny na odcinku zbiegostwa, ma przede wszystkim charakter wychowawczo-ilustracyjny, w okresie bowiem, jaki przeżywamy, nie ma u nas „zamówienia społecznego" na tępienie pozostałości feudalizmu. Nie wchodząc w to, czy pogląd powyższy jest słuszny czy nie, trzeba stwierdzić na podstawie lubelskiej prapremiery sztuki Auderskiej, że w tej sztuce — wbrew pozorom — zagadnienie feudalizmu i sprawa chłopska są jedynie punktem zaczepienia, pewnego rodzaju pretekstem dla jeszcze jednej odmiany komedii obyczajowej, obracającej się dookoła trzeciorzędnych reprezentantów szlachetczyzny z końca XVIII w.

Sytuacja wygląda mniej więcej tak: podstoli Oborski, pan na majątku Leśnowola, pozostaje w ustawicznych sporach i zatargach ze stolnikiem sękocińskim — Steckim. Jednym z głównych źródeł tych sporów i zatargów jest to, że podstoli w swojej arcytępocie dochodzącej do granic patologii, uważa siebie za „dobrego pana", za opiekuna swojej czeladki, za człowieka postępu, podczas, gdy stolnik, tak samo jak podstoli traktujący chłopów tylko i wyłącznie jako towar,

„Zbiegowie" Haliny Auderskiej na scenie Teatru im. Osterwy w Lublinie. Para młodych (Stefańska i Jankowiak).

nawet sobie trudu nie zadaje, by wzorem imć pana Oborskiego zgrywać się na zwolennika postępu i reform. W pewnym momencie podstoli dla dokuczenia swemu adwersarzowi, dla spłatania mu złośliwego figla czy psikusa, postanawia uprowadzić mu trójkę chłopów. Stanie się to w ten sposób, że trójka za namową ludzi podstolego zbiegnie z Sękocina wraz z pańskim dobytkiem i inwentarzem. Kiedy w związku z tym zbiegostwem powstaną dla podstolego jakiekolwiek komplikacje czy trudności, „dobry pan" wyda zbiegów ich „prawowitemu" właścicielowi bez cienia skrupułów. Chcąc podkreślić aspekt społeczny tej nikczemnej manipulacji ze zbiegami — Auderska jako jeden z motywów tego kroku podaje potrzebę trzech par rąk roboczych. Motyw ten nie jest przekonywający przede wszystkim ze względu na typ i styl życia podstolego, daleki od biedy czy choćby kłopotów materialnych. Sprawa o charakterze rzekomo społecznym, ogólniejszym, staje się więc sprawą czysto osobistą, rozgrywającą się między dwoma szlachetkami.

Dla podtrzymania mitu aspektu społecznego swego utworu Auderska poświęca cały II akt zetknięciu się podstolego z jego czeladzią. Następuje ono z okazji ofiarowania przez imć pana Oborskiego pięknego stylowego stołu palisandrowego służbie kuchennej, co u czeladzi spotyka się z pogardą i lekceważeniem. Reakcja ta, najzupełniej słuszna i naturalna, pozbawiona została ostrza społecznego, gdy ofiarowanie służbie ozdobnego stołu i wygłoszenie przy tej okazji przez ofiarodawcę pompatycznego przemówienia wywołuje w widzu wrażenie, że ofiarodawca jest człowiekiem pomylonym albo mającym co najmniej tęgiego fioła.

Choć w sztuce mówi się dużo o krzywdach chłopskich — Auderska ukazuje chłopów jedynie w fragmentarycznym, filmowym, nic nie mówiącym skrócie (jedna ze scen aktu drugiego). Jak wynika z własnych słów Auderskiej (wywiad przedpremierowy w „Życiu Lubelskim") stało się to dlatego, ponieważ zdaniem Auderskiej chłop owego okresu był niemal wyłącznie obiektem, towarem, siłą roboczą i wskutek tego musiał pozostawać niemy. To niemal zupełne pominięcie przez autorkę „Zbiegów" sprawy oporu chłopów pańszczyźnianych (końcowe słowa pańszczyźnianej chłopki Nastki, zapowiadające walkę, mają charakter czysto deklaratywny, tak samo jak organizowanie oporu przez byłego chłopa pańszczyźnianego Bicza) zuboża, a nawet do pewnego stopnia zniekształca obraz historyczny epoki. Opór taki bowiem, mający swoje tradycje choćby w buncie Napierskiego, istniał przy końcu wieku XVIII-ego na skalę stosunkowo wielką i nie poprzestawał tylko na „wykoczowywaniu". Jak stwierdził zjazd historyków, który obradował w Kielcach w początkach czerwca roku bieżącego, był to opór czynny i bierny, indywidualny i zbiorowy, spontaniczny i zorganizowany. Opór będący żywym zaprzeczeniem legendy, która w imię interesów klasowych warstwy szlacheckiej stwarzała sugestie, jakoby chłop polski nigdy się nie buntował. Potraktowanie tej buntowniczej postawy chłopstwa niejako na marginesie spowodowało, że sztuka, przynajmniej formalnie obracająca się dookoła sprawy tak zasadniczej jak stosunek człowieka do człowieka, do masy ludzkiej, pozbawiona jest pasji, żaru i namiętności, choć tyle się w niej mówi o krzywdzie ludzkiej i poniewierce.

Mamy tedy do czynienia z typową komedią obyczajową, ukazującą gnicie i rozkład warstwy szlacheckiej, głuchej na przestrogi Stasziców i Kołłątajów, pogrążonej w mrokach najstraszliwszej ciemnoty i najpotworniejszego sobkostwa. Auderska podchodzi do tego świata z tą dozą satyry, humoru i ironii, która sprawia, że akt III, nieco Fredrowski w stylu i charakterze, budzi żywy oddźwięk. Poszczególne postacie świata czy światka szlacheckiego są wprawdzie mniej lub więcej udałymi wariantami figur aż zbyt dobrze znanych (zwłaszcza histeryczna Telimena dla ubogich — Cześnikowa), a pewne sytuacje zbyt zalatują farsą (masowanie karku cześnikowej przez olśnionego nią stolnika), ale dialog toczy się wartko, gryząca ironia trafia w sedno, figury — zwłaszcza drugoplanowe — zarysowane są plastycznie. Ten akt III daje podstawy do przypuszczenia, że Auderska potrafi dać teatrowi naszemu niejeden utwór wartościowy.

Sztuka otrzymała w teatrze lubelskim piękną, bogatą i gustowną oprawę dekoracyjną (scenograf Toroczyk), piękne, bogate, barwne kostiumy (kierownik pracowni krawieckiej Michońska). Reżyser Moryciński zachował pieczołowicie tekst utworu, uniknął wyjaskrawień w kierunku groteski, starał się o to, by każda postać miała swoją prawdę. Trafnie zarysował sylwetkę podstolego Rygier, nienajgorzej poradził sobie z rolą jego adwersarza stolnika — Gołębiowski, dyskretnie i z umiarem zagrał byłego chłopa pańszczyźnianego Chmielarczyk. Bardzo prawdziwy był i ujmujący jako stary sługa — Grabowski. Może najlepsza postać w sztuce to kucharz, mądrala i spryciarz, doskonale się orientujący w małości i nikczemności podstolich i stolników. Grający go Łoza utrafił we właściwy ton, choć chwilami brakowało mu tej pełni wyrazu, którą w rolach tego typu osiąga Kurnakowicz. Prosto, ciepło zarysowali parę młodych, rwących się do lepszego, sprawiedliwszego świata — Stefańska i Jankowiak. Skwierczyńska, doskonała w rolach mieszczańskich kretynek, niezbyt dobrze się czuła w skórze cześnikowej, nadużywając chwytów zbyt już farsowych.

Na ogół pietyzm i zapał, z jakim scena lubelska odniosła się

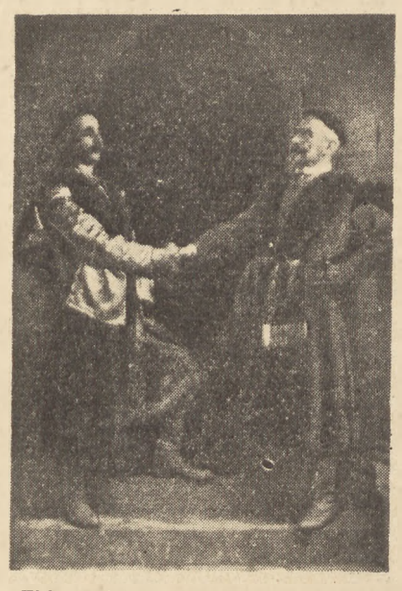

„Zbiegowie" Haliny Auderskiej na scenie Teatru im. Osterwy w Lublinie. Stolnik (Gołębiowski) i Podstoli (Rygier)

do prapremiery, jest nie tylko dowodem ambicji tego teatru, ale i rzetelnego stosunku do naszej współczesnej twórczości dramatycznej.

Jacek Frühling

Zbiegowie — sztuka w 4 aktach, Państwowy Teatr im. Osterwy w Lublinie. Prapremiera w dniu 14 czerwca 1952.

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

W klimacie Wielkiego Października

Sztuka Leonida Rachmanowa „Niespokojna starość" należy do wybitnych pozycji dramaturgii radzieckiej. Forma literacka i teatralna tego utworu — związanego tematycznie z Wielkim Październikiem — odbiega jednak od linii głośnych rewolucyjnych dramatów heroicznych, linii prowadzącej od „Sztormu" i „Lubow Jarowaja" do „Niezapomnianego roku 1919" i „Człowieka z karabinem". „Niespokojna starość" jest sztuką bardziej kameralną, ogniskuje się wokół jednego wybranego zagadnienia. Tym niemniej oddycha tą samą atmosfera.

Dramaturgia rewolucyjna słusznie została nazwana teatrem wielkich konfliktów. Sztuka Rachmanowa tkwi w tej dramaturgii, choć konflikt pokazany jest tutaj w innych ramach. Los bohatera utworu, profesora Poleżajewa, los osobisty i społeczny powiązany jest nierozerwalnie z ogromnymi przemianami Października. Ten starzec — znakomity uczony i uczciwy człowiek, protestujący dotąd biernie przeciw niesprawiedliwościom caratu — wyrasta w dniach przełomu na świadomego i zdecydowanego bojownika.

Jego historia łączy się z zagadnieniem stosunku inteligencji do nadciągających przemian społecznych. Problem ten roztrząsany był od dawna w dramacie rosyjskim; wystarczy przypomnieć chociażby Czechowa i Gorkiego. „Niespokojna starość" ogranicza się do pogłębienia trzech typowych postaw. Docent Worobiew jest liberałem zatrutym kosmopolityzmem, który tchórzy przed rewolucją i stacza się ostatecznie na pozycje wrogie ludowi i wrogie prawdziwej nauce. Przeciwieństwem Worobiewa jest Boczarow — intelektualista, uzdolniony naukowiec, ale zarazem zdecydowany już człowiek rewolucji. Człowiek, którego światopogląd naukowy kształtuje się w myśl zasad marksizmu i leninizmu. Jest on przedstawicielem nowej, rodzącej się inteligencji radzieckiej. Centralną figurą utworu jest profesor Poleżajew. Postać ta miała, nawiasem mówiąc, swój pierwowzór w rzeczywistych wypadkach, związanych z wielkim nowatorem nauki, Timiriazewem. „Niespokojna starość" należy więc do serii sztuk profesorskich, znanej z twórczości Afinogenowa, Jacobsona, Simonowa, Sztejna i innych. Obfitość tego typu utworów pokazuje najlepiej, jak żywym zainteresowaniem obdarza widz radziecki

„Niespokojna Starość" Leonida Rachmanowa na scenie Teatru Powszechnego w Warszawie. Scena zbiorowa.

środowisko intelektualne. Profesor Poleżajew, biorąc już czynny udział w walce politycznej, powiada w pewnej partii sztuki: „to najważniejsze — książki i ludzie". W tym sformułowaniu zamyka się coś istotnego i porywającego z humanistycznego sensu Rewolucji, z jej kulturotwórczej roli. Przypomnieć warto w tym miejscu słowa Lenina: „nigdzie się tak nie interesują prawdziwą kulturą jak u nas; nigdzie zagadnienia tej kultury nie są ujmowane tak głęboko i tak konsekwentnie, jak u nas; zrewolucjonizowana klasa robotnicza jest gotowa do ponoszenia ofiar i ponosi ofiary w celu poprawienia swego stanu w dziedzinie kultury".

Przez „Niespokojną starość" przewija się jeszcze jeden ciekawy motyw. Jest nim nieoczekiwana przyjaźń dwu prawdziwych i wcale nie przypadkowo spotykających się mężczyzn: profesora Poleżajewa i marynarza Kuprianowa. Ludzie ci, tak różni sobie wykształceniem, sposobem życia, doświadczeniami — potrafią się porozumieć i odnaleźć silne więzy. Łączy ich bowiem najistotniejsze: głęboka uczciwość wewnętrzna, potrzeba sprawiedliwości, gotowość do walki o lepszy los człowieka.

Sztuka nie jest pozbawiona pewnych mankamentów literackich: zdarzają się dłużyzny sytuacyjne, łatwizny niektórych szwów kompozycyjnych (zdemaskowanie tajemniczego „Gulasza"), niekiedy powtarzania sytuacji. Braki te bledną jednak wobec prawdy i dynamizmu naczelnego konfliktu. A także wobec innych jeszcze walorów artystycznych. Myślę tu o ciepłym liryzmie stosunku bohatera do żony — o niebanalnie przeprowadzonej historii wiernej i ufnej miłości dwojga starych ludzi, gotowych znaleźć się razem w każdych najtrudniejszych okolicznościach. Na podkreślenie zasługuje w końcu humor sztuki, wydobyty w inteligentnym, pogodnym, filozofującym dowcipie profesora, że wspomnę chociażby jego kapitalną przemowę z Cambridge.

„Niespokojna starość" była jedną z pierwszych sztuk radzieckich wystawionych u nas po wojnie. Jej prapremiera odbyła się w roku 1945 w Łodzi z Aleksandrem Zelwerowiczem w roli głównej. W kronikach wychodzącego wówczas czasopisma „Teatr" zanotowano ją pod tytułem „Starość musi się wyszumieć" (sic!). Następnie grana była w Olsztynie. W ostatnim okresie ukazała się na scenie teatru krakowskiego (w reżyserii Władysława Krzemińskiego), teatru poznańskiego (w reżyserii Adama Hanuszkiewicza), wreszcie Teatru Powszechnego w Warszawie.

Reżyseria Karola Borowskiego trafnie uwypukliła tu główny nurt utworu, podporządkowując główne elementy postaci Poleżajewa i dziejom jego wiązania się z Rewolucją. Z dużą starannością wypunktowano poszczególne sytuacje, z których najwięcej wyrazu miały: moment rewizji, przybycie Boczarowa w 3-im akcie i zakończenie sztuki. Scenografii Kazimierza Pręczkowskiego udało się na materiale jednego wne-

UWAGI O KRYTERIACH POEZJI

(Dokończenie ze str. 4-tej)

Obraz trafny — to znaczy siła konkretności i siła uogólnienia. Obraz trafny opiera się na doświadczeniu przeszłości i równocześnie coś do niego dodaje.

Oryginalność jest cechą trafności. Pisać rzeczy trafne a oryginalne — oto jest sztuka. Pojęcie oryginalności było znane również Mickiewiczowi, ale Mickiewicz inaczej to rozumiał niż schyłkowa kultura burżuazyjna, która pozbawiła poezję kryteriów ideowych i poznawczych, oderwała pojęcie oryginalności i zrobiła z tego samoistną wartość. Tak powstało formalistyczne pojęcie oryginalności. To pojęcie pokutuje w naszym środowisku, w naszej krytyce i wywiera fatalny wpływ na nowe talenty.

Podam krańcowy przykład, krańcowy, ale typowy. Krytyk wybiera z utworu młodego poety rażące wypryski tej fałszywej, sztucznej oryginalności. Jeżeli je wytknie, to niektórzy zawołają: nie niszczcie młodych talentów! Niesłusznie, bo tylko tak można pomóc prawdziwemu talentowi. Ale krytyk nie wytyka — on je zachwala. Powiada, że odkrywczą metaforą jest zdanie: „Żeby liczby sześcioletniego nieść pod sercem, hodować w mięśniach". Mnie to raczej przypomina eksperymenty z instytutu bakteriologicznego. Albo: „Czujniej, towarzysze, czujniej dotrzymujemy epoce kroku i pod skórą legitymacji trzeba umieć wymacać wrogów". Ten nieskoordynowany zlepek haseł z dziwaczną metaforą krytyk zachwala jako typowy i zarazem symboliczny. Otóż poeta, o którym mowa, obecnie nabył już takiej świadomości artystycznej, że więcej się na takie pochwały nabrać nie da, ale co zrobić z młodym krytkiem? Nie jest to wcale sprawa personalna.

Istnieją u nas elementy fałszywej, pretensjonalnej poetyki, która wyrządza ogromne szkody sprawie realizmu. Tylko ślepi mogą tego nie widzieć.

Wydaje się u nas antologie. Antologia to nie tom debiutanta w niedużej ilości egzemplarzy. Antologia to wybór utworów wartościowych. Rzecz jasna, że mogą być wiersze lepsze i gorsze, wybitne i blade, ale w antologiach obok tych wierszy normalnych raz po raz zjawia się wolapik.

Nie przypuszczam, aby redaktorzy, czy pracownicy naszych wydawnictw drukowali to z lekkim sercem, ale ta poetyka była tak agresywna, że musieli ustępować. Raz coś tam zakwestionowano w wierszu Andrzeja Brauna i ten ogłosił artykuł, w którym wszystkich pracowników wszystkich wydawnictw w czambuł potępił: uznał za niekompetentnych. Bynajmniej nie mam zamiaru zwalczać Andrzeja Brauna, który stał się głównym ogniwem w tej smutnej sprawie, głównym rozsadnikiem tej poetyki. Przeciwnie, chciałbym obronić Brauna przed Braunem.

Kto z dobrą wolą przyjrzy się wierszom Brauna, ten znajdzie kilka utworów pisanych normalnie, kilka liryków politycznych, może jeszcze nie przejaśnionych stylistycznie, ale świadczących o wrażliwości artystycznej. Nawet w najbardziej zagmatwanych utworach można znaleźć taką oto strofę zakończoną trafnym obrazem poetyckim, trafną refleksją:

„W progach domów drzemały matki,
a szczególnie w pamięć mi zapadł
Widok dzieci na piaskownicach i niemowląt karmionych na przyzbie.
Dziewczynka, jak z cynamonu, niosła
w płachcie młodszego brata,
Cyganięta, dzieci bezdomne, osiedliły
się w socjalizmie".

W tym samym utworze, tuż obok, znajdziemy jakiś dziwaczny czterowiersz, mimowolną karykaturę naszych zagadnień:

„Surowy był kolektyw. Zakwitała
czerwienią Zosia
i dojrzewała szybciej, podobna polnej
różyczce.
To w własnym mieście kipiała
dyskusja głośna
o moralności socjalistycznej"

Napisawszy ten czterowiersz, autor w ogóle nie wraca do tej sprawy. Sytuacja trochę żenująca, ale po prostu autor nie wie, co zrobić z tym tematem.

Po przeczytaniu wszystkich wierszy Brauna dochodzę do przekonania, że autor ma szczerą ochotę wgryźć się w konkretne zagadnienia budowy socjalizmu, ale nie wie, jak do tego podejść artystycznie. Chcąc osiągnąć sugestywność wypowiedzi, wykręca normalna mowę, wymyśla sztuczne zwroty, gromadzi chimeryczne metafory, wpada w jakąś nieludzką mowę, w niezrozumiały wolapik.

Wiadomo, że świat rzeczy martwych łatwiej się tym operacjom poddaje. Człowiek i jego działalność, w tym wypadku działalność produkcyjna, stawia o wiele większy opór. Wtedy nie rodzą się już chimeryczne metafory, ale powstaje faktografia — egzaltowana, rozjątrzona — niestety, artystycznie bezsilna.

W konsekwencji niektóre wiersze Brauna stają się nieczytelne. Nie zdając sobie sprawy z tej fałszywej poetyki, poeta marnuje swoje siły, swoje szczere dążenia do rangi poety socjalistycznego. Pocieszające jest jednak to, że pod naciskiem świadomości ideowej wykluwają się strofy i całe utwory pisane czytelnym językiem. Cóż tu można poradzić? Trzeba sobie życzyć, aby i ten drugi Braun, piszący czytelnie, popróbował swoich sił w tematyce budowy socjalizmu, natomiast faktografia ozdobiona fałszywą poetyką, metaforycznym wolapikiem, dopóki znajduje poparcie, choćby tylko mimowolne, u życzliwych krytyków, dopóty wywiera wpływ na innych młodych poetów i zniechęca czytelnika do tematyki współczesnej w poezji.

Z całą ostrością trzeba zwalczać formalistyczną recepcję wielkiej poezji Majakowskiego, tę recepcję, która nie dostrzega ewolucji Majakowskiego ani jego pracy nad kompozycją utworu w zależności od treści, ani pracy nad przeprowadzeniem procesu myślowo - uczuciowego przez utwór, a tylko formalistycznie podchwytuje poszczególne zwroty, obrazy, przenosi je ni w pięć ni w dziewięć do innego kontekstu. Trzeba pomóc tym poetom, którzy w mniejszym lub większym stopniu podlegali błędnym koncepcjom, aby się z nich otrząsnęli.

Użyłem tu określenia: faktografia. Mam na myśli fakty w stanie surowej dokumentacji. Z tej surowej dokumentacji ad oculos, z obserwowanych zjawisk — poeta wybiera to co gwarantuje mu siłę uogólnienia. Jeżeli ktoś nie dokonuje tego wyboru, nie stara się wyzwolić z tematu siły uogólnienia, a poprzestaje na surowej dokumentacji, starając się ją rozjątrzyć, rozegzaltować, przyozdobić w chimeryczne grymasy, to znaczy, że wybrał drogę niesłuszną, nierealistyczną. Trzeba go z tej drogi sprowadzić.

Poetyka wyrasta z ideologii i spełnia funkcje ideologiczne. Czy poeta szczerze i gorąco wyznający idee budowy socjalizmu, najbardziej postępowe idee naszej epoki, może poddawać się błędnej poetyce? Oczywiście, że może, dopóki nie zdaje sobie sprawy z jej funkcji ideologicznej. Błędna poetyka sygnalizuje czytelnikom jakieś mankamenty ideologiczne, których określić nie potrafimy i wcale nie mamy potrzeby określać. Zwalczając błędną poetykę, dopomagamy poecie do pełniejszego rozbudowania swojej świadomości ideologicznej. Możemy się domyślać, że te mankamenty dotyczą humanistycznej strony jego ideologii, że ta poetyka odbiera poecie możliwość rozmaitych tonacji, o których mówiłem, ogranicza i wypacza jego humanizm, jego dążenia realistyczne.

O błędnej poetyce możemy mówić, kiedy mamy bardzo wyraźne dowody bezsilności artystycznej. Jeżeli zaczniemy tropić każdą metaforę z oddzielna, każdy obraz, każdy zwrot i wołać, że to jest realizm, a to nie jest realizm, to zagubimy sprawę i będzie to dzień tryumfu scholastyki.

Nie ma recepty na poezję. Wszelkie recepty prowadzą do nieporozumień. Nie ma abstrakcyjnej nauki o artyzmie, o środkach artystycznych, ponieważ zawsze idzie o konkretne ich zastosowanie. Sens ich zmienia się w zależności od treści. Umiejętny dobór tradycji, umiejętne wyciąganie z niej wniosków teoretycznych daje nam tylko ogólną dyrektywę. Zdobycie pełniejszej wiedzy przejawia się w zdobyciu kultury poetyckiej. Jest to wiedza praktyczna, umiejętność, którą poeta musi zdobyć nieustanną pracą nad sobą, stroniąc od powierzchownej ogłady, od bezdusznego rzemiosła. Bez intensywnego widzenia i odczuwania, bez żywej obserwacji i samodzielnej zdolności do uogólniania, każda kultura poetycka zmienia się w martwy estetyczny schemat. Dusza poety staje się podobna do drugiego żołądka krowy, do tego żołądka, który przeżuwa przeżute. Sadzę, że nie o taką kulturę walczymy.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że w naszej epoce, w naszej poezji lirycznej wysuwamy na czoło tematykę polityczną i tematykę budownictwa socjalistycznego. Formujący się naród socjalistyczny ma przy tym prawo do obejmowania swą kulturą wszystkich dziedzin życia człowieka, także więc życia miłosnego i rodzinnego.

W związku z tym zaczyna się mówić teoretycznie o liryce „osobistej". Biorę to określenie w cudzysłów, bowiem widzę duże niebezpieczeństwo wynikające z samego określenia. Społeczeństwo kapitalistyczne wprowadziło rozgraniczenie życia na sferę polityczno - społeczną i prywatną, osobistą. Nastąpiła w kulturze całkowita separacja tych dwóch sfer. Obawiam się, aby wraz z określeniem liryka „osobista" nie wytworzyła się separacja ideologiczna tych dwóch sfer, naturalistyczne traktowanie liryki miłosnej, czy innej.

Mógłby kto zapytać, czemu poeta nie ma uwzględniać nieszczęśliwej miłości, skoro jest to zjawisko dość częste, zwłaszcza w młodym wieku. Skoro wyodrębniamy sferę osobistą, to częstotliwość statystyczna może się stać miernikiem typowości uczuć. Uczucia miłosne mają charakter prywatny, ale poezja ma charakter ideologiczny. Ideologia zawsze wyznaczała typ przeżycia miłosnego w liryce, dobór motywów miłosnych. Burżuazja odcięła sferę osobistą, ale właśnie w liryce miłosnej, u schyłku kultury burżuazyjnej, najgwałtowniej rozwijały się wszelkie mity biologiczne, mistycyzmy, nastrojowości, stylizacje, szalały egocentryczne i subiektywistyczne grymasy. A równocześnie na odcinku liryki miłosnej najuporczywiej utrzymuje się w naszym środowisku literackim świadoma, albo nieświadoma teoria „jednolitego potoku". Można na to dostarczyć wiele dowodów. I zacznie lać się na nas potok z młodopolskiej rynny, a wczorajsi odkrywcy nieistniejącej epiki zaczną wołać: Nareszcie liryka socjalistyczna!

Uczucia człowieka socjalizmu są inne niż u dawnych ludzi, ale są to przecież uczucia powszechne, ludowe i powinny mieć odpowiedni wyraz. W liryce tzw. „sfery uczuć prywatnych" mamy wielowiekowe piękne doświadczenia. Licząc wstecz, mamy lirykę miłosną romantyków, pewien wyselekcjonowany zasób liryki sentymentalizmu, lirykę renesansową Kochanowskiego. Mimo wielkiej odległości w czasie i odległości cywilizacyjnej tradycja liryki Kochanowskiego może nam dać niejedną dyrektywę. Właśnie na nią, a nie na lirykę późniejszą, powinniśmy zwrócić spojrzenie, na jej ludową konkretyzację uczuć, na jej stosunek do przyrody, na realistyczną obserwację, ścisłą a nie gubiącą się w szczegółach przypadkowych, na zawartą w niej siłę uogólnienia, na prostotę i trafność wypowiedzi. Dobrze rozumiany Kochanowski jest dla nas wielką szkołą realizmu w liryce. Ale nie można dobrze rozumieć Kochanowskiego i cenić go naprawdę, dopóki ceni się lirykę antyrealistyczną, czy to młodopolską, czy jakąś parnasistowską.

Niedawno czytałem wiersz miłosny dzisiejszego poety, który mówi do ukochanej o swojej gotowości obrony kraju. Był to wzruszający wiersz patriotyczny. Ale jest jeszcze druga strona tego powszechnego uczucia. Tę stronę znalazłem w wierszu pisanym czterysta lat temu. Czterysta lat temu był to tylko pewien odcień uczucia, który dziś dopiero nabiera socjalistycznej typowości. Jest w nich to „mięso" poetyckie, ta plastyka uczuć i ludowego wysłowienia, które przemawia do narodu mimo odległości języka i odległości cywilizacyjnej. Dziewczyna mówi do chłopca:

„Bodaj wszystkich mąk skosztował,
Kto naprzód wojsko szykował
I wynalazł swoją głową
Strzelbę srogą, piorunową.

Przynajmniej, by mi w potrzebie
Wolno stanąć wedla ciebie,
Przywykłabych i ja zbroi.
Bodaj przepadł, kto się boi".

Te stare strofy wyrażają uczucia nowej młodzieży. Nie można naśladować Kochanowskiego, bo byłoby to niesłychanie śmieszne, ale jest czego się uczyć.

Adam Ważyk

trza bardzo plastycznie pokazać zmieniające się warunki bytowania ludzkiego w gorących dniach historii.

Sztuka Rachmanowa operuje niewielką ilością szerzej zarysowanych postaci. W każdej z inscenizacji inne z nich pokazane były najtrafniej. Na czoło przedstawienia krakowskiego wysunęła się Maria Gella, grająca z dużą soczystością aktorską — żonę, akcentująca przede wszystkim solidarność z mężem, nie ustępująca Profesorowi w procesie rozwoju świadomości politycznej. W Poznaniu najwięcej ekspresji miała scena zerwania Poleżajewa z Worobiewem. Zdzisław Salaburski świetnie rozszyfrował tego ostatniego, dał sugestywną sylwetkę staczającego się człowieka, był fascynującym bohaterem negatywnym bez sztampowych cech czarnego charakteru.

W Teatrze Powszechnym rolę żony przekonywająco przeprowadziła Eugenia Podborówna. Norbert Nader niepotrzebnie przehisteryzował Worobiewa, pozbawiając postać cech typowości. Wyróżnił się Tadeusz Bartosik, szlachetnie i prosto grający Boczarowa, był ujmujący i rosyjski. Dodać jednak trzeba tu jeden zarzut; bardziej wierzyło się w niego jako rewolucjonistę, niż jako naukowca. Efektownie, ale płytko zagrał Kuprianowa Mieczysław Serwiński, akcentując charakterystyczność i rubaszność Marynarza, ale nie wydobywając dostatecznie postaci bojownika rewolucji. W epizodzie Dozorcy wystąpił zasłużony aktor sceny warszawskiej Józef Zejdowski.

Prawdziwym wydarzeniem artystycznym stała się w omawianym przedstawieniu kreacja Wojciecha Brydzińskiego. Grał Poleżajewa. Pominę już świetną robotę aktorską w prowadzeniu linii postaci, w znakomitym pointowaniu aktów. To była rzeczywiście postać „najwyższa rangą" na scenie. Profesor miał swoje ciekawe życie intelektualne, był prawdziwy zarówno w typie uczonego, jak i w drobnych szczegółach i reakcjach fizycznych (ruch, jakim przytula do piersi swoją książkę), w sposobie dowcipkowania i w momentach dramatycznych. A przede wszystkim Brydziński przepoił postać głębokim wzruszeniem wewnętrznym aktora, dzięki któremu przedstawienie teatralne staje się dla widza niezapomnianym przeżyciem.

Stanisław Marczak-Oborski

Państwowy Teatr Powszechny w Warszawie. Leonid Rachmanow „Niespokojna starość". Sztuka w 4 aktach. Przekład Pawła Hertza. Reżyseria: Karol Borowski. Scenografia: Kazimierz Pręczkowski. Kierownik literacki: Józef Słotwiński.

KORESPONDENCJA

O WSPÓŁCZESNEJ DULSZCZYŹNIE

czyli bata'ia... przed premierą

Napisałem „Panią Dulską na rozdrożu" nie dlatego tylko, że mnie pociągnęła anegdotyczna, sensacyjna strona tego zamierzenia. Nie, nie chodziło mi o mechaniczne przeniesienie rodziny Dulskich do naszych czasów. Nierównie bardziej pasjonowało mnie ukazanie bazy ekonomicznej współczesnego mieszczaństwa i mechanizmu ideologicznego, który je ożywia, oraz tych sił, które mu się przeciwstawiły i z którymi musi ono walczyć w obronie swego istnienia. Chodziło mi o napisanie komedii antagonistycznej, a więc o ten aspekt sztuki, o którym nie myślała zupełnie Zapolska. Oczywiście, nie zamierzałem rywalizować z majsterstwem psychologicznym i technicznym najświetniejszego pióra komediopisarskiego naszego ostatniego pięćdziesięciolecia. Byłem świadom wszystkich trudności, które przede mną stoją. Ale miałem głęboką świadomość, że powinienem tę sztukę napisać, gdyż jest ona społecznie potrzebna, gdyż domaga się jej samo życie. Przyjęcie jej przez jury konkursu Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz przez najznakomitszych moich kolegów — gorące, mimo wszystkich braków sztuki — przekonało mnie, że miałem rację, zabierając się do pracy nad nią. Ale, powtarzam, nie przypuszczałem, że „siła fatalna" mieszczaństwa, żyjąca wśród nas i w pewnym stopniu zapewne w każdym z nas, jest tak wielka, że sztuka moja wywoła opory. Nie przypuszczałem, że niektórzy krytycy będą usiłowali za wszelką cenę obniżyć jej poziom i jej rodzaj, że będą usiłowali stępić jej ostrze polityczne w oparciu o tekst, zmasakrowany w jakimś nieudanym spektaklu. Rezolucja ostatniego plenum Związku Literatów, domagająca się opieki nad utworami, poświęconymi zagadnieniom budownictwa socjalistycznego i obronności kraju, nie została przecież wykoncypowana podczas ostatnich obrad naszych pisarzy. Odwrotnie, była ona wynikiem poprzedzających ją procesów twórczych i tych zagadnień naszej polityki kulturalnej, którym dały tylko wyraz obrady plenum. Czyż mogłem przypuszczać, że niektórym krytykom potrzebna była dopiero owa rezolucja, żeby zrozumieć całą wagę naszych utworów o tematyce współczesnej?... Przecież, jak to pięknie powiedział Saint-Beuve, „Krytyk to człowiek, którego zegarek idzie o pięć minut prędzej od innych". Ale zegarki niektórych naszych krytyków, jak widać, spóźniają się o całe miesiące. I stąd miast przeżywać wzruszenia, połączone z walką po premierze, jak Hugo, Gogol czy Zapolska, autor „Pani Dulskiej na rozdrożu" musi je przeżywać jeszcze przed premierą, bo przecież nie mogę uznać za premierę mojej sztuki — spektaklu, w którym niemal jedna trzecia utworu została bez porozumienia ze mną usunięta!

Rozmaici ludzie zabierali już głos w sprawie mojej okrojonej przez teatr sztuki. Nie będę z nimi polemizował: nie będę kruszył kopii z krytykiem o... wielokropek w tekście mojej komedii, ani nie będę korygował zabawnych, imaginacyjnych dialogów ze mną dyrektora teatru o „modnych prądach". Zostawiam ich przy tych wielokropkach, które przesłoniły im wszystko inne. Ale skoro ujrzeli również w mej sztuce, jak to piszą, „walory społeczne", „plastykę i żywość postaci", „dowcipną rewię współczesnego kołtuństwa", „żywość i humor sytuacji" — to czy istotnie mieli prawo tak figlarnie je skwitować?.. Czy nasza dramaturgia rozporządza tak wielką ilością komedii o tematyce współczesnej, aby upoważniało to aż do tak bezceremonialnej gospodarki teatralnej?...

Mam głębokie przeświadczenie, że autor ma prawo do ujrzenia swej sztuki na scenie ze wszystkimi jej zaletami i wadami. Garrick, zmieniający zakończenie „Króla Leara", spotkał się z czynnym protestem ludowej widowni, która broniła swego wielkiego pisarza. Ale sądzę, że nie tylko Szekspir — każdy uczciwy pisarz ma prawo domagać się, aby szanowano jego pracę. Każdy uczciwy pisarz bowiem, stosownie do swoich sił i możliwości, reprezentuje dziś walczącą o postęp myśl ludzką, reprezentuje literaturę wojującą

A ponieważ w to wierzę, wierzę również w to, że sztuka moja spełni ten cel, w jakim została napisana. Walcząc z przeżytkami mieszczaństwa w naszej świadomości, w naszym kraju, służy ona przez to samo wielkim sprawom budownictwa socjalistycznego, sprawom obronności kraju. Czy przeżytki te nie istnieją?... Czy dramaturgii naszej pozostał tylko konflikt „dobrego z lepszym"? W takim razie sztuka została niepotrzebnie napisana. Jeśli jednak istnieją, to wierzę w to głęboko, że spełni ona w końcu swą rolę — szlachetną, odwieczną rolę komedii: piętnowania zła społecznego śmiechem.

Anatol Stern

W SPRAWIE OBROTU KSIĄŻKAMI ANTYKWARYCZNYMI

W związku z artykułem pt. „Antykwarski jubileusz, czyli „Desa" na cenzurowanym", zamieszczonym w „Nowej Kulturze" z dnia 18.V.52 r. Ministerstwo Kultury i Sztuki, uznając merytoryczną słuszność licznych uwag autora, wyjaśnia, co następuje:

1) Istotnie Komisja Kwalifikacyjno-Szacunkowa oceniała przedmioty rzadziej, niżby to wynikało z potrzeb przedsiębiorstwa i klienta zgłaszającego książki. Przyczyną tego stanu rzeczy był skład Komisji, której członkami, w braku fachowców w samym przedsiębiorstwie, byli zaproszeni rzeczoznawcy spoza przedsiębiorstwa, nie zawsze dysponujący czasem. Od miesiąca szacunek przebiega już systematycznie, tzn. dwa razy w tygodniu, co wyklucza przedłużenie się okresu wyceny.

2) Ceny obiektów antykwarnianych ustalane są kolektywnie przez rzeczoznawców, powołanych przez Ministra Kultury i Sztuki, co daje rękojmię słusznego oszacowania obiektów.

3) Sprawa odmłodzenia kadr w antykwariatach „Desy" jest troską przedsiębiorstwa i w miarę możliwości zagadnienie to będzie regulowane.

4) Co się tyczy zarzutu, jakoby każda książka była księgowana 17 czy nawet 32 razy, to jest on bezpodstawny. Każda książka jest raz tylko wciągana ewidencyjnie do rejestru. Wszelkie manipulacje związane z obiegiem handlowym książki stosują się ściśle do zarządzeń NIK, wydanych po kontroli przeprowadzonej dnia 15.III.1951 r.

p. o. Dyrektora Gabinetu
Ministerstwa Kultury i Sztuki
(Edward Drabienko)

JAK ZA DAWNYCH DOBRYCH CZASÓW...

Współpracownik szwajcarskiej „National Zeitung", który przez dłuższy czas przebywał w Bonn, daje wyraz przerażeniu i zdumieniu w związku z podnoszącą coraz zuchwalej łeb hydrą antysemityzmu. Czytamy między innymi:

„Ponieważ w Niemczech Zachodnich Żydów prawie nie ma, antysemityzm wyżywa się w bezczeszczeniu grobów. Wedle danych statystycznych, ogłoszonych przez gazetę „Stars and Stripes", wychodzącą w Zachodnich Niemczech jako organ władz amerykańskich, z pięciuset cmentarzy żydowskich w Zachodnich Niemczech zbezczeszczono w ciągu ostatniego roku dwieście. Oczywiście sprawców nigdzie nie wykryto, a w szeregu miast policja oświadczyła, że były to figle dzieciaków.

Szwajcarski dziennikarz opisuje w dalszym ciągu wypadek następujący:

Były dostojnik hitlerowski, von Bothmer, będący dziś przewodniczącym jednego z prawicowych ugrupowań na terenie Zachodnich Niemiec, oświadczył na zebraniu publicznym co następuje: „Dopóki cały świat nie połączy się, by zwalczyć żydostwo światowe, nie będzie spokoju. Bo nie trzeba chyba dowodzić, że wszyscy Żydzi, to podżegacze wojenni". Centralna Rada Żydowska w Niemczech wystąpiła ze skargą sądową przeciwko von Bothmerowi, no i sąd miasta Braunschweig oświadczył, że skarga jest najzupełniej nieuzasadniona, gdyż wzywanie do walki z żydostwem światowym w żadnym wypadku nie może być karalne. Sąd oświadczył ponadto, że przecież von Bothmer wcale nie powiedział, by koniecznie należało walczyć z żydostwem metodami, jakie stosowała Trzecia Rzesza...

Ten sam sąd w Braunschweig odrzucił wniosek o wszczęcie dochodzenia przeciwko trzem sędziom, którzy w roku 1942 skazali szereg Żydów na karę śmierci pod zarzutem shańbienia rasy. W motywach sąd oświadczył, że nie ma żadnych dowodów, by trójka sędziowska, a którą chodzi, kierowała się antysemityzmem. Sędziowie byli tylko reprezentantami legalnego rządu i legalnego ustawodawstwa.

Kiedy już mowa o legalności, warto zwrócić uwagę na niejakiego pana Aschenbacha, podczas wojny politycznego doradcę hitlerowskiego ambasadora w Paryżu Abetza, który jest dziś oczkiem w głowie „Atlantydów". Aschenbach wydał pamiętniki Abetza i zaopatrzył je w przedmowę. Między innymi twierdzi autor tej przedmowy, że jedyną l e g a l n ą partią niemiecką od roku 1943 do 1945 była partia Narodowo - Socjalistyczna. W dalszym ciągu pisze pan Aschenbach: nie ulega wątpliwości, że wśród kolaboracjonistów znakomita większość składa się z ludzi noszących w sercu ideał Europy, będących w gruncie rzeczy dobrymi patriotami. Na marginesie tej przedmowy Aschenbacha pismo „Echo der Woche" opublikowało depeszę wystosowaną przez niego w marcu 1943 do Abetza. W związku z zastrzeleniem w Paryżu dwóch niemieckich oficerów, Aschenbach proponuje wywiezienie do Oświęcimia dwóch tysięcy Żydów francuskich.

Na zakończenie warto przytoczyć słowa „Informationsblatt" prowincji Rheinland-Pfalz, organu jednej z partii rządowych na terenie Zachodnich Niemiec. Oto one: „Dla usprawiedliwienia przed opinią świata zbrodni dokonanych po wojnie w Niemczech przez aliantów wynaleziono kłamstwo o sześciu milionach zlikwidowanych rzekomo Żydów. Aby to kłamstwo uprawdopodobnić, pobudowano ex post w rozmaitych obozach koncentracyjnych piece krematoryjne, aby je później demonstrować przed światem w filmach dokumentarnych"... **fr.**

I G N A C

(Dokończenie ze str. 7-mej).

dzieć, ale co? Może „dziękuję"? albo „na zdrowie", czy „Bóg zapłać"?

Rozmyślania nad tym dziwnym słowem „apel" przerwał mu wychowawca.

— Jak już zjedliście, to pójdziemy załatwiać formalności dalej. — A jak smakowało wam śniadanie?

Ignac potakiwał głową i żeby pokazać, że naprawdę się najadł, czknął głośno.

Najpierw do łaźni i — znowu dziwy. Rozebrał się Ignac, położył ubranie na tabbrecie i stanął. W czymże się tu umyć? Ani miednicy, ani wiadra z wodą, ani nawet cebra, ino jakieś przegródki i u góry wiszą w każdej łańcuszki. No i jak tu się umyć bez wody? Rozglądał się z zakłopotaniem.

— Idź tam do kabiny i pociągnij mocno za łańcuszek — doradził mu starszy dziadek podając mydło.

— To zamiast powiedzieć, gdzie woda, to on mi każe pociągnąć za łańcuszek — zdziwił się, ale że nauczony był słuchać, poszedł, pociągnął...

— Iiii — wrzasnął przestraszony, gdy na głowę lunął mu niespodziewanie ciepły, gęsty deszcz. Wyskoczył spod prysznicu. — Aha, to z góry tak sika, a myślałem, że ten stary chlusnął na mnie czymś.

Pławił się teraz z rozkoszą, piszcząc z uciechy. Co się namydlił, to z powrotem znów nadstawiał całe ciało pod mile chłoszczącą wodę. Aż stary gderał: — Cóż to, myślisz cały dzień się pucować, czy co? Skończże, skończ.

Gdy wytarł się włochatym ręcznikiem, aż sam się zdziwił: — jaki to człowiek czysty jest letki...

— Już — oznajmił, zjawiwszy się z powrotem u kierownika gospodarczego.

— Wykąpaliście się? Teraz wydamy wam kombinezon. A koszulę czystą włożyliście?

— Nie, bo... bo... nie mam drugiej, ino ta, co na sobie... — przyznał się Ignac. — To trzeba wam koszulę wydać — stwierdził kierownik. — A i buty też. W tym nie będziecie chodzić — popatrzył krytycznie na „oficerki" po Rzepeckim.

— E, buty, to nie — próbował oponować Ignac. Są dobre. Wujo w nich chodzili przez parę roków, nawet do kościoła w nich chodzili. A jak się w zimę włoży do nich sporo słomy, to nogi za nic nie zmarzną.

Z magazynu wyszedł Ignac już wcale nie ten sam. W kombinezonie, w sznurowanych trzewikach wyglądał na wcale innego chłopaka. Nieduży, bo nieduży, ale dosyć zgrabny, i mina wydawała się roztropniejsza. Zresztą i sam poczuł się pewniej, jakby ze starymi łachami zrzucił gdzieś parobka Ignaca od Rzepeckiego, a z obleczeniem kombinezonu stał się Ignacem Pałysem, prawie już traktorzystą.

Jeno z włosami nie mógł dać rady. Sterczały jak zmierzwiona słoma.

Z kolei zaprowadzono go do doktora.

— Ja ta nie chory — sprzeciwiał się i długo nie chciał się rozebrać. — Jakże to można świecić gołym ciałem przed takim panem „doktorem"? Jeszcze się rozgniewa i przepędzi.

— No, rozbieraj się, kawalerze. Nie mrucz.

Z lękiem stanął na wadze. — 43 kg — mruczał doktor kręcąc głową. — 151 cm wysokości.

Opasał piersi Ignaca taśmą i kazał mu wdychać i wydychać powietrze. Opukał, obstukał, obsłuchał jakimiś rurkami.

— A co to za ślady? Spadłeś gdzie? Potłukłeś się tak strasznie, czy co? — Obmacywał doktor stare i nieco nowsze siniaki.

— To „wujo", o zboże.

— To zbój, a nie wuj — zgniewał się doktor. — Dać mi go tu. Pogadałbym ja z nim.

— No, kawalerze, pokaż język.

— Ni.

— Pokaż, muszę widzieć.

— Ni — uparł się Ignac. „Nieładnie na starszego wywalać jęzor. Sprytny, jucha, chce zobaczyć, czy nie jestem łobuzem".

— Pokaż, muszę zobaczyć, czy nie jesteś chory.

— Aha — przypomniało się Ignacowi. — Pewno chce zobaczyć, czy nie mam „odry". Przecie kolejarz mówił, że zaraz za szkołą jest „odra".

— Niech doktór oglądają, kiedy chcą. — Wywalił język na całą długość.

— No dobrze, możesz się ubierać — powiedział doktor, zapisując:

„Organizm silnie wyczerpany i osłabiony nadmierną pracą fizyczną. Znać wpływy nędznego odżywiania oraz znęcania się fizycznego, o czym mówią liczne sińce... Złe warunki życiowe zahamowały normalny wzrost i rozwój. Serce i płuca zdrowe. Należy zwrócić uwagę..."

— Hm — potarł doktór czoło. — Ale, bracie, nie będziesz mógł być traktorzystą...

— Że jak? — zmartwiał Ignac, przestając się ubierać.

— Za wątły jesteś, nie odpowiadasz wymaganym przepisom.

— To, to... — zaschło Ignacowi w gardle i dalej już nie mógł słowa wymówić... Nie mógł pojąć, za co go tu nie chcą? I nie będzie mógł być traktorzystą, a tak mu się tu zaczęło podobać, i pewno kombinezon, w którym czuł się tak dumny, zabiorą, i nie wsiądzie nigdy w życiu na „stalowego konia"...

Zakręciło się w głowie i zabolało gdzieś w środku. Zupełnie jak wtedy, kiedy to szedł się topić, wygłodzony przez Agatę, zbity okrutnie przez wuja. Pociągnął nosem hałaśliwie i łzy same zaczęły padać na poduszkę...

— Ni... mam... ni... — szlochał.

— Czego ty? — zrobiło się doktorowi trochę niewyraźnie. — No widzicie — beczy. Co z ciebie za kawaler. Eh, płaksa. Tak koniecznie chesz być traktorzystą?

— A no, ino — ku... kuniecznie! — obtarł Ignac rękawem zamoczoną twarz.

— Zobaczymy — zastanowił się się na chwilę doktór. W tej chwili drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł niewysoki młodzieniec o otwartej twarzy i bystrych oczach.

— Cześć, doktorze — przywitał się wesoło. — A coście za krzywdę zrobili temu koledze, że się rozpłakał?

— Za wątły na traktorzystę. Powiedziałem mu to i rozpłakał się — wyjaśnił doktor. — Proszę, niech kolega przeczyta wynik badania. Podsunął kartę. — Rzeczywiście — zastanowił się przybyły. — Dawno nie mieliśmy tak zabiedzonego kandydata. Ale to nie dowód, że nie ma tu zostać. Różnie bywa. Zadecydujemy o tym.

— Pozwólcie, kolego — zwrócił się do Ignaca. — Uszy do góry. A najpierw się poznamy. Tolski jestem, z Głównego Zarządu ZMP — wyciągnął rękę.

— To tyż z ZMP — zrozumiał Ignac, zresztą czerwony krawat mówił sam za siebie. Podniósł zapłakane oczy i nie wiadomo czemu poczuł nadzieję.

— To zostanę traktorzystą?

— Na pewno. A teraz pozwólcie, kolego, do mnie, porozmawiamy sobie. I tak na razie nie macie nic do roboty. Do widzenia, doktorze.

W gabinecie przedstawiciela ZMP czuł się Ignac z początku zakłopotany, ale pomału rozgadał się. Tak im się gwarzyło, jakby się znali od małego. I o karym, co to zeszłego roku obtarł grzebiet chomątem, o Agacie, co to się zawsze złościła nie wiadomo o co. Opowiadał Ignac o tym, jak młócili tej jesieni i potem „wujo" zakopał pszenicę, a Ignac chciał doradzić Stelnikowi, żeby też schował. I jak wujo go kopał i tłukł lachą, a Agata nie dawała jeść...

— To ci kułaki, psiekrwie — zaklął ZMP-owiec.

— O, to wy znacie mojego „wuja" — ucieszył się Ignac. — Tak na wsi na niego mówili, ale on tego straszecznie nie lubił.

— Nie, kolego, waszego wuja to nie znam, ale jest jeszcze prawie na każdej wsi po paru takich „wujów" — kułaków.

— Ja do „wuja" jużbym nie chciał iść nazad, i dlatego wzieno mi się na płacz, kiedy mi ten doktór powiedział, że nie będę traktorzystą.

— I nie pójdziecie więcej, kolego Pałys. Ale pojedziecie na traktorze, który zgniecie swymi gąsienicami kułaków. Przeorze stare zacofane gospodarstwa i dopomoże do zbudowania nowej socjalistycznej wsi, w której nie będzie miejsca dla takich „wujów" — Rzepeckich.

— O! — przytaknął Ignac. Niewiele z tego pojmował. Zrozumiał wszystko, ale o wiele później.

Znowu obiad. Do jadalni sam już trafił. Przecisnął się do miejsca wskazanego mu rano.

Inni chłopcy też już byli. Na stole apetycznie dymiła zupa pomidorowa, a przed każdym stał płytki talerz z kaszą i sporym siekanym kotletem.

— Co to za święto dzisiaj? Przecie jeszcze nie Wielkanoc — szturchnął łokciem Franka.

Jakie święto? Żadne święto, zwyczajny piątek — dolewał sobie Franek po raz drugi zupy.

— Takie dobre to jedzenie — oblizywał się Ignac.

— Tu prawie co dzień takie, brachu — wyjaśnił sąsiad z drugiej strony, zabierając się z apetytem do drugiego dania.

— Po obiedzie mamy wolne — chodźmy, Ignac, popatrzeć nad Odrę — powiedział Franek dopijając kompot. — A wiesz ty, dzisiaj już trzymałem lampę do podgrzewania „Ursusa" — pochwalił się — i „Zetory" widziałem.

— A niechta! — popuścił Ignac pasa. — Ja ta ciekawy, ale trachtorów.

— To przecie, człowieku, traktory, tylko się nazywają Ursusy i Zetory — wyjaśnił z wyższością Franek. — A powiadam ci, warczą aż uszy bolą.

Przy wyjściu zatrzymał Ignaca wychowaca. — Idźcie jeszcze kolego do fryzjera. Drugie drzwi przy portierni.

— Ja poczekam na ciebie—przysiadł na ławce Franek.

— Czwarty za kolejką — wesoło oznajmił fryzjer. Golić, strzyc, zęby rwać?

— E, ni — przestraszył się Ignac. — Ino głowę.

— Głowę uciąć? Dobra. Już się robi, siadajcie. — Posadził go przed dużym lustrem. — Na jeża, z grzywką, do góry, na bok?

— Bądź jak — odparł Ignac.

— Ale szopa! Pod saganek obcinana. A gdzieście to ostatni raz byli u fryzjera?

— To ciotka na Wielkanoc mnie podstrzygła.

— Aha, hm — pochylił głowę na lewo. — O tak, dobrze. — Ciach, ciach — spadały kosmyki płowych włosów na podłogę.

— Gotowe.

Spojrzał Ignac w lustro i sam siebie nie mógł poznać.

— Czyby się tak nie kazać jeszcze ogolić? E, chyba nie. Przeciągnął ręką po twarzy, gdzie jeszcze włosom nie śniło się nawet rosnąć.

— Długoś siedział, najmniej godzinę — przywitał go Franek. Ale za to cię wystrzygli. Teraz toś trzy złote więcej wart. — Przeszli obok bramy, koło stojącego przy portierni wielkiego chłopa w mundurze, z którym miał Ignac z rana pierwszą rozmowę.

— To musi być najważniejszy w ty szkole — szepnął Ignac, wskazując imponującą postać.

— E, to wartownik! — wyjaśnił Franek, a najważniejszy to się nazywa dyrektor i jest młody...

— Uuuuuu... — zahuczało gdzieś w oddali.

— Chodźmy prędzej, statek idzie. Zobaczymy!

Pobiegli.

Tuż za parkiem teren zniżał się widocznie i kończył zarośniętym łoziną brzegiem. Przez cienkie gałązki przebłyskiwała woda.

— Tu stańmy. Stąd dobrze widać.

Jak na dłoni widoczna leżała przed nimi wielka rzeka. Ciemna woda płynęła dość leniwie, tylko wiry ukazujące się tu i ówdzie świadczyły o jej zdradliwej głębinie. Na drugim brzegu posępniał sosnowy bór, nie odziany jeszcze w wiosenne szaty i schodzący aż do samej wody.

— To i Wisła tutaj — zapatrzył się Ignac.

— To Odra się nazywa, a nie Wisła — sprostował Franek.

— Ta Odra to i większa od Wisły, ale nad Wisłą i piasek jest taki bielutki, i woda niebieska, a słońce to się w niej przegląda, nie tak jak w ty Odrze...

— Chałupa na wodzie, i jak strasznie dymi... O, patrz — wytrzeszczył Ignac oczy. — A jak ładnie namalowana. — Za niedługą chwilę statek znalazł się na wysokości Lubiąża.

„Koźle" — odczytał Franek. To do Szczecina pewno idzie. Pojechać kiedy takim...

— Bałbym się — zwierzył się Ignac. Koło Tomaszówki nie chodzą takie.

Przyjemnie mieć rówieśnika! Zagadali się obaj tak, że nim się spostrzegli, już słońce chowało się za odrzańskimi lasami.

— Chodźmy już, bo spóźnimy się na rozdawanie zeszytów — zorientował się Franek. — Ja mieszkam na 20-tym bloku pod numerem 11. A ty?

— I ja tyż — ucieszył się Ignac. To my razem. Chodźmy!

Sylwester Banaś

(Z powieści-debiutu pt. „Stalowy koń". Powieść ukaże się nakładem Spółdz. Wyd. „Czytelnik".)

Z TYGODNIA

W KRAJU

STAN POLSKIEJ PLASTYKI I PRZYGOTOWANIA DO III OGÓLNOPOLSKIEJ WYSTAWY

były tematem obrad rozszerzonego plenum Zarz. Głównego Zw. Polskich Art. - Plastyków. Referat pt. „Aktualne zagadnienia w plastyce w związku z III Ogólnopolską Wystawą" wygłosił wiceprezes ZG ZPAP, St. Teysseire. Rektor ASP w Warszawie, prof. M. Wnuk, złożył sprawozdanie z pobytu delegacji plastyków polskich w ZSRR.

W DRUGĄ ROCZNICĘ OPUBLIKOWANIA PRACY STALINA „MARKSIZM A ZAGADNIENIA JĘZYKOZNAWSTWA",

która minęła 20.VI., podano do wiadomości, że niedługo ukażą się w przekładzie na język polski dwie zbiorowe prace: „Zagadnienia materializmu dialektycznego i historycznego w pracy Stalina „Marksizm a zagadnienia językoznawstwa" oraz „Zagadnienia językoznawstwa".

NA PRZEDSTAWIENIU SZTUKI „NIESPOKOJNA STAROŚĆ"

L. Rachmanowa w Państw. Teatrze Powszechnym na Pradze był obecny w dn. 24.VI. Prezydent R. P., Bolesław Bierut. Prezydentowi R. P. towarzyszyli członkowie Rządu i członkowie Biura Politycznego KC PZPR.

PRACE NAD REALIZACJĄ FILMU O GENERALE KAROLU ŚWIERCZEWSKIM

pt. „Żołnierz zwycięstwa" — weszły w stadium końcowych zdjęć. Film ten złożony będzie z dwóch serii. W rb. zostaną wyprodukowane ponadto przez Wytwórnię Filmów Fabularnych; kolorowa komedia muzyczna pt. „Przygoda na Mariensztacie" i film pt. „Jeden dzień w Warszawie".

MUZEUM HISTORYCZNE MIASTA KRAKOWA

zostało uroczyście otwarte 24.VI. Myśl utworzenia tego muzeum rzucił jeszcze Jan Matejko — zrealizowano ją jednak dopiero w Polsce Ludowej. W muzeum zgromadzono eksponaty obrazujące początki samorządu miejskiego, zabytki cechowe, materiały dotyczące dawnych wojen i oblężeń miasta. Muzeum posiada też dział przedstawiający obrzędy zwyczaje i tradycje Krakowa. W dziale historii Krakowa od czasów Kościuszkowskich po dzień dzisiejszy, zwraca uwagę obfita dokumentacja dotycząca działalności Lenina, Stalina i Dzierżyńskiego na terenie Krakowa.

ZMARŁ JERZY RYGIER

znany artysta teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie. Do zespołu tego teatru należał od r. 1950. Pracę aktorską rozpoczął na scenie poznańskiej w r. 1906. Ostatnią jego kreacją była rola podstolego Oborskiego w sztuce H. Auderskiej „Zbiegowie".

ZA GRANICĄ

PONAD MILION WIDZÓW

obejrzało w Moskwie film „Młodość Chopina" w dniach Festiwalu Filmów Polskich w ZSRR.

ZBIÓR NOWEL SIENKIEWICZA

w języku rosyjskim ukazał się w ZSRR w nakładzie 150 tys. egzemplarzy.

POPIERSIE NIKOSA BELOJANNISA W BIAŁYM MARMURZE URALSKIM

wykuł wybitny rzeźbiarz radziecki, Konionkow. „Gdy spojrzałem na fotografię uśmiechającego się Belojannisa, oświadczył w udzielonym wywiadzie prasowym Konionkow — ujrzałem oblicze człowieka, który zwyciężył śmierć. Oblicza tego nigdy nie można zapomnieć. Owładnęło mną wtedy pragnienie uwiecznienia tego oblicza w marmurze, jako symbolu gorącego umiłowania życia, ojczyzny i wszystkich ludzi pracy".

„OPOWIEŚĆ O TURCJI" —

— nowa sztuka Nazima Hikmeta weszła niedawno na scenę Teatru Wojska Czechosłowackiego w Pradze. Sztukę tę, opowiadającą o ludziach współczesnej Turcji, o ich walce o pokój, wyzwolenie narodowe i społeczne — przygotowuje również do wystawienia radziecki teatr „Mossowieta".

SPECJALNY FUNDUSZ IM. MARTINA ANDERSENA NEXOE

utworzono w Danii w 83 rocznicę urodzin wielkiego pisarza, przypadającą na dzień 26 czerwca.

LISTY SHAWA ZA 1.100 FUNTÓW SZTERLINGÓW

zakupił na licytacji w Londynie pewien nowojorski „businessman". Sprzedano mu 120 listów Shawa do aktorki P. Campbel.

KRYSTYNA ŻYWULSKA

POWIEDZIELI

(Podsłuchane w czasie Plenum ZLP, w t.zw. kuluarach)

— Co? Ja mam zabrać głos? Tego się oni po mnie nie doczekają. Po tym jak mnie nabrali? Nigdy! Wciąż wymyślają coś nowego. Najpierw namawiali, żeby pisać powieści współczesne o odbudowie. Napisałam. Od razu zwrócili mi uwagę, że nie czuje się w mojej powieści walki klasowej. Dorobiłam walkę klasową: Z jednej strony inżynier — wróg i sabotażysta, z drugiej robotnicy ratują fabrykę przed zniszczeniem. Przeczytali i powiedzieli, że nie mam pojęcia o tym co się dzieje w terenie. Pojechałem w teren. A tam jak zdarzyło się jakieś uszkodzenie to mnie go nie pokazywano. W ogóle nie chcieli mnie dopuścić do walki klasowej. Jak np. walka klasowa odbywała się w kotłowni, to mnie nikt o tym nie zawiadamiał. Więc jak miałam pisać o tym czego nie widziałam? Plan był wykonywany, ludzie pracowali — musiałam więc znów wymyślić tego wroga klasowego. I wymyśliłam. To mi powiedzieli, że jestem ideologicznie niedojrzała, bo wróg wcale nie musi mieć pryszczatej twarzy. Zmieniłam wroga. Wyglądał sympatycznie i robił świństwa. Powiedzieli, że to postać nietypowa.

Postanowiłam nie zajmować się więcej wrogami i przerzuciłam się na pozytywnych bohaterów. Żeby nie powtarzać błędów (z tą nieznajomością terenu) napisałam powieść ze środowiska wiejskiego. bo kiedyś mieszkałam na letnisku u jednego chłopa. Tematem powieści był los wyzyskiwanego biedniaka. Powiedzieli, że mój chłop jest drewniany i papierowy jednocześnie. chociaż zupełnie nie rozumiem, jak to jest możliwe. Powiedzieli, że tacy także śmieją się i kochają i że nie mają zwyczaju mówić: „ja jestem biedniakiem, czego ode mnie chce ten wstrętny kułak". Więc skojarzyłam mego bohatera z postacią płci odmiennej. Powiedzieli, że to nie jest romans chłopca z dziewczyną, tylko biedniaka z kułaczką Wtedy pokazałam im. jak wygląda miłość chłopca i dziewczyny! Powiedzieli, że to naturalizm. Więc zamiast tych miejsc gdzie się całowali w lesie wieczorem wstawiłam dialogi o tym, że ona skosiła ponad normę 24 hektary zboża i że on się z tego cieszył. Powiedzieli, że to nie jest prawda życiowa, że ludzie żywi po pracy rozmawiają o swoich uczuciach. Spróbowałam znów dopisać — rozmowę o uczuciach. Powiedzieli, że to jednak zwyczajna pornografia i że już wolą, jak piszę powieści produkcyjne.

Zachęcona napisałam więc powieść, w której nie było ani wroga, ani pozytywnego bohatera, ani walki klasowej, ale za to władowałam produkcji ile wlazło. Powiedzieli, że nie widzę ostrych konfliktów, że to jest właśnie lakiernictwo i że moja książka to wcale nie powieść, tylko słownik techniczny.

Zdenerwowałam się. A w tym czasie właśnie mówili, że jednak już potrzebne są ciekawe książki. Napisałam egzotyczną powieść. Powiedzieli, że akcja powieści równie dobrze rozgrywać się może w Honolulu, co w Afryce, bo nic konkretnego nie wspominam o mieszkańcach tego kraju i o tym, w jakich żyją warunkach. Wobec tego rozszerzyłam opis odczuć tubylców, a na wstępie dodałam, że rzecz się dzieje w Hiszpanii. Powiedzieli, że w Hiszpanii nie rosną baobaby, że ludzie nic tylko rozszczepiają włos na czworo, że to eskapizm psychologizm i coś jeszcze.

Zrobiłam ostatnią próbę. Napisałam powieść młodzieżową. Teren znam, bo sama nie tak dawno jeszcze byłam młoda. Powiedzieli, że w mojej książce występują emeryci a nie młodzi ludzie i skąd ja ich wzięłam. Poza tym uznali, że zupełnie nie ma konfliktu ani akcji i że jest w ogóle artystycznie niedociągnięta. Podciągnęłam Odmłodziłam bohaterów jeszcze o 12 lat na osobę.

To teraz znów wyskoczyli z odkryciem, że talent jednak nie jest bez znaczenia. Trzeba było od razu tak mówić! Teraz już mnie nie nabiorą.

Krystyna Żywulska

do P. T. Szerokiego Ogółu

Niejeden z Was, Obywatele, staje w życiu twarzą w twarz z zagadnieniem przemawiania bądź to w imieniu, bądź z ramienia Jak dotychczas daje się odczuć dotkliwy brak zwięzłego podręcznika dla mówcy. Pragnąc wypełnić tę, że tak powiem, rażącą lukę na półkach księgarskich opracowałem „Leksykon mówcy" w kieszonkowym wydaniu Tuszę, iż to dzieło, owoc długoletniego doświadczenia zdobytego na różnorakich akademiach, odda nieocenione usługi tym wszystkim którzy pragną poświęcić się pracy na niwie.

Opanowanie tego zwięźle i alfabetycznie podanego podręcznika pozwoli na zabieranie głosu i czasu we wszelkiego rodzaju dyskusjach, tak w kwestiach zasadniczych, jak i formalnych; jakoteż na wygłaszanie wszelkich przemówień na zebraniach i akademiach ku czci, bez względu na treść tychże.

Upraszam łaskawych Czytelników o uzupełnianie leksykonu. Niechaj ten skromny, pionierski wysiłek będzie zachętą dla pilnych badaczy naszej prasy i bywalców sal odczytowych.

SŁOWNIK

adekwatny — bardzo efektowne słowo używane przez najlepszych mówców w celu uwypuklenia.

aspekt — aspektów jest zawsze kilka, a z jednego patrzy się na zagadnienie (np. „spójrzmy na to z aspektu"... itd.).

bon-ton — (czyt bą-tą). To co człowiekowi nakazuje, lub nie pozwala (np. „bą-tą" nakazuje mi... itd).

czerwony kur — zwrot nieodzowny na akademii w dniu straży pożarnej, a oznaczający banalne słowo „pożar".

de facto — powiedzenie do niczego nie obowiązujące, doskonale zastępujące każde brakujące w przemówieniu słowo.

dogłębnie — znakomite słowo służące do nadania wagi zagadnieniu.

e — wymawiane długo — eeeee — świetnie ułatwia uchwycenie zagubionego wątku.

formalnie — zamiast naiwnego „bardzo" (np. jestem formalnie oszołomiony adekwatnym stosunkiem de facto eeee... itd.).

grawituje — pospolicie używany zwrot przez mówców dla wyrażenia pewnej oscylacji ku (ob. „ku").

hiperbolicznie — zamiast mylącego słowa — „przenośnie".

idiosynkrazja — (nie mieszać z idiotyzmem) służy do wyrażenia niechęci (np. „mam formalną idiosynkrazję w sensie absolutnym do... i.t.d.").

kapitalny — co gorsi mówcy używają tu ryzykownie w wymowie słowa „główny".

ku — nieodzowne zakończenie wezwań i okrzyków, jak: „dążmy ku", lub początek słów o charakterze pontyfikalnym, jak „kupamięci".

li tylko — przysłówek zastępujący beznamiętne „tylko".

majoryzacja — nie oznacza aktu nominacji na majora. a raczej generalizację zagadnienia, tak de nomine, jak i de facto.

nota bene — można użyć jak w przypadku „e" (ob.)

oscylacja — ob. „grawituje".

pion — pion bywa moralny, sportowy i ideologiczny; ten ostatni także kościec.

platforma — przeważnie wspólna, np. „przystępujemy do fuzji na wspólnej platformie".

retrospektywny — że w ogóle i na przestrzeni.

sic — (czytaj sik)! wykrzyknik dla uwypuklenia.

tytaniczny — na ogół wysiłek, lub zryw ku (ob)

ultra — można umieszczać przed przymiotnikami dla wyrażenia.

wachlarz — zawsze szeroki; konsystencja obojętna.

za („jestem za") — używane przy głosowaniu — na wszelki wypadek, jeśli nie wiadomo o co chodzi w dyskusji.

nożyce

JANUSZ MINKIEWICZ

UWAGA!

Gdy, wart rozgłosu, czyn podjęto...
Gdy jakaś akcja się wykluwa...
Gdy trzeba święcić jakieś święto...
Gdy trzeba uczcić kogoś godnie...
Ach, wtedy, wtedy niezawodnie
Grafoman czuwa!

Na dzień, gdy na czyjś jubileusz
Okazja zdarza się nielicha
(Tu zrymuj frazes... tam wiersz przełóż...),
Na Dni Oświaty... Dziecka... Książki —
(A przede wszystkim — na pieniążki)
Grafoman czyha!

Gdy od niezgrabnych, złych sloganów
Nadmiernie puchnie czasem prasa,
Gdy rażą one nas z parkanów
Z ulotek (i z głośników także) —
To niezawodny wtedy znak, że
Gramofan hasa...

Wśliznął się w kioski i księgarnie
I hasa, hasa tam bezkarnie.

*

Są liczne fachy i zawody,
Gdzie brakoróbstwo wyszło z mody,
Gdzie, gdy kto leń jest i brakorób,
Surowo leczą go z tych chorób...

Gdy gdzieś, w pończochach ze steelonu,
Dość liczne braki dostrzeżono,
Już grzmiał w gazecie zdrowy sensat
I gromko żądał rekompensat.

Słusznie, że chciał dać kres tej grandzie.
A...
...brakoróbstwo w propagandzie?
Wiadomo. Szerzy się.
Niestety
Nie karcą wcale go gazety
I milczą o tym brakoróbstwie,
Choć redaktorów o nim stu(pst!) wie...
A przecież gorszy, niż ów steelon
Jest slogan, gdy ma straszny styl on.

Grosz wyrzucony to na pewno
Na druk ulotek: „LAS TO DREWNO".

W lud niosą literackie braki
Wychowankowie xiędza Baki...

Wiersz napisany źle, na dwóję,
Godzi w cel, który propaguje.

Godzi, zohydza i odstrasza,
A wróg już cmoka:
„Dobra nasza".

Już obu łączy wspólna droga:
Grafoman to sojusznik wroga!

*

Więc gdy na propagandy polu
Jest mętnie, mglisto i bezgwiezdnie —

Antoni!
Janie!
Anatolu! *)

Rozproszmy mroki błyskiem piór,
Niech ostatecznie, niech na mur
Grafoman szczeźnie!

*) Mimo starannych poszukiwań, nie udało się ustalić, kogo autor miał na myśli. Przypuszczalnie chodzi o młode, nieznane talenty, co Redakcja popiera.

Przyp. red.

JAN HUSZCZA

POCHWAŁA NIEDBALE PISZĄCEGO POETY

Młody poeta
podczas wieczoru
swe wiersze czyta,
pełen ferworu!

Dziwacznej składni
słuchają ludzie...
Te wiersze dudnią
jak wóz po grudzie!

Z pewnym podziwem
ktoś szepce w tłumie:
„Skąd to ten Anglik
po polsku umie?!"

JAN SZELĄG

Pisarz w terenie międzyplanetarnym

20-go czerwca 1972 roku z lotniska skierniewickiego pod Warszawą wyruszyła w pierwszą podróż polska rakieta międzyplanetarna „Kopernik". Dyrekcja Polskich Linii Lotniczych „Lot" — Oddział MPKL (Międzyplanetarna Polska Komunikacja Lotnicza) — przyznała jedno gratisowe miejsce pisarzowi wskazanemu przez Związek Literatów Polskich. Zarząd Główny Związku po dłuższych naradach i dojrzałym namyśle postanowił ze względu na nazwę rakiety delegować na wyprawę członka oddziału toruńskiego Związku — Krzesława Filucińskiego, nienajpowszechniej znanego autora wiersza „Toruń — garmażerni ruń", oraz konspektu sztuki „Piast wśród gwiazd".

Po szczęśliwym powrocie wyprawy, która stworzyła podwaliny polskiej komunikacji międzyplanetarnej, ukazały się dwa dzieła:

1. Jan Kowalski, zastępca kapitana statku międzyplanetarnego „Kopernik" — Kronika pierwszej polskiej podróży międzyplanetarnej, czerwiec — wrzesień 1972. Państwowe Wydawnictwo Astronomiczne, Warszawa, 1972 r. Str. 679 — XXXVIII, t. 6 nlb. Dwieście ilustracji w tekście.

2. Krzesław Filuciński — MPKL nr 859 rusza. Powieść. „Czytelnik", Warszawa, 1979, str. 53.

Oto kilka wyjątków z tych dzieł:

Kronika: „Wszyscy czujemy tak wielkie wzruszenie, jakie było udziałem chyba tylko naszego wielkiego patrona, mistrza Mikołaja, gdy pisał swe wielkie dzieło „De revolutionibus orbium coelestium". Ziemia lśni w przestrzeni jak księżyc, który stanowi pierwszy etap naszej podróży. Nasi profesorowie prowadzą ożywioną dyskusję na temat konstrukcji „Kopernika". Profesor Nowakowski zdecydował się wziąć udział w wyprawie, mimo że kwestionuje zasadę konstrukcji rakiety, wykonanej według projektu zespołu Politechniki Białostockiej. A więc nie tylko wyprawa w tereny nieznane ludzkości, ale i wielkie doświadczenie techniczne, w którym stawką jest nasze życie. Nasi lekarze i fizycy nie przestają obserwować, jakie zmiany zachodzą w naszych organizmach z chwilą przekroczenia granicy ciążenia ziemskiego..."

Powieść: „Kleofas usiadł w fotelu, zmontowanym na wielkich sprężynach, mających neutralizować skutki ewentualnych wstrząsów. Gdy fotel objął swymi ramionami gibkie ciało podróżnika wspomnienia porzuconej niebacznie planety, streściły się w reminiscencji pamiętnego wieczoru imieninowego babci Eudoksji. Dotykalny niemal zapach i smak tamtego kakao i tortu migdałowego zwyciężył zapach skóry i niklu, będący dominantą niejako kształtu wewnętrznego „Kopernika"...

Kronika: „Profesor Nowakowski robi raz jeszcze swe obliczenia Dowodzi on, iż wtargnięcie nasze w strefę przyciągania Księżyca stanie się przyczyną katastrofy. Na ekranie śledzimy naszą trasę i zbliżanie się do krytycznej granicy Białostoczczanie dodają sobie i nam animuszu, ale przeżywamy — co tu dużo gadać — wielkie napięcie..."

Powieść: „Kleofasa powracającego lotem myśli ze wspomnień dziecięcych zaczęło coś uwierać w biodrach i w karku Dopiero wówczas, gdzieś na połowie drogi między Ziemią i Księżycem, spostrzegł, że siedzi w płaszczu. Wstał, zdjął zarzutkę i nagle...

— Tu nie ma wieszaków! — bystre spostrzeżenie wydarło mu się z ust..."

Kronika: „Przekroczyliśmy granicę księżycowego ciążenia Szybujemy bez przeszkód. Profesor Nowakowski mówi o niebezpieczeństwie lądowania. Białostoczczanie przyjmują jego uwagi z zainteresowaniem, ale zarzuty odpierają energicznie. Cóż za wspaniała walka w czasie wielkiego doświadczenia!.."

Powieść: „Kleofas zaczerpnął sztucznego, rakietowego powietrza, przynoszącego płucom ni to wspomnienie sosnowego lasu. Nad głową huczała mu burza. To młotek walczył z czarną główką gwoździa. Korkowa ściana przyjmowała zaostrzone żelazo gładko, ale odmawiała mu oparcia.

— Co robić z płaszczem?

To pytanie kontrastowało dramatycznie z niezwykłą sytuacją Kleofasa..."

Kronika: „Księżyc! — wysiadamy. Jakaż kosmiczna katastrofa zmroziła i zniszczyła satelitę Ziemi? Oto podstawowe zagadnienie stające przed ziemskimi uczonymi..."

Powieść: „Nie patrzył nawet na krajobraz księżycowy. Płaszcz i gwóźdź zagarnęły jego jaźń. Bumblowice... Pamiętał halę małej, starej huty, gdzie stary Przepiórka walczył z brygadą zetempowską o utrzymanie starych metod sztancowania gwoździ".

Kronika: „Następny etap — Mars. Czy spotkamy się z istotami do nas podobnymi? Wielkie dyskusje, niemal walki między naszymi astrobiologami".

Powieść: „Łebki od gwoździ muszą mieć średnicy co najmniej pół centymetra, tak było zawsze — dukał obelżywie Przepiórka na pamiętnym zebraniu w Bumblowicach. Kleofas nie mógł zapomnieć, nie, nie zapomni nigdy twarzy starego, jego reakcyjnej zaciętości..."

Kronika: „A więc ludzie! Jakbyśmy ujrzeli starożytny Egipt Wielkie budowle, fellahowie półnadzy i przepych pałaców marsjańskich faraonów. Nasza obsługa maszyn, nasi mechanicy dyskutują, czy nasze przybycie, związanie Marca z Ziemią pozwoli ludowi marsjańskiemu na szybszy rozwój społeczny. Staje przed nami zagadnienie odlotu stąd. Przeczuwamy zamach ze strony faraona i kapłanów..."

Powieść: „Kleofas czuł wielkie szczęście. Ta podróż wśród planet pozwoliła mu nareszcie po dziesięciu latach spokojnie przemyśleć zagadnienie sztancowania gwoździ. Zrozumiał nareszcie, przeżył tu w tym zamkniętym aerostacie całą jej rozległość i intensywność..."

Kronika: „Zostawiliśmy poza sobą bunt marsjańskich fellahów. Lud Marsa sparaliżował spisek swych panów, skierowany przeciwko „Kopernikowi" i naszej załodze. Wszyscy jesteśmy zgodni, że bunt na tym się nie skończy... Kierunek — Wenus..."

Powieść: „Sztancowanie gwoździ to prehistoria naszego przemysłu z okresu pierwszego planu sześcioletniego Dziś wyrób gwoździ z plastiku, ferralu, stalonitu...

— Nie! nie! nie! — Kleofas odrzucał precz nowe przypomnienie brutalną interwencję inżyniera Kamińskiego w jego głębokie życie się ze sprawami terenu i produkcji i w jego wewnętrzną pracę nad przetworzeniem w dzieło sztuki wielkiego problemu produkcji gwoździ..."

Kronika: „Wenus! Znów ludzie. Jakże łagodni, piękni. Jakież piękne pieśni! Jakie wspaniałe kwiaty! Żegnają nas, zarzucając nam wspaniałe wieńce na szyje. Wieńce pachną kwiatem pomarańczy. Wiem, czyją twarz przypomina mi oblicze tamtej pięknej dziewczyny To przecież żywa, kolorowa Wenus Miłońska..."

Powieść: „Z powodu tych gwoździ i po tej naradzie produkcyjnej skończyła się miłość Walendziaka z córką Przepiórki — z Maryśką Przepiórkówną..."

Kronika: „Ziemia! Warszawa! Jakież niezliczone tłumy. Miliony ludzi czekają na wieści, jakie im przynosimy Przez radio słyszymy pozdrowienie Ziemi; przemawia jeden z największych naszych pisarzy. Jesteśmy wzruszeni Mówi on:

— Załoga Kopernika" w nowy sposób dokonała tego, czego od tysięcy lat dokonuje sztuka. Załoga „Kopernika" rozszerzyła granice świata, granice przeżyć i doświadczeń ludzkich, stworzyła nam nowe niezgarnione przestrzenie walki, piękna, najwspanialszych wzruszeń..."

Powieść: „Kleofas zwiesił głowę. Nie odnalazł tego, czego szukał Na miejscu pamiętnej walki, na miejscu dawnej fabryczki wznosił się jakiś ogromny hal, kominów i budynków Na bramie wisiał lśniący szyld:

„Zjednoczenie budowy samolotów międzyplanetarnych"

Fabryka nr 1 im. Kopernika

Kleofas zachwiał się:

— Samoloty międzyplanetarne? — mruczał pod nosem. — Coś o tym słyszałem..."

Jan Szeląg

rys. Jan Lenica

Redaguje Zespół Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I piętro tel 4-01-80, wewn 95 oraz bezpośredni 7-36-23 Adres administracji: W-wa, ul Wiejska 12 tel 7-52-50 Wydaje RSW „Prasa".
Prenumerata i kolportaż: P P K. „Ruch". Oddz w Warszawie, ul Srebrna 12 tel 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24.—, rocznie zł 48.—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230.
Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy powyżej 10 egzemplarzy — ul Chmielna 25 Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa", W-wa, Poznańska 38, konto PKO I-5589 111, tel. 7-38-05 Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B-21669